tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 45 (1400)
2-8.11.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz
Bez talentu do ludzi i do polityki

Lula
wraca do gry

Październik 1956
w dziennikach Marii Dąbrowskiej

Ile hałd zostało
na Śląsku?



Krętactwa posła Wiplera

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



eprasa.pl 7deee0c938



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Co robił Nawrocki w Grand Hotelu?

Bywa tak, że nieostrożny krok uruchamia lawinę, której nic już nie zatrzyma. Czy Karol Nawrocki, żądając od Onetu przeprosin za naruszenie czci i godności, taką lawinę wywołał? Czy będzie nią toczący się od września przed Sądem Okręgowym w Warszawie proces cywilny o ochronę dóbr osobistych za opublikowany w Onecie artykuł z maja 2025 r. „Karol Nawrocki i tajemnice Grand Hotelu" autorstwa Andrzeja Stankiewicza i Jacka Harłukowicza?

Z jakichś tajemniczych powodów Nawrocki nie skorzystał w czasie kampanii wyborczej z przysługującego mu prawa do sprostowania w trybie wyborczym. Do sądu poszedł dopiero po wyborach. Wyraźnie nie doceniał skali oporu społecznego wokół jego prezydentury. Grand Hotel słynął z usług prostytutek. Wiedza o tym była w Trójmieście powszechna. Wiedziały o nich policja i służby. A czy bez ich wiedzy ktoś mógł się tam zatrudnić? To kolejny wątek do wyjaśnienia. Bo w ekipie Grand Hotelu roiło się od agentury. Są więc kwity i zeznania. Świadków tych przestępczych praktyk nie brakowało. Dziennikarze różnych mediów słyszeli od nich tyle historii obyczajowych, wręcz kryminalnych, że mogliby napisać grubą książkę.

Dziennikarze Onetu nie poszli na skróty. Tekst oparli na relacjach ludzi gotowych swoje słowa powtórzyć przed sądem. Pod przysięgą. Postawa i wiarygodność tych świadków potwierdzają, że Stankiewicz i Harłukowicz, pisząc artykuł, dopełnili wymogów staranności. Jak przy ich pracy oceniać wyczyny ludzi „Gazety Polskiej" i Telewizji Republika? Do czego ci są zdolni, pokazali, atakując świadków. Skandalem jest zachowanie służb, które pozwalają na takie bezprawie i zastraszanie ludzi. W ocenie wytoczonego przez Nawrockiego procesu znowu mamy podział na dwa przeciwstawne obozy. Osądy są skrajnie różne. Dla zdeklarowanych fanów prezydenta zarzuty stręczycielstwa i udziału w mordobiciu niczego mu nie ujmują. Po drugiej stronie są ci, którzy uważają, że Nawrocki nie ma żadnych kwalifikacji do sprawowania urzędu, a na dodatek wyborów nie wygrał, bo mimo licznych fałszerstw nie policzono powtórnie głosów.

Do czasu procesu sądowego po Polsce krążyły oczywiście różne opowieści o tym, co Nawrocki robił w Grand Hotelu. Teraz, gdy wszystko odżyło, po tym jak sąd wbrew stronie prezydenckiej odtajnił obrady, nic już nie będzie takie jak wcześniej. Na to nakłada się megalomania Nawrockiego, który chciał złożyć zeznania na piśmie. Nie ma żadnego powodu, by 18 stycznia 2027 r. nie stawił się osobiście na rozprawie. Prawo jest przecież jednakowe dla wszystkich. A człowiek, który buduje swój image twardziela, nie może się lękać sędzi Aleksandry Orzechowskiej.

Polacy o centrowych poglądach głosujący na Nawrockiego mają duży problem. Są tu języczkiem u wagi. I nie sądzę, by stanęli po stronie kogoś z takimi zarzutami. Zobaczymy, czy uruchomiona przez Nawrockiego lawina nabierze rozpędu i mocy.

BĄKOWSKI



eprasa.pl 7deee0c938

W NUMERZE

KRAJ

8 **Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz pokochała politykę. Ale bez wzajemności**
W karierze zgrzyt za zgrzytem

11 **Ile hałd pozostało na Górnym Śląsku?**
Ukryte niebezpieczne odpady

14 **Krętactwa posła Wiplera**
Lobbysta kiboli i Zondacrypto

18 **Co dziecko robi w sieci i z kim rozmawia**
To nie gry są wszystkiemu winne

22 **Ognisko wciąż się pali**
Harcerstwo nadal przyciąga młodzież

25 **Indie sprzedają, a Polska się przygląda**
Potrzebujemy odważnych polskich inwestorów

ZAGRANICA

29 **Jesienny kryzys trumpizmu**
Korespondencja z USA

34 **Brazylia: powrót z zaświatów**
A jednak Lula!

38 **Neapol na polskich tablicach**
Korespondencja z Włoch

39 **Polskie tablice, włoski problem**
– rozmowa z Nico Falkiem

41 **Świt Jemenu czy zmierzch dla wszystkich?**
Walki uderzają w dostawy ropy

HISTORIA

44 **Październik 1956 w dziennikach Marii Dąbrowskiej**
Relacje, pogłoski, atmosfera

KULTURA

48 **W książce radzę sobie ze wszystkim**
– rozmowa z Magdaleną Parys

52 **Qulturalia**

66 **Nie patrz**
Malarstwo Aleksandry Drab

SPORT

54 **Obywatel Kane**
Złota Piłka wreszcie dla Anglika

ZWIERZĘTA

56 **Jedz jak goryl**
A dlaczego nie jak pies?

OBSERWACJE

60 **Kasztanowy majestat**
W Grecji to więcej niż przekąska

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Co robił Nawrocki w Grand Hotelu?

33 **Jan Widacki**
Zapomniane groby

37 **Roman Kurkiewicz**
Serbia, Lula – hurra?

53 **Tomasz Jastrun**
Bunt

59 **Wojciech Kuczok**
Czyny haniebne



34
ZAGRANICA

BRAZYLIA: POWRÓT Z ZAŚWIATÓW
A jednak Lula!



48
KULTURA

W KSIĄŻCE RADZĘ SOBIE ZE WSZYSTKIM
– rozmowa z Magdaleną Parys



56
ZWIERZĘTA

JEDZ JAK GORYL
A dlaczego nie jak pies?



Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MAREK KUDELSKI SUPEREXPRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 7deee0c938

Czy sądy mamy nienawistne?

Okazuje się, że sędziowie zapragnęli być arbitrami sprawiedliwości dziejowej. Przykładem jest wyrok Sądu Apelacyjnego w Szczecinie z 22 czerwca 2022 r. W warstwie faktograficznej sąd w pełni zaakceptował i uznał za bezsporne ustalenia sądu pierwszej instancji, z których wprost wynikało, że ubezpieczony w okresie uznanym za służbę na rzecz państwa totalitarnego zajmował się wyłącznie zwalczaniem ciężkiej, pospolitej przestępczości kryminalnej i gospodarczej, nigdy nie inwigilował opozycji, związków zawodowych ani duchowieństwa, a po 1990 r. był wybitnym, wielokrotnie nagradzanym oficerem CBŚ KGP, odznaczonym przez prezydenta RP Krzyżem Zasługi. Na podstawie tych ustaleń sąd pierwszej instancji przywrócił świadczenie w wysokości ustalonej przed 1 października 2017 r.

Mimo to w warstwie wniosków prawnych Sąd Apelacyjny w Szczecinie uznał te fakty za „prawnie obojętne" i przypisał ubezpieczonemu udział w „niegodziwym aparacie przemocy politycznej i represji". Porażające jest, że sąd apelacyjny, zamiast badać zgromadzone w aktach sprawy dokumenty osobowe i materialne, wprost wpisał do uzasadnienia wyroku definicje historyczno-ustrojowe skopiowane z Wikipedii na okoliczność tego, czym zajmowała się en bloc formacja, w której ubezpieczony pełnił służbę przez dwa lata, w końcówce PRL. (...)

Sądy powszechne, zamiast masowo stosować bezwzględny nakaz ustawowy i uchylać rażąco wadliwe, pozbawione substratu faktycznego decyzje organów emerytalnych na pierwszej rozprawie, de facto przejęły rolę tych organów. Wszczynanie przez sędziów z urzędu wieloletnich kwerend w archiwach IPN nie stanowi działalności orzeczniczej (wymiaru sprawiedliwości), lecz jest bezprawnym przejmowaniem materialno-technicznych funkcji administracji publicznej. Sytuacja, w której sędzia cywilny samodzielnie poszukuje, zamawia i konstruuje od zera materiał dowodowy w celu następczej „reanimacji" pustej merytorycznie decyzji organu emerytalno-rentowego, jest tożsama z sytuacją, w której sędzia karny udawałby się do domu podejrzanego w celu przeprowadzenia przeszukania. W Sądzie Apelacyjnym w Szczecinie próg ten został przekroczony. Sąd zmienił korzystne dla emerytowanych funkcjonariuszy wyroki sądu pierwszej instancji na podstawie publikacji w internecie.

Ireneusz Wojewoda, młodszy inspektor Policji w stanie spoczynku

Czy Europa wie, jak ułożyć relacje z Rosją?

Wyważona, pozbawiona zbędnych emocji opinia, nawiązująca do nurtu polityki realnej. Szkoda, że tak rzadko prezentowany sposób argumentacji nie może w Polsce przebić się przez gęstą atmosferę wojennej psychozy i jazgotu polityków oraz wspierających ich dziennikarzy.



Michał Błaszczak

•

A może, szanowni komentatorzy, zostawilibyście decyzje dotyczące przyszłości Ukrainy Ukraińcom? Trzy czwarte Ukraińców chce dyplomatycznego rozwiązania tego konfliktu. Ponad 70% akceptuje neutralność (rezygnację z członkostwa w NATO) w zamian za wycofanie się Rosji z Ukrainy. Większość jest gotowa rozważyć trwałe zawieszenie broni na obecnych liniach frontu. Wypowiedzi typu „nie możemy zaakceptować X" wygłaszane ponad głowami obywateli Ukrainy, jakby „nasza strona" miała mieć z definicji głos decydujący, a Ukraina tylko walczyć zgodnie z „naszymi" życzeniami, to szczyt arogancji. Dla wszystkich, którzy chcą pokazać Rosji, gdzie jej miejsce, jest jedno wyjście, by uniknąć bycia hipokrytą: na froncie każda para rąk jest na wagę złota, werbunek trwa, a Polska wprowadziła abolicję dla ochotników. Karabin do ręki i pomagajcie Ukrainie.

Grzegorz Staniak

Przepraszamy

W informacji o „Księdze pamiątkowej Jerzego Szmajdzińskiego" znalazł się przykry błąd. Księgę wydano dzięki determinacji Wiesława Weita, a nie Wiatra, jak napisaliśmy.

ZDJĘCIE TYGODNIA



Izraelski żołnierz i Palestyńczyk podczas protestu palestyńskich mieszkańców wysiedlanych z Hebronu na okupowanym przez Izrael Zachodnim Brzegu. 27 października 2026 r.

FOT. MUSSA QAWASMA/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 7deee0c938

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

37 mln 243 tys. mieszkańców liczyła Polska w końcu czerwca 2026 r. W ciągu pół roku ubyło 90 tys. osób. • Dzięki programowi in vitro do końca sierpnia urodziło się 17 474 dzieci, ale wyczerpują się środki i może ich zabraknąć dla ok. 8,6 tys. par. Ministerstwo Zdrowia przygotowuje program naprawczy uszczelniający system. • Amerykański Sąd w Nowym Meksyku wymierzył Mecie karę w wysokości 25 mld dol. za oszukiwanie użytkowników w kwestii prywatności. Sąd stwierdził, że Meta 43 mln razy naruszyła stanowe prawo ochrony konsumentów. • W listopadzie w Abu Zabi mają się odbyć rozmowy Rosja-Ukraina-USA. • 60% Polaków chce większej liczby dni handlowych i sklepów czynnych w większą liczbę niedziel. 27,5% popiera całkowite uwolnienie niedzielnego handlu (UCE Research i Shopfully Poland). • Mieszkańcy Częstochowy odwołali w referendum prezydenta miasta Krzysztofa Matyjaszczyka i radę miasta. Matyjaszczyk od ośmiu miesięcy nie mógł pełnić funkcji i wchodzić do urzędu z powodu zarzutów korupcyjnych, jakie postawiła mu prokuratura. • Spada zatrudnienie listonoszy w Poczcie Polskiej. Z 27 200 listonoszy w 2010 r. do niecałych 18 tys. w 2026 r. Choć ciągle prawie milion emerytów woli dostawać emeryturę od swojego listonosza. • Maja Mozga-Górecka otrzymała Nagrodę Conrada 2026 za esej „Figlarnie. Przestrzenie radykalnej prywatności" wydany przez wydawnictwo Karakter. • 840 mln zł ma kosztować 170-metrowy wieżowiec Roma Tower u zbiegu ulic Emilii Plater i Nowogrodzkiej w Warszawie. Stawiany na kościelnych gruntach budynek mieszkalny ma być gotowy w 2031 r. • W 2025 r. doszło w Polsce do 391,8 tys. kolizji drogowych i 20,9 tys. wypadków. • Po zakupie kolejnych 25,3 ton złota Narodowy Bank Polski posiada już 672 tony i 900 kg złota. • 400 tys. dzieci w Polsce w wieku 7-12 lat używa TikToka ponad dwie godziny dziennie. • Polska ma ok. 111 tys. km rzek i 350 tys. km rowów odwadniających.

PRZEBŁYSKI



Od coming outu do Kopenhagi

Gdy w sierpniu 2019 r. znany ksiądz Łukasz Kachnowicz podjął decyzję o coming oucie, było to głośne wydarzenie. Jej autor należał bowiem do grupy popularnych duchownych. Uznawany za eksperta od mediów społecznościowych był duszpasterzem akademickim na UMCS i wikariuszem w lubelskim kościele garnizonowym. Gdy Kachnowicz ogłosił, że nie chce dłużej „żyć w szafie" i ukrywać swojej tożsamości, był to koniec z rozdźwiękiem między linią Kościoła a jego życiem.

Ukarany suspensą przez abp. Stanisława Budzika miał zakaz wykonywania czynności kapłańskich i noszenia stroju duchownego. Poszedł więc własną drogą. Jest teologiem, publicystą i społecznikiem. Był przewodniczącym okręgu w partii Zieloni, współpracuje z Polską Siecią Ekonomii i z Lambdą. A we wrześniu 2026 r. wziął ślub ze swoim partnerem. W Kopenhadze.



711 w Kanale Zero

Jaki kanał, taki ekspert. Gdzie mógł trafić Czesław Michniewicz, czyli niesławny autor 711 telefonów do „Fryzjera", machera od ustawiania wyników meczów piłkarskich? Przygarnął go prawie prezydent Stanowski, czyli Kanał Zero. Michniewicz ma u niego program „Taka jest piłka". Mają w nim być szczere rozmowy i kulisy futbolu. My wiemy, czego tam nie będzie. Nie dowiemy się, jak Michniewicz bił rekord rozmów z „Fryzjerem". 711 to przecież imponujący wynik. Nie będzie też wątku afery premiowej w reprezentacji na mistrzostwach świata w Katarze. Ani tego, dlaczego po trzech miesiącach pogonili Michniewicza z marokańskiego AS FAR Rabat.


SOBOTA–NIEDZIELA 24–25 PAŹDZIERNIKA 2026 WWW.FAKT.PL

Fakt

GAZETA CODZIENNA

CENA 3,99 zł

Zapytaliśmy wpływowego polityka PiS, czy wejdą w koalicję z Grzegorzem Braunem

Przeprosiny. Ringier Axel Springer Polska sp. z o.o., wydawca gazety „Fakt. Gazeta Codzienna" przeprasza Panią Monikę Miller za treść i formę opublikowanego materiału prasowego opatrzonego tytułem – Ojciec wybrał politykę, a syn sznur. Ringier Axel Springer Polska sp. z o.o.

Przeprosiny. Ringier Axel Springer Polska sp. z o.o., wydawca gazety „Fakt. Gazeta Codzienna" przeprasza Panią Aleksandrę Miller za treść i formę opublikowanego materiału prasowego opatrzonego tytułem – Ojciec wybrał politykę, a syn sznur. Ringier Axel Springer Polska sp. z o.o.

Przeprosiny. Ringier Axel Springer Polska sp. z o.o., wydawca gazety „Fakt. Gazeta Codzienna" przeprasza Pana Leszka Millera za treść i formę opublikowanego materiału prasowego opatrzonego tytułem – Ojciec wybrał politykę, a syn sznur. Ringier Axel Springer Polska sp. z o.o.

Przeprosiny

Obrażają szybko. Brzytwa tnie błyskawicznie. Ringier Axel Springer Polska, wydawca gazety „Fakt", nie ma z tym oporu. Z przeprosinami idzie mu za to wolniej niż żółwiowi. Leszek Miller z rodziną musieli na przeprosiny „Faktu" za haniebny tekst czekać 8 lat i 54 dni. W Niemczech na takie zachowanie gazeta by sobie nie pozwoliła.

FOT. FACEBOOK, YOUTUBE, ARCHIWUM

eprasa.pl 7deee0c938



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl
Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

PYTANIE TYGODNIA

Czy do szkół powinno wrócić przysposobienie obronne?

GEN. PROF. BOGUSŁAW PACEK,
ekspert ds. bezpieczeństwa, dyrektor Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Realia bezpieczeństwa w naszej części Europy diametralnie się zmieniły – wojna za granicą i ataki hybrydowe zmuszają do rzetelnego przeszkolenia młodzieży. Choć edukacja dla bezpieczeństwa sprawdzała się w czasie pokoju, dziś to za mało. Potrzebujemy nowoczesnego przygotowania wojskowego dla wszystkich uczniów szkół ponadpodstawowych. Nie chodzi przy tym o powrót do dawnego przysposobienia obronnego i przekazywania przez cywilnych nauczycieli suchej teorii. Młodzi ludzie muszą zdobyć twarde umiejętności: radzenia sobie w kryzysie, zaawansowanej pierwszej pomocy, strzelania i ochrony przed skażeniami. Kluczowe jest, aby uczyli ich praktycy. Mamy dziesiątki tysięcy rezerwistów, dlatego należy zmodyfikować przepisy wymagające od instruktorów przygotowania pedagogicznego, by wojskowi mogli bezpośrednio szkolić w szkołach.

DR HAB. PROF. UR MACIEJ MILCZANOWSKI,
ekspert ds. bezpieczeństwa, Uniwersytet Rzeszowski

Przysposobienie obronne powinno wrócić, bo państwo musi przygotowywać obywateli na wszelkie kryzysy, nie tylko na wojnę. Potrzebujemy konkretnych działań: powrotu próbnych alarmów oraz ćwiczeń ewakuacji, które skutecznie budują świadomość sytuacyjną. Taka wiedza zamienia paraliżujący strach w sprawcze zachowanie. Nie chodzi o powrót do programu sprzed 30 lat – nowoczesny przedmiot musi obejmować cyberzagrożenia oraz obsługę i podstawy budowy dronów, z udziałem instruktorów ze stowarzyszeń proobronnych i zajęciami w jednostkach wojskowych. Wzorem Finlandii czy Szwajcarii potrzebujemy też prawdziwych schronów. Choć są w tym elementy militaryzacji, to celem jest budowa odpornego społeczeństwa obywatelskiego. Niestety, politycy boją się reakcji wyborców i zamiast wdrażać to, co naprawdę konieczne, podejmują tylko decyzje bezpieczne dla swoich sondaży.

PAWEŁ MROZEK,
założyciel Akcji Uczniowskiej

Dzisiejsza edukacja dla bezpieczeństwa to fikcja – zbyt często przypomina wolną godzinę wychowawczą lub dodatkowy WF. W efekcie młodzi ludzie nie potrafią zareagować w sytuacji realnego zagrożenia życia i zdrowia, co w obecnej rzeczywistości jest prostą drogą do tragedii. Nie potrzebujemy jednak powrotu do archaicznego przysposobienia obronnego, to musi być gruntowna i nowoczesna reforma EdB oparta na twardej praktyce oraz reagowaniu kryzysowym. Kluczowym, ale całkowicie ignorowanym przez szkołę obszarem jest zdrowie psychiczne. Odporność psychiczna to fundament bezpieczeństwa narodowego – przerażony obywatel nie obroni się samymi wyuczonymi regułkami. Pokazała to panika po ostatnich atakach w placówkach oświatowych: uczniowie i nauczyciele bali się, bo nikt ich nie przygotował na realne zagrożenie.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl 7deee0c938

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz
POKOCHAŁA POLITYKĘ. ALE BEZ WZAJEMNOŚCI

Robert Walenciak


Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz do polityki wciągnął Bartłomiej Sienkiewicz.

Nie sądzę, by kariera polityczna Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz miała ciąg dalszy. Bo jest to miłość bez wzajemności. Owszem, ona kocha politykę. Można nawet odnieść wrażenie, że z coraz większym zapamiętaniem. Ale polityka nie kocha jej.

Przykładów, że to związek nieudany, nie brakuje. Jak pięknie rzuciła papierami! Donald Tusk był w Indiach, a ona napisała na X, że rezygnuje. Bum! Nikt o tym wcześniej nie wiedział. Nikt tego się nie spodziewał. Nagle minister ważnego resortu mówi: do widzenia! I pisze: „Odchodzę z rządu Donalda Tuska, bo wartości są dla mnie ważniejsze niż stołki". Pełczyńska-Nałęcz ogłosiła też, że rezygnuje ze stanowiska przewodniczącej Polski 2050. „Partię zostawiam w rękach jej założyciela, który odszedł, ale jednak wrócił". Czyli w rękach Szymona Hołowni.

Tusk i Hołownia dowiadują się zatem o decyzji Pełczyńskiej-Nałęcz z X. Słyszą huk zatrzaskiwanych drzwi i tyle. Cóż za gest, strzał! Cóż za emocje! Tylko po co? „Widzimy się na szlaku!", napisała jeszcze. Czyli chce ciągu dalszego. Ale kto z nią pójdzie?

•

Sama do polityki nie przyszła. Ktoś ją wciągnął. Gdy pytam kto, odpowiadają mi ironiczne uśmiechy. Jak to kto! Mistrz!

Ten mistrz to Bartłomiej Sienkiewicz, inny fenomen polityki, człowiek, który ciągle idzie do Białegostoku. Rękę do ludzi ma podobną. Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz wypatrzył w Ośrodku Studiów Wschodnich. Odnosiła tam sukcesy i awansowała. W pewnym momencie zdecydowano, że pojedzie do Brukseli, gdzie z Francuskim Instytutem Spraw Międzynarodowych będzie realizować program dotyczący wschodu Europy. Potem od razu przeszła do MSZ, i to na stanowisko wiceministra. U Radosława Sikorskiego. Odpowiadała za sprawy polityki wschodniej. A w 2014 r. została ambasadorem w Moskwie.

W sprawy stosunków polsko-rosyjskich weszła więc jak burza. I nie tylko dlatego, że było jej łatwiej, bo jej mama jest Rosjanką. Dużo wiedziała, zręcznie tę wiedzę prezentowała, choć poza tzw. główny nurt nie wychodziła. W pewnym momencie urosła do rangi czołowej specjalistki od Wschodu, związanej z obozem Platformy. W pomnikowej pracy „Białe plamy – czarne plamy. Sprawy trudne w relacjach polsko-rosyjskich 1918-2008" pod redakcją Adama Daniela Rotfelda i Anatolija Torkunowa napisała rozdział o stosunkach polsko-rosyjskich po 1990 r.

W ambasadzie w Moskwie zastąpiła na stanowisku ambasadora Wojciecha Zajączkowskiego i była to wielka zmiana. Zajączkowski prowadził placówkę introwertycznie, więc na jego tle Pełczyńska-Nałęcz błyszczała jako ta dynamiczna i nawiązująca kontakty. Sukces? Rosjanie początkowo byli nią zachwyceni. Piękny rosyjski, znajomość kultury. Ale im dalej w las… Denerwował ich jej ton ciągłego pouczania, udowadnianie,

eprasa.pl 7deee0c938

że wie więcej. Rolą ambasadora nie jest wkurzanie rozmówców.

Gorzej było na innym szczeblu. O ile potrafiła wyjść na zewnątrz, o tyle w ambasadzie było źle. Jedni pracownicy mieli dostęp do jej ucha, drudzy nie, to wszystko zaowocowało intrygami i kłótniami. Nie miała talentu do zarządzania ludźmi i każdy to widział. W 2016 r., czyli po dwóch latach, została odwołana, jej miejsce zajął Włodzimierz Marciniak. Oficjalnie tłumaczono, że na tak nietypowo krótki okres umówiła się z MSZ. Nieoficjalnie – że padła ofiarą PiS. Choć dyplomaci pracujący w Moskwie jej powrót do Warszawy przyjęli z ulgą.

Potem widzieliśmy ją w Fundacji Batorego, kierowała jej pracami. I z tej pozycji, szefowej ważnego liberalnego think tanku, razem z dobrym znajomym z Ośrodka Studiów Wschodnich Jackiem Cichockim zasiliła projekt Hołowni. Tak oto z roli specjalistki od Rosji przeszła do roli jednego z liderów nowej partii.

•

W grudniu 2023 r., gdy zamykane były negocjacje dotyczące nowego rządu, Pełczyńskiej-Nałęcz udało się dokonać politycznego blitzkriegu. Najpierw Polska 2050 wynegocjowała w koalicji stanowisko ministra funduszy i polityki regionalnej. A potem to ją wskazał Szymon Hołownia do objęcia tego resortu. Co było zaskoczeniem, bo faworytem był Michał Kobosko, poza tym Pełczyńska-Nałęcz nie była posłanką. I się zaczęło!

Nowa minister szybko wyszła poza przypisaną jej rolę. Zaczęła publicznie pouczać koleżanki i kolegów z rządu, wtrącać się w ich działania, pouczać premiera oraz komentować działania koalicji. Można było wręcz odnieść wrażenie, że Pełczyńska-Nałęcz jest do południa w rządzie, a po południu w opozycji. I to jej się podoba. Korwin-Mikke obozu liberalnego. Tak pojmowała politykę.

Lista tych awantur jest długa, ograniczmy się do kilku, niekoniecznie najbardziej znanych.

Sierpień 2024. Wojna o kredyt 0%. To była jedna z obietnic wyborczych Donalda Tuska – w założeniu mająca pomagać w kupnie mieszkania. Polska 2050 była przeciw temu programowi, dowodząc, że prowadzi on do wzrostu cen mieszkań i zwiększa zyski deweloperów. Pełczyńska-Nałęcz zaatakowała więc program brutalnie, pisząc na X, że „w budżecie państwa jest 0 zł na kredyt 0%".

„Wypowiedzi pani minister w kwestii kredytu 0% są nieprecyzyjne i fakty są inne. Będę oczekiwał od pani minister wyjaśnienia, dlaczego w sposób bardzo nieprecyzyjny zinterpretowała naszą decyzję, w której pani minister uczestniczyła", pisał skonfundowany Donald Tusk. Ostatecznie, po wielu tygodniach rozmów, rząd wycofał się z programu. I nie chodzi o to, że w tej sprawie postulaty Polski 2050 miały większy sens, po prostu nie powinno się o nie walczyć, stawiając premiera i rząd w dwuznacznej sytuacji.

Inny przykład, całkiem niedawny, z kwietnia 2026 r. Gdy szefowa MEN Barbara Nowacka poinformowała, że od września edukacja zdrowotna będzie przedmiotem obowiązkowym, ale nieobowiązkowy będzie moduł dotyczący wiedzy seksualnej, Pełczyńska-Nałęcz napisała na X: „Szlag człowieka trafia, jak patrzy na to, co dzieje się w edukacji. Rok temu jako Polska 2050 mówiliśmy: edukacja zdrowotna powinna być obowiązkowa poza modułem edukacji seksualnej. Co na to mówiło ministerstwo? NIE. Wszystko ma być obowiązkowe… Po czym Barbara Nowacka zmieniła zdanie i wszystko stało się dobrowolne". „Po roku większość uczniów wypisała się z edukacji zdrowotnej, a sam przedmiot stał się niestety memem. I teraz MEN oferuje rozwiązanie, które było na stole rok temu", dodała.

Jaki jest sens tego wpisu, poza zaletami publicystycznymi? Co ma zakomunikować? Że Barbara Nowacka jest do niczego, a Pełczyńska-Nałęcz się zdenerwowała i ma zawsze rację. O to chodziło?

•

Piękną scenę Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz odegrała w czerwcu 2025 r., po porażce wyborczej Rafała Trzaskowskiego. Koalicja lizała rany, a ona nagle odpaliła na X petardę: „Minęły dwa tygodnie i mam wrażenie, że jesteśmy w tym samym punkcie. Lekcja udzielona przez wyborców nie dotarła z siłą, z którą powinna była dotrzeć!". I, krytykując opozycję, przedstawiła swój plan działania. Pisząc, że jeśli nie zostanie wdrożony, to w 2027 r. wygra brunatna Polska.

Tak oto na koalicję spadł atak ze strony koalicjantki – i politycy KO, i lewicowi, i z PSL, ba, również politycy Polski 2050 na opublikowany program Pełczyńskiej-Nałęcz patrzyli ze zdumieniem. Bo żaden z nich wcześniej go nie widział. A tu takie bum o poranku. Dodajmy, że kolejne tygodnie dopisały ciąg dalszy do tego manifestu, będącego mieszaniną rzeczy słusznych z banalnymi, że demografia, że wojna, że brakuje mieszkań. Bo chwilę potem Donald Tusk ogłosił hasło spalonych okrętów i rozpoczął kontrofensywę.

W ambasadzie w Moskwie było źle, co zaowocowało intrygami i kłótniami. Pełczyńska-Nałęcz nie miała talentu do zarządzania ludźmi i każdy to widział.

W tym samym czasie, kiedy Pełczyńska-Nałęcz rysowała program dla koalicji i wyznaczała role premierowi i ministrom, wybuchła afera związana z jej resortem, tzw. afera KPO lub jachtowa. W sierpniu 2025 r. wyszło na jaw, że za pieniądze z KPO niektórzy przedsiębiorcy kupowali jachty (sfinansowano w ten sposób 100 jachtów i łodzi) albo budowali sauny, solaria czy garderoby. A Ministerstwo Funduszy finansowało to lekką ręką.

Pełczyńska-Nałęcz jakoś się wybroniła, tłumacząc, że dotacje przyznawano według procedur zatwierdzonych jeszcze za PiS, że nieprawidłowości dotyczyły kilku wniosków, będą kontrole itd. Ale czy ten epizod czegoś ją nauczył? Raczej nie, bo Ministerstwo Funduszy działa od kryzysu do kryzysu, jedna wiceminister podziękowała za współpracę, drugi wiceminister oficjalnie mówi, że szefowa o niczym go nie informuje.

eprasa.pl 7deee0c938

•

W wyborach prezydenckich jeszcze większą klęskę niż Trzaskowski poniósł Szymon Hołownia. W efekcie oddał stanowisko marszałka Sejmu, sam zrezygnował z przewodniczenia partii, mówił, że wycofuje się z polityki. Pełczyńska-Nałęcz wystartowała więc do walki o stanowisko przewodniczącej. W styczniu 2026 r. nią została. Ale w takim stylu, że do dziś bolą zęby. Głosowanie powtarzano, nie wyglądało to transparentnie, partia się skłóciła i podzieliła. Po wyborach rywalka Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, szefowa resortu klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska, odeszła z Polski 2050 i założyła w Sejmie własny klub – Centrum. I to był w zasadzie koniec Polski 2050.



Jako minister funduszy Pełczyńska-Nałęcz szybko wyszła poza przypisaną jej rolę.

Jeszcze przez chwilę bliscy jej działacze mówili, że „Kasia odbuduje partię", da jej tożsamość, postawi na kilka spraw, które dowiezie. Ale to nie mogło się udać, jeżeli miało wyglądać tak, że trochę jest się w rządzie, ale bardziej w opozycji. Że z jednej strony Pełczyńska-Nałęcz walczy z premierem, z drugiej – zabiega o stanowisko wicepremiera. „Mam naprawdę wizję rozwojową, całościową, wielokrotnie o tym mówiłam i żadnej pracy się nie boję", deklarowała, chyba zupełnie nie zdając sobie sprawy, że Tuskowi na te słowa przechodzą ciarki po plecach.

Bo w tym czasie Pełczyńska-Nałęcz zaskakiwała wszystkich w sprawie ustawy regulującej najem krótkoterminowy, w sprawie podatków, no i zaczęła opowiadać, że trzeba będzie podnieść wiek emerytalny. A wszystko na wysokim C. I gdy do rządowego projektu ustawy regulującej najem krótkoterminowy resort sportu i turystyki złożył autopoprawkę, która wykreślała przepisy umożliwiające wspólnotom, spółdzielniom i samorządom wprowadzanie zakazu najmu krótkoterminowego, to szefowa Polski 2050 natychmiast pisała na X: „Zero praw dla samorządów w ustanawianiu stref wolnych od Airbnb. Zero praw mieszkańców w decydowaniu o tym, czy mają czy nie mają burdelu/hotelu za ścianą. Taki projekt ustawy wyszedł dziś z Rady Ministrów. Zgłosiłam wobec tego projektu formalne zdanie odrębne. Jako jedyna". Czyli jedyna sprawiedliwa.

Polityka jest specyficzną sztuką, wymaga pewnych umiejętności i dla amatorów, nawet inteligentnych, miejsca w niej nie ma.

Po tygodniach sporów Sejm uchwalił ustawę regulującą najem, zgodnie z pierwotnym projektem. Pełczyńska-Nałęcz mogła ogłosić sukces. Tylko co z tego, skoro jej partia notowała w sondażach 0,7% poparcia.

•

Efekt tych wszystkich występów był taki, że Donald Tusk wręcz oficjalnie mówił, że ma jej dość w rządzie. A Szymon Hołownia zmienił zdanie i postanowił wrócić na stanowisko szefa partii. Skutek widzieliśmy – w niedawnym głosowaniu nad uchyleniem ustawy o dwukadencyjności wójtów, burmistrzów i prezydentów miast posłowie Polski 2050 zagłosowali na wszystkie możliwe sposoby. Sęk w tym, że przeciwko uchyleniu, tak jak chciała Pełczyńska-Nałęcz, zagłosowało tylko trzech posłów… A za propozycją PSL było sześciu, z Szymonem Hołownią na czele. I to pokazuje, że jej dni na stanowisku szefowej partii były policzone. Że właściwie już nią nie była.

Zatem – w swoim stylu – odeszła. Według relacji dziennikarzy sejmowych, gdy posłowie przeczytali jej wpis, rozległy się oklaski i wiwaty.

W następnych dniach Polska 2050 anulowała jej członkostwo w partii. „Zostałam wygnana za myślozbrodnię", pożaliła się więc Pełczyńska-Nałęcz na X, ale to już mało kogo obchodzi. Tak jak mało kto wierzy, że odeszła, bo – jak napisała – nie zależy jej na stołkach. „Byłem świadkiem wielu sytuacji, gdy dla Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz największą wartością była ona sama", mówił jej partyjny kolega, wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka w programie „Onet Rano". I przypominał, jak przez pół roku Polska 2050 zabiegała o stanowisko wicepremiera właśnie dla niej.

•

Historia Pełczyńskiej-Nałęcz dowodzi kilku spraw. Przede wszystkim tego, że polityka jest specyficzną sztuką, wymaga pewnych umiejętności i dla amatorów, nawet inteligentnych, miejsca w niej nie ma.

Dowodzi też, jak ważne są w polityce tzw. miękkie umiejętności, czyli sztuka współpracy z ludźmi. No i że temperament publicysty to nie jest cecha w takiej grze przydatna. Owszem, trzeba umieć budować plany, przedstawiać je ludziom, ale nie w formie: „wpadłam wczoraj wieczorem na genialny pomysł, podziwiajcie mnie".

Ech… Media lubią takich troublemakerów, którzy coś wymyślą, kogoś szarpną i dzieje się. Przecież Pełczyńska-Nałęcz pięknie wyglądała na tle tych wszystkich mydłków otaczających Tuska i mu przytakujących, których nie sposób zapamiętać. Tylko że pewnie mówimy o różnych konkurencjach sportowych. I ona jako szefowa think tanku oraz projektów badawczych mogłaby błyszczeć. W roli członka rządu i szefa partii nie było błysku, tylko zgrzyty.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS, PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7deee0c938



Hałda Pokój w Rudzie Śląskiej od lat sprawiała problemy z powodu zachodzących w jej wnętrzu procesów chemicznych.

Ile hałd pozostało na Górnym Śląsku?

Mateusz Cieślak

Górny Śląsk zmienił się nie do poznania. Tam, gdzie kiedyś fedrowano węgiel, wytapiano metale i produkowano chemikalia, dziś stoją nowoczesne magazyny, biurowce, osiedla mieszkaniowe i centra handlowe. Dawne tereny przemysłowe zamieniają się w parki i place zabaw. Ale pod zielonymi trawnikami, ścieżkami spacerowymi, a nawet piaskownicami wciąż mogą się znajdować niebezpieczne odpady. Niektóre hałdy nadal płoną, inne pylą, a zanieczyszczenia porzucone przez przemysł wciąż przedostają się do środowiska.

Nie ma wątpliwości, że Górny Śląsk przeszedł ogromną przemianę. Powietrze jest znacznie czystsze, rzeki nie są ściekami przemysłowymi, a w miejscach dawnych kopalń stoją obiekty budzące zachwyt, jak choćby Strefa Kultury w Katowicach. Jednak po ponad stu latach działania przemysł pozostawił po sobie niewyobrażalne ilości odpadów. Część z nich jest widoczna w postaci hałd, inne zostały zakopane. O wielu zapomniano.

Niekiedy wystarczy przeprowadzić badania gruntu, żeby się przekonać, jak groźne jest to, co ciągle pozostaje w ziemi. Tak stało się niedawno w Rudzie Śląskiej. W Tarnowskich Górach skutki dawnej działalności przemysłowej ujawniły się nawet w wodach podziemnych. W Świętochłowicach mieszkańcy właśnie drżą z obawy, że prace mające usunąć zagrożenie, doprowadzą do uwolnienia kolejnych zanieczyszczeń.

Tysiące obiektów i miliony ton odpadów

Ile hałd pozostało na Górnym Śląsku? Odpowiedź nie jest prosta. Nie wszystkie są zinwentaryzowane, a samo pojęcie hałdy obejmuje bardzo różne pozostałości po działalności przemysłowej. Są hałdy powęglowe, zawierające skały wydobywane wraz z węglem. Są zwałowiska odpadów hutniczych, na których znajdują się m.in. pozostałości po wytapianiu metali. Istnieją także (one są najgroźniejsze) składowiska odpadów chemicznych. Wreszcie są dawne doły, osadniki i zbiorniki, w których gromadzono substancje poprodukcyjne, a które z czasem zasypano.

Państwowy Instytut Geologiczny zinwentaryzował w latach 2013-2022 w Polsce 1382 obiekty pogórnicze. oszacowano, że znajduje się w nich ponad 1 mld m sześc. odpadów przemysłowych. Nie jest to jednak liczba samych hałd. I nie wszystkie są zlokalizowane na Górnym Śląsku. Instytut dopiero prowadzi systematyczne badania ich zasobów, a pilotaż takiego przedsięwzięcia realizuje właśnie w województwie śląskim.

Nie każda hałda stanowi takie samo zagrożenie. Niektóre można bezpiecznie zagospodarować, inne wymagają stałego nadzoru. W części dochodzi do samozagrzewania,

FOT. SRK

eprasa.pl 7deee0c938

a nawet wewnętrznych pożarów. Z innych unoszą się pyły albo wypłukiwane są substancje, które mogą się przedostawać do wód gruntowych. Szczególnie trudne są przypadki, gdy nie wiadomo dokładnie, co przez dziesięciolecia trafiało na dany teren. Często nie prowadzono szczegółowej ewidencji odpadów. W pierwszych dekadach industrializacji w ogóle o tym nie myślano.

Ruda Śląska. Arsen, kadm i ołów na hałdzie Pokój

Jeszcze niedawno mieszkańcy okolic hałdy Pokój w Rudzie Śląskiej skarżyli się głównie na pył i nieprzyjemny zapach. Hałda od lat sprawiała problemy z powodu zachodzących w jej wnętrzu procesów chemicznych. Konieczne stało się jej ugaszenie i przeprowadzenie rekultywacji. Kiedy jednak ujawniono wyniki badań gruntu wykonanych przez Instytut Ekologii Terenów Uprzemysłowionych, okazało się, że płonące wewnątrz odpady to tylko „małe piwo". Stwierdzono przekroczenia dopuszczalnych stężeń arsenu, kadmu, ołowiu i cynku.

To oznacza, że składowane na hałdzie substancje mają właściwości rakotwórcze, mogą uszkadzać układ nerwowy, nerki czy inne narządy wewnętrzne. Jak widać, ołowiane dzieci mogły żyć nie tylko w katowickich Szopienicach, którym złą sławę przyniósł serial Netfliksa.

Hałda Pokój znajduje się niedaleko budynków mieszkalnych, szkoły i ogródków działkowych. Ludzie mieszkający w pobliżu od dawna obserwowali unoszący się z niej pył, który osiadał na samochodach. Jeśli zimą spadł śnieg, szybko stawał się szary. Pył osiadał także w mieszkaniach. Czy wraz z nim poza teren hałdy przedostawały się niebezpieczne substancje? To pytanie przestało być wyłącznie teoretyczne, gdy przedstawiono wyniki pomiarów prowadzonych od marca do czerwca 2026 r. W punkcie oddalonym o 250 m od zwałowiska stwierdzono przekroczenia dotyczące opadu pyłu i ołowiu.

Spółka Restrukturyzacji Kopalń niedawno opublikowała niepokojący komunikat. Twierdzi w nim, że o obecności metali ciężkich informowała władze miasta już 23 grudnia 2024 r. Władze Rudy Śląskiej podkreślają natomiast, że za sposób prowadzenia rekultywacji odpowiada SRK. Po ujawnieniu wyników badań we wrześniu 2026 r. zwróciły się do prokuratury.

Chorzów. Pod ziemią wciąż jest gorąco

Inny problem występuje w Chorzowie przy ulicy Floriańskiej. Znajdująca się tam hałda nagrzewa się od lat 70. XX w. To zjawisko nie jest czymś niezwykłym. W odpadach zawierających pozostałości węgla mogą zachodzić reakcje prowadzące do wzrostu temperatury. W skrajnych przypadkach dochodzi do pożarów. Mogą im towarzyszyć emisje gazów oraz powstawanie kolejnych niebezpiecznych dla zdrowia substancji.

Nikt nie bada ziemi, na której ciągle budowane są nowe osiedla mieszkaniowe.

Dodatkowy problem? W pobliżu hałdy są dwa place zabaw, w tym wodny. Strefa samozagrzewania przesuwa się w jego w kierunku. Obecne władze miasta uspokajają, że nie zaobserwowano znaczącego przyśpieszenia tego procesu. Nie ma również podstaw, aby uznać wodny plac zabaw za niebezpieczny. Jednak ostatnie szczegółowe badania hałdy przeprowadzono przed dekadą. Wykazały one obecność gazów związanych z procesami zachodzącymi wewnątrz zwałowiska.

W 2026 r. władze Chorzowa zleciły Głównemu Instytutowi Górnictwa przeprowadzenie nowych badań. Zaplanowano odwierty, pomiary temperatury i analizę wydobywających się gazów oraz sprawdzenie jakości powietrza w sąsiedztwie miejsc zabaw dla dzieci. Hałda została również objęta projektem zdalnego monitorowania temperatury.

Świętochłowice. Staw uratowany, ale co z truciznami?

Przez wiele lat staw Kalina w Świętochłowicach był jednym z najbardziej znanych na Śląsku przykładów degradacji środowiska. Trafiały do niego niebezpieczne substancje pochodzące z odpadów dawnych Zakładów Chemicznych Hajduki. Wśród nich były związki fenolu oraz inne substancje toksyczne związane z przetwórstwem smoły węglowej.

W okolicy unosił się trudny do zniesienia zapach. Staw zmienił się w przemysłowy osadnik. Proces jego oczyszczania był skomplikowany i trwał do 2023 r. Staw uratowano. W wodzie ponownie pojawiło się życie biologiczne, a teren wokół niego stał się miejscem wypoczynku. Ale obok nadal znajduje się hałda z odpadami po dawnych zakładach chemicznych. To z niej zanieczyszczenia przedostawały się do stawu. Oczyszczenie zbiornika nie oznaczało zatem usunięcia przyczyny problemu.

Władze Świętochłowic postanowiły więc zająć się też hałdą. W czerwcu tego roku podpisano umowy dotyczące jej rekultywacji. Koszt to niemal 26 mln zł. Znaczną część tych pieniędzy dała Unia Europejska. W miejscu, gdzie dziś jest groźne wzgórze, ma powstać park leśny z alejkami i wieżą widokową. Przedsięwzięcie budzi emocje i protesty. Część mieszkańców obawia się, że naruszenie hałdy, wykonywanie odwiertów i napowietrzanie zawartych w niej materiałów doprowadzi do uwolnienia niebezpiecznych substancji, a bardzo blisko są bloki mieszkalne.

W październiku ludzie zaprosili na miejsce ekipę programu „Interwencja Zero". Przed kamerą mówili wprost, że się boją. Tym razem również pojawił się temat placów zabaw znajdujących się niedaleko hałdy. Władze miasta przekonują jednak, że pozostawienie hałdy w obecnym stanie nie jest rozwiązaniem. Prezydent Daniel Beger podkreśla, że chodzi o usunięcie wieloletniego zagrożenia, a nie jego ukrycie.

eprasa.pl 7deee0c938

I tu pojawia się kolejna kwestia – pudrowania problemu. Zarówno pozostawienie niebezpiecznych odpadów tam, gdzie są, bez ich zabezpieczenia, jak i niewłaściwe ich usuwanie mogą powodować zagrożenie.

Tarnowskie Góry. Trucizna wędrowała pod ziemią

W Tarnowskich Górach działalność przemysłowa rozpoczęła się już w XIX w. Zakłady chemiczne funkcjonowały tam do 1995 r. Produkowano w nich m.in. komponenty do produkcji farb zawierające związki baru, boru i arsenu. Podczas procesów technologicznych powstawały odpady zawierające również inne niebezpieczne substancje. Przez dziesięciolecia składowano je na powierzchni ziemi, w zagłębieniach terenu, wykopanych dołach i na zwałowiskach, bez zabezpieczeń, które uniemożliwiałyby przenikanie zanieczyszczeń do gruntu. Pierwsze odpady wylewano do ziemi jeszcze w XIX w.

Deszcze i topniejący śnieg robiły swoje. Woda przez lata przesączała się przez warstwy odpadów, wypłukiwała rozpuszczalne substancje i przenosiła je coraz głębiej. Wreszcie dostały się one do podziemnego jeziora, stanowiącego źródło wody pitnej dla 600 tys. ludzi.

Gdy w latach 90. w sieci wodociągowej Tarnowskich Gór pojawiły się trujące substancje, wyłączano kolejne ujęcia wody. Według ówczesnych szacunków zanieczyszczenie objęło ok. 50 mln m sześc. wód triasowego zbiornika podziemnego Gliwice.

Rozpoczęto poszukiwania dawno zakopanych odpadów i bardzo drogą budowę gigantycznego sarkofagu. Zwieziono do niego ogromne ilości skażonej ziemi. Przedsięwzięcie to kosztowało krocie. W miejscu skażonej ziemi sadzono trawę i drzewa. Przed laty do autora tego artykułu zgłosił się jeden z podwykonawców uczestniczących w powyższych pracach i przekazał fotografie, które sam wykonał. Wynikało z nich, że niemałą część odpadów pozostawiono w ziemi, zamiast je usunąć. Zdjęcia trafiły wówczas w ręce ekspertów od ochrony środowiska.

Minęły lata. W marcu 2026 r. przedstawiono wyniki nowych badań terenu dawnych zakładów chemicznych. Objętość skażonego gruntu wynosi ok. 1,4 mln m sześc. Do dzisiaj odpadów jest tam ok. 339 tys. m sześc.

I po problemie

Pudrowanie problemu odbywało się w wielu miejscach. Jednym z nich był teren dawnej koksowni Walenty i kopalni Wawel w Rudzie Śląskiej. W 2012 r. do niżej podpisanego trafiły dokumenty dotyczące terenu, na którym powstało centrum dystrybucyjne sieci Biedronka. Była to jedna ze sztandarowych inwestycji na terenie Śląskiego Parku Technologiczno-Przemysłowego.

Dawne zakłady przemysłowe zniknęły, uporządkowano teren, wybudowano drogi, pojawili się inwestorzy. Centrum Biedronki, uruchomione w lipcu 2012 r, zajmowało ok. 27 tys. m kw. i zaopatrywało ponad 200 sklepów. Gdy je budowano, firma Stalbet otrzymywała materiał pochodzący z robót ziemnych. Zamiast ziemi i gruzu ciężarówki zaczęły przywozić odpady smołowe. Pobrano próbkę materiału z placu budowy i przekazano ją do Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska w Katowicach. Tam wykryto liczne substancje niebezpieczne. A wśród nich arsen, rtęć, ołów, naftalen i benzo(a)piren. W opinii laboratoryjnej wskazano na właściwości rakotwórcze części wykrytych związków i niebezpieczny charakter odpadu.

Szefowie Stalbetu zaalarmowali odpowiednie instytucje, w tym ówczesne władze Rudy Śląskiej. Odpowiedź prezydent miasta Grażyny Dziedzic opierała się m.in. na oświadczeniu generalnego wykonawcy inwestycji, że podczas robót nie stwierdzono obecności ziem innych niż opisane w dokumentacji geologicznej i geotechnicznej.

I tak jest w wielu innych miejscach Górnego Śląska. Nikt nie bada ziemi, na której ciągle budowane są nowe osiedla mieszkaniowe. Ogromna część śmiertelnie trujących substancji tkwi w glebie, bo musi. To są takie ilości, że nie ma możliwości technicznych, by to wszystko usunąć. Nie mówiąc o tym, że koszt podobnej operacji jest tak olbrzymi, że wręcz niemożliwy do oszacowania.

Zresztą odpady nie tylko leżą w ziemi. Czasami płyną rzekami – gdy trzeba dokonać „zrzutu" wody gromadzącej się w czynnych i już nieczynnych kopalniach. Wtedy rzeki znów zamieniają się w ścieki. To właśnie ta wypompowywana z kopalń woda była przyczyną zakwitu złotej algi i w 2022 r. spowodowała, że życie w Odrze umarło.

Mateusz Cieślak

Krystynowi Dąbrowie

składamy wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

syna Krzysztofa

Grono Przyjaciół:

Andrzej Bajorek, Kazimierz Bąk, Jan Bogutyn, Jerzy Bolesławski, Franciszek Ciemny, Jan Cofałka, Henryk Czerski, Marianna i Jerzy Dąbrowscy, Stanisław Gabrielski, Józef Gajewicz, Andrzej Głowacki, Włodzimierz Janowski, Władysław Kaczorkiewicz, Janusz Kubasiewicz, Edward Kuczera, Andrzej Kupich, Zdzisław Kurowski, Andrzej Łachut, Andrzej Majkowski, Ryszard Marcinkowski, Ludwik Mizera, Czesław Pilarz, Janusz Skolimowski, Bogdan Waligórski, Stefan Żelazowski

eprasa.pl 7deee0c938

Krętactwa posła Wiplera

Nawet w Konfederacji mają już dość tłumaczenia się z jego wyskoków

Andrzej Sikorski

„Na ten moment nie ma podstaw do wyciągania jakichkolwiek konsekwencji”, oświadczył rzecznik Konfederacji Wojciech Machulski w odpowiedzi na tekst Wirtualnej Polski o tym, że firmy powiązane z Przemysławem Wiplerem i jego współpracownikiem Michałem Krzymowskim otrzymały 6,7 mln zł wynagrodzenia od podmiotów, których problemy były potem omawiane na posiedzeniach Parlamentarnego Zespołu ds. Wolnego Rynku pod przewodnictwem… posła Wiplera.

Polityka i byłego dziennikarza łączyło kilka spółek, które rejestrowano pod tym samym adresem, gdzie mieści się biuro poselskie Wiplera, przy Nowogrodzkiej 6A w Warszawie. W 2020 r. panowie (Wipler nie był wtedy posłem) założyli spółkę lobbingową Five Rand. W 2022 r. zaś powstały Fiverand Krzymowski SKA oraz dwie jednoosobowe działalności: Wipler Doradztwo i Michał Krzymowski PR. Klientami były m.in. podmioty z branży bukmacherskiej, fintechy, przedsiębiorstwo z sektora odpadowego, agencja zatrudnienia oraz zrzeszenie pracodawców.

Wipler jako poseł prowadził działania lobbingowe w interesie swoich byłych zleceniodawców, interweniując w urzędach państwowych, m.in. w Komisji Nadzoru Finansowego, Ministerstwie Finansów, Ministerstwie Aktywów Państwowych, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz w Urzędzie Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Takie zachowanie wybrańca narodu, który wykorzystuje mandat do wspierania prywatnych biznesów nie jest, sprzeczne z prawem, ale wyjątkowo naganne moralnie – i owszem. Dobrego świadectwa nie wystawiają też parlamentarzyście nieścisłości w oświadczeniach majątkowych.

Lobbysta i milioner

W 2024 r. Centralne Biuro Antykorupcyjne zostało poinformowane, że Wipler w oświadczeniach zaniżył liczbę posiadanych akcji spółki Figene Capital. Wkrótce po tym poseł złożył korektę oświadczenia majątkowego. Napisał w niej, że 5,1 mln akcji Figene Capital przekazał 8 listopada 2023 r. (pięć dni przed ślubowaniem poselskim) Fundacji Rodzinnej RW, której jest fundatorem, a beneficjentami są on sam, jego żona oraz dzieci.

Fundacje rodzinne to bardzo ciekawy twór. Państwo chciało w ten sposób pomagać osobom prowadzącym rodzinne biznesy w przekazywaniu firm następnym pokoleniom. Jednak różni cwaniacy, w tym politycy, zaczęli je zakładać tylko po to, aby płacić niższe podatki oraz ukrywać przed wścibskimi informacje o posiadanym majątku



Przemysław Wipler na konferencji CPAC Poland w Jasionce koło Rzeszowa. 27 maja 2025 r.

eprasa.pl 7deee0c938

(sprawozdania finansowe fundacji nie są publicznie dostępne). Nie wiemy zatem, jakim majątkiem dysponuje fundacja rodzinna Wiplerów, a prawdopodobnie chodzi o pokaźne kwoty. Wiadomo natomiast, że polityk pożyczył od swojej fundacji 350 tys. zł. Pytany, na jakich zasadach, odparł, że nie pamięta.

W oświadczeniach majątkowych Wipler wskazał, że jego „oficjalny" stan posiadania to kilkanaście milionów złotych, na co składają się m.in. liczne nieruchomości, ale też kolekcje zegarków i obrazów. Wiadomo też, że oprócz prowadzenia jednoosobowej działalności gospodarczej jest członkiem rady nadzorczej w spółce Magna Polonia oraz członkiem zarządu w Fundacji Dobry Rząd.

Działania Wiplera nie powinny nikogo dziwić. Media od lat informują o jego lobbingowej profesji i wykorzystywaniu znajomości politycznych. W 2021 r. o Wiplerze, Krzymowskim i Five Rand pisała „Gazeta Wyborcza". Dziennikarze zwrócili uwagę, że wielu polityków ówczesnego obozu władzy, a szczególnie Partii Republikańskiej (Adam Bielan, Kamil Bortniczuk, Łukasz Mejza, Jacek Żalek, Włodzimierz Tomaszewski i Małgorzata Janowska), prowadzi działalność zbieżną z opiniami Wiplera, pisząc interpelacje oraz zgłaszając poprawki do ustaw w komisjach sejmowych.

W wojnie pomiędzy koncernami tytoniowymi British American Tobacco i Philip Morris International Wipler miał działać w interesie tego pierwszego, wykorzystując kontakty polityczne m.in. w Ministerstwie Sprawiedliwości. Wiceminister Marcin Romanowski (bliski znajomy Wiplera, był świadkiem na jego ślubie) w liście do ministra finansów zaproponował wzrost akcyzy na tzw. wyroby nowatorskie, czyli podgrzewacze do tytoniu. Uderzałoby to w jedną firmę, Philip Morris, która jest liderem w produkcji podgrzewaczy. Jednak informacje o zakulisowych działaniach Wiplera i jego stronników dotarły do samego prezesa PiS, a Jarosław Kaczyński zdyscyplinował swoich posłów w czasie głosowania w Sejmie. Ostatecznie ustawa o podatku akcyzowym została uchwalona bez poprawek, czyli w wersji rządowej niefaworyzującej żadnego koncernu.

Oprócz British American Tobacco Wipler miał też pracować dla InPostu, TikToka, Allegro i branży futrzarskiej. To jego zabiegi przyczyniły się do obalenia w Sejmie słynnej „piątki dla zwierząt" Kaczyńskiego.

Na usługach Zondacrypto

Na sejmowych korytarzach mówiło się, że Wipler grał na dwa fronty. Z jednej strony jako lobbysta, a z drugiej prowadził działalność polityczną. Choć nie był posłem, uważano go za osobę, która miała być łącznikiem między Konfederacją a Solidarną Polską Zbigniewa Ziobry. Krążyły plotki o budowie nowej formacji.

„Nie planuję powrotu do polityki. Z perspektywy moich doświadczeń wiem z całą pewnością, że nie mam do tego predyspozycji", twierdził Wipler w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" w 2021 r. Jednak w 2023 r. w rozmowie z „Rzeczpospolitą" mówił już co innego, mianowicie, że „tak naprawdę nigdy nie odszedł z polityki". W ostatnich wyborach znalazł się na liście Konfederacji do Sejmu. Jako jedynka w okręgu toruńskim dostał prawie 13,5 tys. głosów, co zapewniło mu mandat. Paweł Kukiz pytał na Twitterze, czy decyzja o starcie Wiplera z pierwszego miejsca w Toruniu to wynik „zapłaty czy odebrania wypłaty". W odpowiedzi Wipler nazwał Kukiza łapówkarzem i „zwykłą szmaciną polityczną".

Nazwisko Wiplera przewija się także w aferze Zondacrypto, giełdy kryptowalut założonej przez przestępców. Polityk nie tylko sprzeciwiał się uregulowaniu szemranego rynku kryptowalut, ale jeszcze promował Zondacrypto z trybuny sejmowej i w wystąpieniach publicznych. Taka postawa nie była bezinteresowna, bo jak ujawnił premier Donald Tusk (na podstawie ustaleń Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego), ze spółki Expo Fair Service House, należącej do prezesa Zondacrypto Przemysława Krala, przekazano 70 tys. euro do fundacji Wiplera Dobry Rząd. Pieniądze przelano na przełomie października i listopada 2025 r., przed głosowaniem w Sejmie nad prezydenckim wetem do ustawy o kryptowalutach.

Oburzony Wipler wywodził, że sugestie premiera, iż działalność jego fundacji miała związek z prezydenckim wetem do ustawy o rynku kryptowalut, „są absurdalne i stanowią insynuację naruszającą jego dobre imię". A tak w ogóle to nie miał nic wspólnego „z proaktywnym" procedowaniem ustawy ani z Kancelarią Prezydenta, dla spółki Krala wykonywał zaś prace analityczne bez związku z legislacją ustawy.

„Ciemny lud to kupi", mówił bulterier PiS Jacek Kurski. Ale nawet w Konfederacji mają już dość tłumaczenia się z wyskoków Wiplera. Wicemarszałek Sejmu i szef Ruchu Narodowego Krzysztof Bosak publicznie odciął się od klubowego kolegi, potępiając kontakty z Zondacrypto. Natomiast pytany o odpowiedzialność polityczną Wiplera wykręcił się: „Przemysława Wiplera do Konfederacji zaprosił na nasze listy Sławomir Mentzen. Uważam, że to Sławomir Mentzen powinien odbyć z Przemkiem Wiplerem szorstką, męską rozmowę na temat biznesu i polityki, granic i zasad. Przemek zna moje zdanie".

Szef Nowej Nadziei na razie stanął po stronie podpadniętego posła, ale gdy ten będzie mu zbytnio ciążył, pozbędzie się go, tak jak to zrobił z popularną europosłanką Ewą Zajączkowską-Hernik. Wyrzucenie z Konfederacji nie będzie wielką krzywdą dla Wiplera, który znajdzie dla siebie wygodne miejsce. Wystarczy spojrzeć na jego życiorys.

Wizjoner i budowniczy

Urodzony w 1978 r. Wipler do polityki wszedł w wieku ledwie 19 lat.

W oświadczeniach majątkowych Wipler wskazał, że jego stan posiadania to kilkanaście milionów złotych, czyli liczne nieruchomości oraz kolekcje zegarków i obrazów.

eprasa.pl 7deee0c938

W 1997 r. jako wolontariusz pomagał w Gdańsku przy kampanii Donalda Tuska, gdy ten kandydował do Senatu. Jego zadanie sprowadzało się wówczas głównie do rozdawania ulotek pod wodzą Sławomira Nowaka, późniejszego posła i ministra, którego karierę polityczną zakończyła afera z oświadczeniami majątkowymi. Po udanej kampanii Nowak podarował Wiplerowi książkę „Bedeker gdański" z dedykacją: „Przyszłemu premierowi RP Przemysławowi Wiplerowi – przyszły prezydent RP Sławomir Nowak".

Wipler szybko zmienił zapatrywania polityczne, bo już w 1998 r. oczarował go Janusz Korwin-Mikke, przywódca Unii Polityki Realnej. Wipler współtworzył młodzieżówkę UPR, Stowarzyszenie Konserwatywno-Liberalne KoLiber, został nawet rzecznikiem partii Korwin-Mikkego. Jednak ambitny młodzian uznał, że z kanapową UPR kariery nie zrobi, i przytulił się do PiS. Jesienią 2005 r. startował do Sejmu, ale bez sukcesów.

Partia o nim nie zapomniała i trafił pod skrzydła Piotra Naimskiego, który został wiceministrem gospodarki odpowiedzialnym za bezpieczeństwo energetyczne Polski. U boku Naimskiego 27-letni Wipler przedstawiał się jako specjalista w dziedzinie bezpieczeństwa energetycznego. Chwalił się, że gdy pracował w Ministerstwie Gospodarki, stworzył Departament Dywersyfikacji Dostaw Nośników Energii.

„Zbudowałem od podstaw zespół zajmujący się bezpieczeństwem energetycznym RP, koordynacją i nadzorem nad kluczowymi projektami inwestycyjnymi w branży ropy i gazu (m.in. budowa gazoportu w Świnoujściu)", twierdził Wipler, choć rzeczywistość była nieco inna. W departamencie pracowało kilkanaście osób związanych z PiS, bez żadnego doświadczenia w energetyce, takich jak Janusz Kowalski.

Budowa gazoportu okazała się skandalem. Zamiast Wiplera i jego ludzi budową zajmował się (a raczej nie zajmował) minister gospodarki morskiej, wszechpolak Rafał Wiechecki. Gdy Wiechecki wyleciał z rządu, okazało się, że sztandarowa inwestycja PiS istnieje tylko na papierze. W 2008 r. stworzony przez Wiplera departament został zlikwidowany. Pracownicy złożyli wypowiedzenia – ludzie zrezygnowali, bo jak donosiła „Gazeta Wyborcza", „nikt niczego od nich nie chciał i mieli dość przychodzenia do pracy, aby tylko przeczytać gazety i wypić kawę".

Oprócz synekury w resorcie gospodarki Wipler dostał prestiżowy stołek przewodniczącego rady nadzorczej strategicznej dla bezpieczeństwa państwa spółki – Przedsiębiorstwa Eksploatacji Rurociągów Naftowych Przyjaźń SA (PERN), zajmującego się m.in. eksploatacją rurociągów transportujących ropę z Rosji.

Rzecznik kiboli

Jesienią 2007 r. zmienił się rząd, a Wipler stracił ministerialne synekury. W 2011 r. w czasie kampanii wyborczej odnalazł się w nowej roli. Przed Sejmem razem z kibolami Legii Warszawa rozłożył transparent „Smoleńsk – pamiętamy". Następnie chuligani ogłosili powołanie rzecznika praw kibica, którym został… Wipler. Oświadczył on wtedy, że „w Polsce narasta fala łamania praw kibiców". Ofiarą miał być nieformalny przywódca kiboli Legii Piotr Staruchowicz „Staruch", który siedział w areszcie za rozbój.

Nie był to jedyny akcent kibolski w repertuarze Wiplera. Podczas konferencji w Centrum Programowym PiS przed wyborami z 2011 r. Wipler wytknął rządowi PO niedotrzymywanie obietnic w dziedzinie bezpieczeństwa energetycznego i komentował przygotowania do Euro 2012, intonując na kibolską nutę: „Cała Polska z was się śmieje, gdzie są drogi i koleje". W Kielcach zaś na ulicznym telebimie pojawił się przygotowany przez kiboli i Wiplera kilkudziesięciosekundowy spot informujący, że rząd Platformy



Na sejmowych korytarzach mówiło się, że Wipler grał na dwa fronty, jako lobbysta i polityk. 22. posiedzenie Sejmu, 27 listopada 2024 r.

eprasa.pl 7deee0c938

prześladuje kibiców, a przez to spada frekwencja na meczach.

Wipler zaczął forsować kibolskie pomysły zmiany ustawy o imprezach masowych: usunięcie tzw. zakazu klubowego, czyli umożliwienie chuliganom wszczynającym burdy wchodzenia na mecze; umożliwienie wnoszenia na stadiony materiałów pirotechnicznych oraz przymusowe finansowanie przez samorządy stowarzyszeń kibolskich. Kampania wśród kiboli przyniosła skutek. Z siódmego miejsca warszawskiej listy PiS Wipler dostał się do Sejmu. Nie zapomniał o swoich wyborcach. W styczniu 2013 r. był na Jasnej Górze podczas pielgrzymki stadionowych chuliganów, którzy na jasnogórskich błoniach odpalali petardy, skandując: „Bóg, Honor, Ojczyzna", „A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści", „Precz z komuną", „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę" oraz „Donald, matole, tu są kibole".

W pijackim szale

W czerwcu 2013 r. Wipler rozstał się z partią Jarosława Kaczyńskiego. Jak stwierdził, „z uwagi na dzielące nas różnice programowe". Jesienią tego samego roku trafił na czołówki gazet i wiadomości telewizyjnych, gdy po pijanemu wdał się w bójkę z policjantami. Jak przystało na ultrakatolika, Wipler świętował wiadomość o poczęciu piątego dziecka nie na mszy dziękczynnej w kościele, ale przy wódce w warszawskich dyskotekach. Była czwarta nad ranem, gdy patrol policji legitymował w centrum stolicy dwóch mężczyzn. Świadkiem tego był pijany poseł, który zaczął wymachiwać rękami w kierunku stróżów prawa i słać pod ich adresem wulgaryzmy.

Na polecenia, by nie przeszkadzał w czynnościach, Wipler nie reagował. Zaczął napierać na policjanta, złapał go za rękę, wyzywając od ch… i k… Nie pomogły kolejne ostrzeżenia, żeby się uspokoił i odszedł na bok. Wipler zareagował z jeszcze większą agresją. Funkcjonariusz próbował obezwładnić napastnika gazem pieprzowym. Obaj upadli na chodnik. Na pomoc koledze ruszyła policjantka. Wywiązała się szarpanina. Wipler w pijackim szale kopał leżącego pod nim policjanta w udo, a policjantkę w brzuch. Ta użyła pałki, próbując przywołać wybrańca narodu do porządku. W końcu udało się zakuć go w kajdanki.

Poseł trafił na słynną komendę przy Wilczej i do jeszcze słynniejszej izby wytrzeźwień przy Kolskiej.

Znamy dokładny przebieg wydarzeń, bo „występ" Wiplera został zarejestrowany przez kamery monitoringu. Jednak to poseł robił z siebie ofiarę, twierdząc, że został bezpodstawnie zaatakowany i brutalnie pobity. Odgrażał się, że przed sądem udowodni swoją niewinność, a policjantom wytoczy procesy.

Wielu polityków prowadzi działalność zbieżną z opiniami Wiplera, pisząc interpelacje oraz zgłaszając poprawki do ustaw w komisjach sejmowych.

Obietnic nie dotrzymał, wyrok zaś musiał być dla niego szokiem. Za stosowanie przemocy wobec funkcjonariuszy oraz ich znieważenie dostał pół roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata oraz 10 tys. zł grzywny, plus pokrycie kosztów procesu. Dodatkowo sąd orzekł obowiązek opublikowania pisemnych przeprosin na łamach miesięcznika wydawanego przez Komendę Główną Policji. Co prawda, Wipler zapowiadał złożenie apelacji, ale ostatecznie odpuścił. „Mój klient stracił wiarę w polski wymiar sprawiedliwości. Będzie walczył o swoje dobre imię na innych polach", zapowiedział mec. Krzysztof Wąsowski, obrońca polityka.

Człowiek skrajnie niezorganizowany

W wyborach w 2015 r. Wipler bez powodzenia kandydował do Sejmu z listy partii KORWiN. W 2017 r. wybuchła kolejna afera. „Fakt" napisał, że Wipler zdefraudował pieniądze z Fundacji Wolność i Nadzieja, której był założycielem, prezesem, a także darczyńcą. Polityk miał wyprowadzić ok. 100 tys. zł, które przeznaczył na prywatne wydatki, m.in. opłacenie posiłków w restauracjach, pobytów w hotelach i spa, zakup biletów lotniczych, drogich telefonów i gier wideo. Wipler wydał oświadczenie, że są to pomówienia, za którymi miał stać drugi członek zarządu fundacji, Łukasz Wróbel. Jednocześnie zapowiedział, że rezygnuje z działalności politycznej, bo stronnicze media uwzięły się na niego.

„W trakcie ostatnich lat byłem wielokrotnie atakowany politycznie i medialnie. Jestem twardym człowiekiem i znoszę te ataki, jednak coraz większym ciężarem są one dla moich najbliższych, żony i coraz starszych dzieci. Te same media, które atakują mnie aktualnie, wielokrotnie wcześniej pisały na mój temat nieprawdę, nigdy nie prostowały swoich kłamstw i ewidentnych pomówień", sierdził się Wipler, który w związku z defraudacją usłyszał zarzuty prokuratorskie.

Sprawa trafiła do sądu, a zapobiegliwy polityk jeszcze przed rozpoczęciem procesu zwrócił pieniądze i poprosił sąd o umorzenie postępowania. Sędzia na to jednak nie przystał. Proces trwa już kilka lat i końca nie widać. Jak informowało Radio ZET (marzec br.), prokuratura została sama na placu boju, bo z oskarżenia wycofała się poszkodowana fundacja, a świadkowie utrzymują, że nic nie wiedzieli o tym, żeby Wipler defraudował jej środki. Ewentualne nieprawidłowości w wydatkowaniu pieniędzy tłumaczą zaś roztargnieniem byłego prezesa (sic!). Aby dać mu alibi, zrobili z niego głupka.

Mariusz K., asystent społeczny Wiplera, opowiadał, że ten „jest człowiekiem skrajnie niezorganizowanym, komputery zostawiał w toaletach, gubił legitymacje poselskie, zapominał rzeczy, które mi zlecał". Natomiast Przemysław S., szef firmy zajmującej się księgowością fundacji, twierdził, że „Wipler jest chodzącym koszmarem pod względem organizowania się, jeśli chodzi o dokumenty", a „jego podejście do dokumentów jest niefrasobliwe, notoryczne gubienie i roztargnienie".

Andrzej Sikorski

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER, GRZEGORZ WAJDA /REPORTER

eprasa.pl 7deee0c938



Co dziecko robi w sieci i z kim rozmawia

Kornel Wawrzyniak

Po ostanich atakach nożowników w polskich szkołach debata publiczna skręciła na stare tory – straszenia demonami rodem z lat 90. Wróciły pytania o brutalne gry komputerowe i wpływ cyfrowej rozrywki na młodych ludzi. Temat podjął również premier Donald Tusk, który mówił o patostreamach, freak fightach (występach osób niezwiązanych na co dzień ze sportami walki, m.in. celebrytów i youtuberów) i niebezpiecznych wyzwaniach internetowych, ale wspomniał także o grach. Szef rządu nie musiał długo czekać na odpowiedź graczy i specjalistów.

Stare strzelanki, nowe problemy

To nie pierwszy raz, gdy po głośnej tragedii pojawia się potrzeba szybkiego znalezienia winowajcy. Problem polega jednak na tym, że rzeczywistość nie chce się dopasować do prostych odpowiedzi. Najłatwiej byłoby uwierzyć, że istnieje jedna przyczyna przemocy. Jedna aplikacja, jedna gra, jeden film czy jeden gatunek muzyki. Takie wyjaśnienie porządkuje chaos. Tyle że od ponad dwóch dekad kolejne badania pokazują, że sprawa jest dużo bardziej złożona.

Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne już w 2020 r. stwierdziło, że nie istnieją wystarczające dowody związku przyczynowo-skutkowego między brutalnymi grami a brutalnymi zachowaniami. Organizacja wskazywała, że skupianie się na grach odwraca uwagę od takich czynników jak wcześniejsza agresja, sytuacja rodzinna czy problemy psychiczne.

Podobne wnioski płyną z badań prowadzonych przez psycholog dr Ewę Międzobrodzką. Jej eksperymenty nie wykazały znaczących zmian w większości analizowanych kompetencji społecznych młodzieży po kontakcie z grami zawierającymi przemoc. Badaczka zauważyła jednak pewne krótkotrwałe efekty, związane z osłabieniem zdolności przyjmowania perspektywy innych osób oraz zjawiskiem tzw. odwrażliwienia emocjonalnego. Jednocześnie podkreślała, że wpływ takich gier nie jest ani jednoznacznie szkodliwy, ani całkowicie neutralny. Zależy od wieku, doświadczeń, czasu grania oraz indywidualnych cech użytkownika.

Jeszcze ciekawsze są badania dotyczące pozytywnych skutków gamingu. Prof. Łukasz Kaczmarek z UAM zwraca uwagę, że wpływ gier na agresję jest statystycznie wykrywalny, ale w codziennym życiu praktycznie niezauważalny. O wiele większe znaczenie mają wzorce zachowań wynoszone z domu. Widać natomiast w licznych badaniach związki między umiarkowanym

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 7deee0c938

graniem a lepszym dobrostanem psychicznym, szybszym przetwarzaniem informacji czy większą sprawnością poznawczą. Nie oznacza to, że problem nie istnieje. Po prostu często szukamy go w niewłaściwym miejscu.

Najbardziej kuriozalnym tego przykładem jest zamieszanie wokół Minecrafta. W internecie błyskawicznie zaczęła krążyć lista gier, które rzekomo sprowadzają dzieci na drogę przemocy. Obok tytułów dla dorosłych takich jak GTA V (w której bawimy się w gangsterów) znalazł się Minecraft, gdzie godzinami buduje się światy, często kopiąc w ziemi, albo Euro Truck Simulator, czyli symulator prowadzenia ciężarówki.

Sednem problemu są nie same gry, ale społeczności budujące się wokół nich, często nawet poza nimi, na Discordzie czy innych komunikatorach.

Brzmi absurdalnie? Bo i miało tak brzmieć. Jak zauważył Adam Bednarek z portalu Spider's Web, lista pochodziła z facebookowego profilu „Mamy Przeciwko Brutalnym Grom Komputerowym". Nie jest to jednak żadna oddolna organizacja, tylko wieloletnia satyra i mistyfikacja, której twórca kilka lat temu otwarcie przyznał, że prowadzi eksperyment społeczny. Nie przeszkodziło to wielu mediom w powielaniu listy.

Żart, który miał wyśmiewać panikę moralną wokół gier, po latach zaczął być traktowany śmiertelnie poważnie. Nie sposób nie zauważyć ironii całej sytuacji. W momencie gdy naukowcy dyskutują o algorytmach, radykalizacji i bezpieczeństwie dzieci w internecie, część debaty publicznej znowu sprowadza się do pytania, czy Minecraft nie produkuje przypadkiem przestępców.

Właśnie dlatego wypowiedź premiera wywołała tak wiele krytyki. Nie chodzi o to, że nie istnieją zagrożenia związane z internetem. Wręcz przeciwnie. Problem polega na tym, że wskazanie tylko gier zaciemnia obraz sytuacji. Jego sednem nie są same gry, ale społeczności budujące się wokół nich, a często już poza nimi, na Discordzie czy innych komunikatorach. Minecraft może być miejscem pierwszego kontaktu. Nie jest natomiast źródłem radykalizacji.

Skala, której nikt nie kontroluje

Najciekawszą analizę obecnej sytuacji przedstawił Adam Sokołowski na łamach „Krytyki Politycznej". Jego główna teza jest niewygodna zarówno dla przeciwników gier, jak i dla części ich obrońców. Autor przekonuje bowiem, że internet rzeczywiście może odgrywać istotną rolę w procesie prowadzącym do przemocy, ale nie w taki sposób, jak większość ludzi sobie wyobraża. Sokołowski opisuje środowisko określane jako Dark True Crime Community, internetową subkulturę połączoną fascynacją sprawcami zamachów, terrorystami i szkolnymi masakrami. W takich społecznościach przemoc zostaje zmemizowana, a zbrodniarze zmieniają się w ikony internetu. Algorytmy mediów społecznościowych pomagają następnie użytkownikom trafiać na coraz radykalniejsze treści.

Właśnie do takich wniosków dochodzi Sokołowski: problemem są nie same gry, lecz wykorzystywanie współczesnych platform cyfrowych jako narzędzia dotarcia do młodych ludzi. W tym kontekście szczególnie interesujący jest przypadek Robloksa. Platforma nie jest przecież grą w tradycyjnym rozumieniu. To ogromny ekosystem społecznościowy, z którego korzystają przede wszystkim dzieci. NASK i zagraniczne raporty od lat sygnalizują problemy z moderacją treści, obchodzeniem zabezpieczeń wiekowych czy próbami nawiązywania kontaktów z nieletnimi przez osoby dorosłe.

I o tym powinna być dyskusja, której często brakuje w politycznych komentarzach. Nie o tym, czy Minecraft lub GTA są niebezpieczne albo czy jakiś nastolatek zagrał w strzelankę, ale o tym, jak działają algorytmy, w jaki sposób młodzi ludzie budują relacje w internecie i dlaczego część z nich trafia do środowisk, które normalizują przemoc. Debata publiczna cofnęła się zaś na chwilę do lat 90. i zatrzymała na tym, czy gry wywołują agresję, podczas gdy największe wyzwanie znajduje się gdzie indziej.

Warto przyjrzeć się Robloksowi. To tam jeden z niedoszłych młodocianych zamachowców miał odtwarzać plan swojej szkoły i ćwiczyć scenariusz ataku. Łatwo jednak wpaść w tym momencie w tę samą pułapkę i wyciągnąć zbyt prosty wniosek: skoro używał Robloksa, to Roblox jest winny. Takie myślenie byłoby równie powierzchowne jak oskarżanie każdej innej gry o produkowanie przestępców.

Powtórzmy: Roblox nie jest zwykłą grą komputerową, to ogromna platforma społecznościowa przebrana za grę. We wrześniu br. Komisja Europejska dołączyła Robloksa do listy wielkich platform internetowych (takich jak ChatGPT i Reddit), po tym jak zadeklarował on ponad 45 mln aktywnych użytkowników w Unii Europejskiej. Dla pokolenia obecnych 30- i 40-latków gra była produktem. Kupowało się płytę, instalowało program i siadało do rozgrywki. Dziś coraz częściej mamy do czynienia z cyfrowymi ekosystemami. Roblox jest jednym z najlepszych przykładów tej zmiany.

Użytkownik nie wchodzi do jednej gry. Wchodzi na platformę składającą się z tysięcy światów tworzonych przez innych użytkowników. Może grać, rozmawiać, poznawać nowych ludzi, uczestniczyć w wydarzeniach, wydawać pieniądze, tworzyć własne treści i budować społeczności. To bardziej połączenie Facebooka, YouTube'a, Discorda i sklepu z grami niż klasyczna produkcja wideo.

Właśnie dlatego Roblox ma dziś znaczenie wykraczające daleko poza rynek gier. Ponad połowę jego użytkowników stanowią osoby poniżej 16. roku życia. Dla wielu dzieci to pierwsze miejsce, w którym samodzielnie budują relacje społeczne w internecie. I tutaj pojawiają się prawdziwe problemy. Siłą Robloksa jest to, że większość dostępnych tam światów stworzyli sami użytkownicy.

eprasa.pl 7deee0c938

Jednego dnia dziecko może odwiedzać edukacyjną grę logiczną, drugiego trafić do świata inspirowanego horrorem, a trzeciego do miejsca, które moderacja powinna usunąć, ale jeszcze go nie zauważyła.

Raporty NASK, organizacji zajmujących się bezpieczeństwem dzieci w sieci oraz zagraniczne badania od dawna wskazują, że platforma ma problem z kontrolą tego, co dzieje się wewnątrz tworzonego przez użytkowników ekosystemu. W ostatnich latach opisywano przypadki gier odwołujących się do prawdziwych zamachów, światów zawierających treści seksualne ukrywane przed moderacją, a także przestrzeni, w których dzieci były zachęcane do przenoszenia rozmów poza platformę.

Ten ostatni element wydaje się szczególnie niebezpieczny. Sam Roblox posiada wbudowany czat i liczne mechanizmy społecznościowe. Nawet jeśli część z nich jest ograniczana przez filtry i zabezpieczenia wiekowe, rozmowa często bardzo szybko przenosi się na Discorda, WhatsAppa i inne komunikatory. W tym momencie kończy się kontrola platformy. Problem nie sprowadza się więc do treści samej gry. Stają się nim budowane wokół gry relacje.

To zresztą wniosek, który powtarza się zarówno w analizach NASK, jak i w badaniach dotyczących bezpieczeństwa nieletnich w sieci. Technologia może utrudniać kontakt między dorosłymi a dziećmi, ale nie jest w stanie go uniemożliwić. Zwłaszcza gdy po drugiej stronie znajdują się osoby świadomie próbujące obejść zabezpieczenia. Z tego punktu widzenia pytanie, czy Roblox jest niebezpieczny, okazuje się źle postawione. Bardziej trafne byłoby pytanie, czy platforma używana codziennie przez miliony dzieci jest wystarczająco nadzorowana i czy rodzice rozumieją, jak faktycznie działa.

Moralna panika przesłania rzeczywiste zagrożenia

I tutaj wracamy do niefortunnej wypowiedzi Donalda Tuska. Możliwe, że premier próbował zwrócić uwagę na realne zagrożenie, ale użył do tego niewłaściwego języka. W efekcie poważna dyskusja zaczęła dryfować w stronę kolejnej wojny o gry komputerowe, a internet żył listą rzekomo niebezpiecznych gier wziętą z satyrycznego profilu.

Ponad połowę użytkowników Robloksa stanowią osoby poniżej 16. roku życia. Dla wielu dzieci to pierwsze miejsce, w którym samodzielnie budują relacje społeczne w internecie.

To symptom znacznie większego problemu. Gdy dochodzi do tragedii, łatwo wskazać grę, film albo aplikację. Znacznie trudniej mówić o kryzysie zdrowia psychicznego młodzieży, samotności, radykalizacji w internecie, przemocy rówieśniczej czy algorytmach promujących coraz bardziej ekstremalne treści. A przecież do tych zagadnień prowadzą wszystkie najbardziej wartościowe analizy z ostatnich tygodni.

Warto tutaj wrócić do tekstu Adama Sokołowskiego opublikowanego w „Krytyce Politycznej". Autor pokazuje, że pytanie o wpływ internetu na przemoc nie jest całkowicie błędne. Błędne jest natomiast rozumienie mechanizmu. Współczesna radykalizacja często przebiega nie przez konkretną grę czy pojedynczy film, ale przez sieć powiązanych społeczności, memów, algorytmów i subkultur internetowych. Szczególną rolę odgrywają zamknięte środowiska zafascynowanych sprawcami masakr, terrorystami i przemocą. To tam młodzi ludzie trafiają na treści normalizujące agresję, gloryfikujące sprawców i przedstawiające przemoc jako element internetowej kultury.

Gry bywają jedynie drzwiami do takich środowisk. Nie dlatego, że uczą zabijania. Dlatego, że stały się miejscami spotkań. I właśnie dlatego Roblox jest tak ważnym elementem tej układanki. Nie dlatego, że zawiera przemoc. Nie dlatego, że jakiś nastolatek zbudował tam model szkoły. Ale dlatego, że dla milionów dzieci pełni dziś funkcję, którą kiedyś pełniły szkolne podwórko i osiedlowy plac zabaw, a jednocześnie jest komunikatorem internetowym.

To tam zawierane są znajomości. Tam budowane są grupy. Tam młodzi ludzie wymieniają się informacjami. Tam mogą znaleźć wartościowe społeczności, ale także spotkać osoby próbujące ich wykorzystać lub zradykalizować. Dlatego prawdziwe pytanie nie brzmi: czy gry powodują przemoc? Badania wciąż nie dają podstaw, by twierdzić, że istnieje prosty związek przyczynowo-skutkowy między graniem a brutalnymi przestępstwami. Znacznie ważniejsze jest pytanie: co dzieje się z dzieckiem, kiedy kończy grać i zaczyna żyć w cyfrowej społeczności, której dorośli często ani nie rozumieją, ani nawet nie wiedzą o jej istnieniu?

Większość badań prowadzi do podobnego wniosku. Nie ma podstaw, by uznawać gry za bezpośrednią przyczynę przemocy. Są natomiast podstawy, by interesować się tym, co dziecko robi w sieci, z kim rozmawia i jakie społeczności je otaczają. Właśnie dlatego najrozsądniejsza rada brzmi zaskakująco prosto: zamiast demonizować gry, warto czasem usiąść obok dziecka i zagrać razem z nim.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Naszemu redakcyjnemu koledze

Andrzejowi Sikorskiemu

wyrazy serdecznego współczucia i wsparcia po śmierci

OJCA

składają

Jerzy Domański
i zespół tygodnika „Przegląd"

eprasa.pl 7deee0c938

HISTORIA bez IPN

CHWAŁA BOHATERSKIM ZDOBYWCOM BERLINA

Fałszerze historii z IPN czarną farbą malują jedną z najpiękniejszych kart polskiego oręża



66 zł

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7deee0c938



OGNISKO wciąż się pali

Las, gitara i mundur ZHP. Dlaczego harcerstwo nadal przyciąga młodych

Maciej Belowski

– Nawet jeśli nie czuliśmy się dobrze w domu czy w relacjach w szkole, harcerstwo mogło być dobrą odskocznią, żeby znaleźć kogoś, kto będzie wsparciem w trudnej sytuacji – wspomina Natalia, była harcerka, która przez dziesięć lat należała do ZHP.

Harcerstwo kojarzy się dość stereotypowo: z lasem, ogniskiem i gitarą, z mundurem i chustą, z wyprawami pod namiot. I z historią, o której opowiada się w drużynach. Tyle że dziś dzieci i młodzież, które do niego dołączają, żyją w innej rzeczywistości niż poprzednie pokolenia. Dorastają ze smartfonem w ręku, wśród powiadomień i innych rozpraszaczy uwagi. Mimo to harcerstwo wciąż ma coś dla nich.

Związek Harcerstwa Polskiego zgodnie z informacjami zamieszczonymi na oficjalnej stronie jest największą młodzieżową organizacją w Polsce. Zrzesza ponad 115 tys. osób, a na co dzień działa w nim ponad 16 tys. wolontariuszek i wolontariuszy. Dlaczego młodzi nadal chcą spędzać piątkowe popołudnia na zbiórce zamiast przed ekranem?

Piątek po południu

Natalia związała się z harcerstwem w wieku ośmiu lat, kiedy w jej szkole przeprowadzony został nabór do gromady zuchowej. Na pierwszy biwak, majówkowy, pojechały we trójkę – z siostrą i koleżanką. Z każdym kolejnym wyjazdem dzieci było więcej.

– Najpierw były zuchy, potem harcerze młodsi, harcerze starsi i wędrownicy. Spotykaliśmy się co piątek, na półtorej godziny – opowiada. Obóz dla zuchów trwał tydzień, dla harcerzy dwa tygodnie. Pytana, co ją przyciągnęło, nie mówi o wielkich ideach: – Na pewno była to fajna zabawa. Zbiórki dla zuchów to głównie zagadki, zabawy ruchowe, pląsy. No i opiekun ma znaczenie. Drużynowa była naprawdę sympatyczną osobą i przyciągała dzieci do siebie.

Zabawa z czasem zmieniała się w odpowiedzialność. Na obozach harcerze sami budowali sobie prycze, na których potem spali. Natalia jako zastępowa nauczyła się koordynacji, zarządzania czasem podczas zbiórki i przekazywania wiedzy innym. – Na zbiórki nie chodzi się po nic. Chodzimy, żeby się nauczyć czegoś nowego i nawiązać przyjaźnie, co później procentuje w relacjach w dorosłym życiu.

Najmocniej wybrzmiewa jednak jej opowieść o ludziach. Dwa tygodnie w lesie, w jednym namiocie, z tymi samymi osobami, w nie zawsze łatwych warunkach, to doświadczenie, którego nie da się odtworzyć w szkolnej klasie.

– Kiedy mamy do rozwiązania wiele problemów, wychodzą prawdziwe cechy każdego człowieka. Nie da się przez dwa tygodnie udawać kogoś, kim się nie jest. Te relacje nigdy więc nie były powierzchowne. Przyjaźnie z obozów przetrwały u mnie całe lata – wspomina.

Natalia zaznacza, że w harcerstwie była kilka lat temu i nie wie, jak wygląda ono dziś. Instagram jednak istniał już wtedy, a harcerstwo mimo to jednoczyło ludzi.

Gosia z okolic Olsztyna była w drużynie harcerskiej od czwartej do ósmej klasy podstawówki. Najlepiej wspomina wyjazdy, obozy

eprasa.pl 7deee0c938



Obóz harcerski w Przerwankach na Mazurach, lipiec 2013 r.

i rajdy, a z nich wieczorny rytuał: – Przed pójściem spać łapaliśmy się za ręce w kręgu i śpiewaliśmy piosenki. Była jedna taka na pożegnanie dnia…

Z harcerstwa wyniosła przede wszystkim braterstwo. – To takie poczucie przynależności, chęć pomagania ludziom dookoła, tworzenie wspólnoty dla innych, żeby wszyscy czuli się dobrze. To jest wartość, którą stamtąd wyciągnęłam. Przy ognisku siedzieliśmy razem, a piosenki znali wszyscy. To była bardzo włączająca społeczność.

Nauczyła się też pierwszej pomocy, za którą dostała odznakę, robienia węzłów, rozpalania ognia i budowania bazy z tego, co jest w lesie. Pod koniec podstawówki dostała wyższą funkcję i zaczęło przybywać jej obowiązków. Na początku liceum odeszła, gdy harcerstwo przestało być tylko fajną zabawą, a zaczęło wymagać dużo faktycznej pracy. Więzi jednak nie zerwała. Z trzema czy czterema osobami, które poznała w drużynie, przyjaźni się do dziś.

Nie widać nikogo z telefonem

Podharcmistrzyni Aneta Skarus działa w komendzie Hufca ZHP „Podlasie" Siedlce. Wróciła do niego po przerwie – hufiec w pandemii mocno podupadł. Pracuje, jak podkreśla, społecznie, a hufiec dorabia sobie, m.in. sprzedając własny merch (gadżety – przyp. red.).

Co miesiąc hufiec organizuje zlot dla wszystkich pionów, od zuchów po wędrowników. Pod koniec października w siedleckiej Szkole Podstawowej nr 12 odbył się zlot ekonomiczny. Dzieci najpierw uczyły się na warsztatach, czym jest ZUS i księgowość, a potem same zakładały firmy: kupowały parcele, szykowały reklamę i stoiska, zatrudniały pracowników. Na końcu zamykały działalność i rozliczały się w urzędach.

– Dzieci wystawiały paragony, więc ćwiczyły liczenie, prowadziły ewidencję przychodów. Robiły wszystko, co robi się w normalnej firmie – wspomina druhna Aneta.

Wcześniejsze zloty miały inną tematykę, np. historyczną – młodzież brała udział w nocnej grze w Pałacu Ogińskich w Siedlcach, a na balu „z księżną Ogińską" tańczono poloneza. Poza zlotami odbywają się wieczorne warsztaty: survivalowe, kulinarne, z haftu, makramy i instalacji przestrzennych. – Młodzież uczy się różnych rzeczy w duchu modnej obecnie obronności, ale też zaradności życiowej: robi makarony, piecze pizzę na zajęciach kulinarnych.

Czego młodzi szukają? – Każdy prawdopodobnie przychodzi z czymś innym – odpowiada Aneta Skarus. Jedno wie na pewno: – Podczas ostatniego zlotu nie widziałam żadnego dziecka z telefonem. Nie było czasu na to, żeby go wyjąć. Rodzice są już przyzwyczajeni, że dzieci nie zabierają telefonów na spotkania, a jeśli czegoś potrzebują, dzwonią wieczorem do drużynowego.

Nie jest jednak łatwo. – Kiedyś w każdej szkole była drużyna harcerska, a teraz od paru lat jeździmy po placówkach i nie ma chętnych, którzy podjęliby się prowadzenia drużyn – przyznaje. Dla niej samej harcerstwo zawsze oznaczało prestiż i elitarność, bo nie każdy potrafi bezinteresownie zrobić coś dla drugiego człowieka.

Mówiąc o harcerstwie, często zapomina się o tych, którzy zostają w nim po maturze. Na wielu uczelniach działają kręgi akademickie. W Toruniu jest to Studencki Krąg Instruktorski im. Tony'ego Halika, którego komendantem jest Tymoteusz Rudowicz. Prawie wszyscy członkowie kręgu są instruktorami ZHP – w swoich rodzinnych hufcach prowadzą drużyny albo pełnią funkcje kadrowe. W kręgu mają być po drugiej stronie, czyli nie prowadzić zbiórkę, tylko się na niej bawić. – Dla większości z nas krąg to miejsce, gdzie przychodzimy po prostu się wyszaleć. Żeby poczuć się trochę jak uczestnicy, żeby było też coś dla nas – tłumaczy Rudowicz.

Kalendarz takiego kręgu przypomina bardziej studencki festiwal niż musztrę: jest górski Ogólnopolski Zlot Harcerzy Akademików i Wędrowników „Diablak", weekendowa larpowa (live action role-playing) gra fabularna, organizowana przez Harcerski Krąg Akademicki SKIPP z Poznania, i toruńska impreza planszówkowa „Przyjedź i graj". Nieoficjalne hasło akademików (harcerskich grup studenckich) brzmi: „Spoko rzeczy, fajni ludzie".

Krąg jest otwarty na każdego, kto jest studentem. – Nie trzeba być harcerzem, żeby przynależeć do kręgu, chociaż z doświadczenia wiem, że jak ktoś się wkręci, to prędzej czy później tym harcerzem się staje – uśmiecha się Rudowicz. Sam zaczął w gimnazjum, kiedy jego znajoma pewnego dnia przyszła do szkoły w mundurze. – Zaciekawiłem się

ZHP to największa młodzieżowa organizacja w Polsce, zrzesza ponad 115 tys. osób. Na co dzień działa w nim ponad 16 tys. wolontariuszek i wolontariuszy.

FOT. KRYSTIAN DOBUSZYŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 7deee0c938

tematem. Przyszedłem na jedną zbiórkę, drugą i tak się składa, że niedługo mija mi osiem lat w tej organizacji. Szczerze żałuję, że nie dołączyłem wcześniej.

W grupie przyjaciół

Martyna Kowacka, naczelniczka ZHP, wskazuje trzy główne drogi do Związku Harcerstwa Polskiego. Pierwsza to opowieść z domu: rodzic, babcia, dziadek albo starsze rodzeństwo mówią o przygodach i poznanych tam przyjaciołach. Druga to koledzy z klasy, którzy już są w drużynie. Trzecia to informacja np. w szkole, budząca ciekawość i chęć spróbowania.

Historie moich rozmówców pasują do tego schematu. Natalia i Gosia trafiły do drużyn przez szkolny nabór i obie poszły z kimś znajomym. Rudowicz zaciekawił się mundurem koleżanki. Dziecko przychodzi, bo ktoś mu o tym opowiedział, a zostaje, bo znajduje grupę.

Małgorzata Żuber-Zielicz, wieloletnia instruktorka harcerska, która w latach 80. i 90. zajmowała się kształceniem kadry instruktorskiej, uważa, że to, o czym dziś wiele się mówi w edukacji, harcerstwo ma w swojej metodzie od 100 lat. – Mamy zastęp, czyli małą grupę, którą kieruje zastępowy. Kilka zastępów tworzy drużynę. Zawsze jest to nastawione na pracę w grupie i odpowiedzialność za swoją grupę. To, o czym dzisiaj cała edukacja trąbi, że musimy budować relacje i sprawczość, jest w drużynach naturalną sprawą.

Jej zdaniem harcerstwu nie pomogło to, że z czasem zaczęto je traktować jak jedną z wielu organizacji pozarządowych. – To nie jest żadna organizacja pozarządowa, tylko organizacja stricte wychowawcza, która tym młodym ludziom od zuchów, od pierwszej klasy, do późnych lat studenckich bardzo dużo daje.

Wskazuje też znaczenie wielostopniowości: starsi opiekują się młodszymi, a młodsi mają wzór, do którego mogą dorosnąć. Szkoła ma z tym trudność, bo niełatwo to robić „w systemie lekcyjnym w grupach trzydziestoparoosobowych". W klasie najczęściej każdy jest sam dla siebie i rywalizuje z innymi. Jej zdaniem tylko mądry nauczyciel potrafi tę rywalizację zamienić we współpracę.

Kiedy w latach 80. i 90. szkoliła instruktorów, uczyła ich budowania zespołu, poznawania ról w grupie i rozmowy w kręgu o tym, jak minął dzień, co było dobre, a co złe. W harcerstwie było to czymś naturalnym. Z uśmiechem wspomina, że gdy podobne techniki zaczęły trafiać na szkolenia dla nauczycieli, dla niej i jej środowiska było to powtarzanie czegoś od dawna znanego.

W klasie można być osamotnionym, a koledzy bywają nieprzyjemni. Na zbiórce jest inaczej: nie ma telefonów, jest grupa przyjaciół, z którymi można porozmawiać. Zamiast o wartościach Małgorzata Żuber-Zielicz woli mówić o umiejętnościach: o współpracy, budowaniu relacji, odpowiedzialności za drugiego człowieka, planowaniu i dzieleniu ról. Jeden sprawdza bilety przed biwakiem, drugi pilnuje, by każdy miał spakowany plecak.

Opowiada też o doświadczeniu sprzed ok. 20 lat. Na konferencji o edukacji pozaformalnej poprosiła uczestników, żeby podnieśli rękę ci, którzy przeszli przez zuchy lub harcerstwo. Podnieśli wszyscy. – To była krótka ankieta, ale od razu było widać, że przeszli ten szlif wychowania harcerskiego.

Moja rozmówczyni nie postuluje, żeby „wszystkich ubrać w mundurki harcerskie". Uważa jednak, że z samej metody wychowawczej edukacja może czerpać bardzo wiele.

> Gosia z harcerstwa wyniosła przede wszystkim braterstwo. To była bardzo włączająca społeczność.

> Dziecko do harcerstwa przychodzi, bo ktoś mu o tym opowiedział, a zostaje, bo znajduje grupę.

Historia i teraźniejszość

Skojarzenie harcerstwa z historią nie jest przypadkowe. Gosia spod Olsztyna pamięta, że w jej drużynie rozmawiało się o historii samego harcerstwa, o tym, jak się zaczęło, i trochę o tematach okołowojennych, w tym o udziale harcerzy w powstaniu warszawskim. Dla części młodych historia przestaje być jednak tylko lekcją z przeszłości i znajduje odzwierciedlenie w teraźniejszości.

Jakub Dudzik, przewodnik z hufca Elbląg, anglista z wykształcenia i żołnierz rezerwy, od 2018 r. marzył o historycznym mundurze harcerskim. Zaczął przeglądać archiwa i szukać dokumentacji, aż odtworzył przedwojenny mundur instruktorski. Dziś w swoim hufcu prowadzi klub historyczno-rekonstrukcyjny, w którym młodzi harcerze odtwarzają sylwetki rówieśników z poprzednich dekad.

– Chodzi o to, żeby nie zatracić wiedzy, którą udało się wypracować, ale również o zmobilizowanie młodszych pokoleń do badania i pogłębiania historii w tych sferach, które je interesują – mówi Dudzik. Mundur jest dla niego czymś więcej niż rekwizytem: – To element, który spaja społeczność. W przeszłości zacierał nawet różnice pochodzeniowe, to, czy ktoś był z biedniejszego, czy z bogatszego domu. Mundur dobrze wygląda i przykuwa uwagę, ale oznacza też rygor i odpowiedzialność.

Martyna Kowacka dodaje, że z harcerstwa młody człowiek wynosi umiejętność pracy w grupie bardzo zróżnicowanej pod względem wieku, doświadczeń i środowiska, a także organizowania pracy swojej i innych, planowania czasu i zadań. Rozmawiała nawet o tym z rekruterami. – Mówią, że harcerstwo w CV oznacza osobę odpowiedzialną, zaradną, umiejącą działać pod presją czasu i dobrze odnajdującą się w nowych zadaniach.

Maciej Belowski

eprasa.pl 7deee0c938

Indie sprzedają, a Polska się przygląda

Oprócz partnerstw strategicznych potrzebujemy odważnych polskich inwestorów

Marek Czarkowski

Na przełomie lutego i marca 2022 r. hinduski biznesmen Chandramohan Nallur, pochodzący ze stanu Kerala, a mieszkający od dekady w Polsce, miał poważny problem. Został z towarem, którego nikt nie chciał. Było to pięć kontenerów płatków ryżowych, sprowadzonych z Indii z myślą o wykorzystaniu ich w produkcji płatków śniadaniowych. Tuż przed rosyjską inwazją w Ukrainie kontrahent wycofał się z transakcji z powodu wahań kursu walut.

Magazynu nie było, pomysł przerobienia płatków na karmę dla zwierząt upadł, Nallur przypomniał sobie wtedy o japońskich piwach warzonych z dodatkiem ryżu. Zwrócił się o radę do znajomego przedsiębiorcy – Lijo Philip bowiem przed wybuchem pandemii wprowadził na polski rynek indyjskie piwo rzemieślnicze Kalikut 1498.

Indyjskie płatki ryżowe plus polski chmiel? Już wkrótce Nallur i jego przyjaciel Sargheve Sukumaran opracowali recepturę wyjątkowo lekkiego, gładkiego w smaku piwa. Znaleźli nad Wisłą browar, który podjął się produkcji pierwszej partii. I tak pod koniec 2022 r. narodziła się marka Malayali. Dzisiaj rzemieślnicze piwa Malayali warzone we współpracy z Browarem Sulewski z Hrubieszowa sprzedawane są w ponad 20 krajach świata, a Chandramohan Nallur jest wiceprezesem ds. relacji biznesowych Indyjsko-Polskiej Izby Gospodarczej.

Ta historia doskonale ilustruje polsko-indyjskie relacje handlowe. Rodzi się okazja, decyzje podejmują konkretni ludzie, a towar płynie głównie w jedną stronę – z Indii do Polski.



Donald Tusk i Narendra Modi. Nowe Delhi, 22 października 2026 r.

Daleki, serdeczny partner

Polska i Indie jeszcze nigdy nie były politycznie tak blisko. Ale ciepłym kontaktom sprzyja pamięć o Polakach, którzy wzięli udział w walce o niepodległość Indii. W Nowym Delhi wspominają Wandę Dynowską, mieszkającą w tym kraju od 1935 do 1971 r., do końca życia. W latach 40. blisko współpracowała z Mahatmą Gandhim i przyszłym premierem Jawaharlalem Nehru. Jej hinduskie imię Umadevi, Świetlista Dusza, nadał sam Gandhi. Dynowska tłumaczyła indyjskie teksty filozoficzne na język polski oraz polską literaturę, m.in. Mickiewicza i Sienkiewicza, na angielski i hindi.

Po 1960 r. podjęła pracę na rzecz tybetańskich dzieci, które w czasie inwazji chińskiej i przeprawy przez Himalaje straciły rodziców. Zamieszkała na północy Indii, w miejscowości Dharamsala, gdzie organizowała pomoc uchodźcom. Zyskała tym ogromny szacunek hinduskich kręgów intelektualnych.

Równie wielkie uznanie zdobył pochodzący z Krakowa polski Żyd Maurycy Frydman, inżynier i działacz społeczny, uczeń Gandhiego, uczestnik ruchu na rzecz niepodległości Indii. Projektował zakłady przemysłowe i elektrownie. Później przybrał imię Swami Bharatananda i stał się cenionym myślicielem oraz autorem książek o jodze i filozofii.

Szczególny wpływ na postrzeganie Polski w Indiach wywarło wsparcie udzielone indyjskim studentom po wybuchu wojny w Ukrainie. Kiedy okazało się, że utknęli za naszą wschodnią granicą, Polska bez wahania przyjęła ich, rezygnując z rygorystycznych wymogów wizowych. Władze, organizacje pozarządowe i zwykli obywatele zaangażowali się

FOT. IMAGO/EAST NEWS

eprasa.pl 7deee0c938

w pomoc, oferując Hindusom schronienie, transport i wyżywienie przed powrotem do ojczyzny. Według indyjskich danych przez Polskę ewakuowano ok. 3,7 tys. osób w 17 lotach, a ostatnia grupa, ok. 600 studentów z oblężonych Sum, dotarła autobusami do Rzeszowa i 11 marca 2022 r. odleciała do Delhi.

Historia ta była szeroko i życzliwie opisywana w indyjskich mediach. Przy okazji wspominano „Dobrego Maharadżę" Jama Saheba z Nawanagaru, który w czasie II wojny światowej przyjął polskie dzieci ewakuowane z armią Andersa ze Związku Radzieckiego.

Polska swoim działaniem umocniła w oczach Hindusów opinię kraju bezpiecznego, solidarnego i niezwykle przyjaznego Indiom. Dzisiaj to solidny fundament, na którym opiera się współpraca polityczna i gospodarcza.

Polska jako zaplecze

Ale deklaracje polityków o współpracy to jedno, a rzeczywistość – drugie. Według danych GUS w 2025 r. wymiana towarowa Polski z Indiami wyniosła 5,68 mld euro. Na każde euro polskiego eksportu przypadało nieco ponad 3 euro importu z Indii. Wśród naszych partnerów handlowych Indie zajmują dopiero 24. miejsce.

Z subkontynentu do Polski płyną głównie wyroby gotowe, w drugą stronę – w dużej części surowce i półprodukty. Indyjskie przedsiębiorstwa wysyłają koszulki, obuwie, telefony, leki i olej napędowy. My eksportujemy koks, złom, silniki do samolotów, kauczuk syntetyczny i jabłka. Choć są też mniej oczywiste polskie produkty: albuminy, ceramika laboratoryjna, elektrody węglowe oraz przyrządy medyczne.

W handlu produktami rolno-spożywczymi w 2025 r. Polska odnotowała jednak deficyt sięgający ok. 264 mln euro. Wyeksportowaliśmy produkty za 52,2 mln euro, z czego niemal połowę stanowiły jabłka, a sprowadziliśmy głównie tytoń, koncentrat kawy i skorupiaki – za 316 mln euro. W tym roku jest lepiej. Od stycznia do lipca nasz eksport żywności do Indii wzrósł o 59%, choć w liczbach bezwzględnych to wciąż tylko 35 mln euro.

W sierpniu 2024 r. Narendra Modi jako pierwszy od 45 lat premier Indii przyjechał do Warszawy i podniósł dwustronne relacje do rangi partnerstwa strategicznego. W dniach 21-23 października 2026 r. Donald Tusk – w pierwszej od 16 lat wizycie szefa polskiego rządu w Indiach – przywiózł do Nowego Delhi i Bangaluru delegację z przedstawicielami, według różnych źródeł, od 80 do 100 firm. Podpisano 13 porozumień, a premierzy zadeklarowali jako cel podwojenie obrotów handlowych do 2030 r.

I pomyśleć, że taka asymetria nie zawsze była wpisana w nasze relacje. Był czas, gdy to Polska sprzedawała Indiom technologie. W 1959 r. Ursus nawiązał kontakt z indyjską firmą Escorts, a w 1960 r. podpisał z nią umowę licencyjną. Od 1961 r. w Faridabadzie pod Delhi, przy wsparciu centrali handlu zagranicznego CEKOP, składano ciągniki z części przysyłanych z Polski. Do 1974 r. wyprodukowano ok. 40 tys. ciągników opartych na dokumentacji Ursusa, a kolejne 10 tys. firma Escorts sprowadziła z Polski. Indyjscy inżynierowie przerabiali polskie konstrukcje. Gdy okazało się, że Ursus nie nadążał z dostawami silników, w ciągnikach pojawiły się nowe, produkowane na miejscu.

Historia zatoczyła koło w 2000 r., gdy indyjska spółka Escorts i polska Pol-Mot Holding uruchomiły w Mrągowie firmę Farmtrac produkującą ciągniki. Tym razem to Hindusi przyjechali do Polski.

W 2004 r. nad Wisłą pojawił się kapitał na znacznie większą skalę. Koncern LNM Holdings miliardera Lakshmiego Mittala podpisał umowę prywatyzacyjną Polskich Hut Stali. Z tej transakcji wyrósł ArcelorMittal Poland. W ostatnich latach doszło w spółce do istotnych zmian. Pod koniec listopada 2025 r. zarząd ArcelorMittal Poland ogłosił decyzję o ostatecznym wyłączeniu produkcji w Hucie Królewskiej w Chorzowie. Jako powód podano wysokie koszty energii, obciążenia systemem EU ETS oraz wiek wysłużonych instalacji. W listopadzie 2019 r. zapadła decyzja o trwałym wstrzymaniu pracy ostatniego czynnego wielkiego pieca w zakładzie w Nowej Hucie. W 2024 r. trwale wygaszono pracujące tam baterie koksownicze.

W czasach PRL w nowohuckim kombinacie pracowało prawie 40 tys. osób, dziś ok. 3,5 tys. Zakład nadal funkcjonuje i wytwarza wysokiej jakości blachy na potrzeby sektorów motoryzacyjnego i budowlanego. Półprodukty do obróbki dostarczane są głównie z wchodzącej w skład grupy ArcelorMittal Poland huty w Dąbrowie Górniczej, lecz w znacznie mniejszej skali.

Za to na pełnych obrotach działają Zakłady Koksownicze w Zdzieszowicach, które są największym producentem koksu w Polsce i Europie. Działa także zakład przetwórczy w Świętochłowicach, produkujący m.in. taśmy stalowe.

Zupełnie inna jest sytuacja w branży IT. W 2006 r. na polski rynek globalny wszedł gigant w dziedzinie usług IT, doradztwa biznesowego i outsourcingu procesów biznesowych Tata Consultancy Services. Główna siedziba firmy znajduje się w Mumbaju i jest częścią potężnego holdingu Tata Group. Polski oddział obsługuje zarówno rodzime przedsiębiorstwa, jak i międzynarodowych klientów korporacyjnych, stanowiąc część europejskiej sieci operacyjnej koncernu.

W 2007 r. nad Wisłą pojawił się konkurent – Infosys Limited, jeden ze światowych liderów w dziedzinie doradztwa technologicznego, usług informatycznych oraz outsourcingu. Siedziba indyjskiego giganta znajduje się w Bangalurze, główny ośrodek Infosys w Polsce jest w Łodzi, pozostałe zaś mieszczą się w Warszawie, Wrocławiu, Krakowie i Elblągu. Koncern zatrudnia u nas tysiące specjalistów, w tym lingwistów obsługujących w kilkudziesięciu językach klientów z całej Europy, i ściśle współpracuje z polskimi uczelniami.

Od 2007 r. obecny jest w Polsce także HCLTech – trzeci pod względem wielkości indyjski koncern

eprasa.pl 7deee0c938

zajmujący się usługami w branży IT, doradztwem biznesowym i outsourcingiem. Ambasada Indii w Warszawie szacuje, że wymienione giganty zatrudniają u nas niemal 10 tys. specjalistów, co wydaje się liczbą przesadzoną. O wiele ważniejszy jest model biznesowy realizowany przez te koncerny. Ich centra i nadwiślańskie oddziały nie sprzedają usług Polakom. Zatrudniają naszych inżynierów, księgowych i analityków, ale ich pracę kupują klienci w Niemczech, Wielkiej Brytanii, USA i innych państwach. Polska w tym przypadku nie jest rynkiem zbytu, lecz zapleczem.

Osobnym rozdziałem są leki. Indie to „apteka świata", a my importujemy z tego kraju produkty chemiczne i farmaceutyczne za ok. 0,6 mld euro rocznie. Kilka indyjskich koncernów ma u nas swoje spółki. Największą jest Accord Healthcare Polska z grupy Intas Pharmaceuticals, z przychodami 660,8 mln zł w 2025 r. Aurovitas Pharma Polska z grupy Aurobindo Pharma, oferująca leki generyczne w 22 obszarach terapeutycznych, zanotowała przychód 291,7 mln zł. Spółka Ranbaxy (Poland) należąca do Sun Pharmy miała przychód rzędu 43,6 mln zł. Szacuje się, że największe spółki należące do indyjskich koncernów farmaceutycznych osiągnęły w Polsce w ubiegłym roku łącznie 1,1 mld zł przychodu.

Polskie inwestycje w Indiach

Naszych firm na subkontynencie jest niewiele, a te, które się przebiły, pokazują, czego wymaga tamtejszy rynek: lokalnej produkcji i cierpliwości.

Najaktywniejsze są Toruńskie Zakłady Materiałów Opatrunkowych posiadające dużą fabrykę w mieście Dindigul oraz spółki dystrybucyjne w Bangalurze i Mumbaju. Pod marką Seni sprzedają pieluchomajtki, wkłady chłonne oraz wyroby do pielęgnacji skóry. Pod marką Bella – artykuły higieniczne dla kobiet (podpaski, wkładki higieniczne, artykuły do higieny intymnej), a pod marką Happy – pieluchy i bezpieczne artykuły higieniczne przeznaczone dla dzieci oraz niemowląt, by wymienić te najbardziej znane.

Podczas październikowej wizyty premiera Tuska w Bangalurze władze stanu Karnataka ogłosiły, że TZMO zaproponowały powstanie nowego zakładu w strefie przemysłowej Vemgal w dystrykcie Kolar, o wartości 800 mln rupii. Miałyby tam powstawać „inteligentne" wkłady dla osób dorosłych mających problemy z inkontynencją, co według indyjskich mediów byłoby pierwszą taką produkcją w kraju.

Spółka CANPACK należąca do Giorgi Global Holdings otworzyła w 2009 r. fabrykę puszek w Aurangabadzie, w 2013 r. – zakład produkcyjny butelek szklanych w tym samym mieście, a w 2018 r. – fabrykę puszek w Nuh w stanie Haryana. W styczniu 2025 r. grupa ogłosiła budowę trzeciej fabryki puszek, w stanie Uttar Pradesh, za ok. 13 mld rupii (150 mln dol.), która ma dać 160 miejsc pracy.

Famur (w Indiach Famur India Mining Solutions), dawny Kopex, dziś w grupie Grenevia, od lat dostarcza indyjskiemu górnictwu kompleksy ścianowe. Także Geofizyka



eprasa.pl 7deee0c938

Toruń ma bogatą historię działalności w Indiach, gdzie realizowała zaawansowane projekty sejsmiczne. Komponenty dla motoryzacji i kolei sprzedają zaś polskie spółki Maflow, MB Pneumatyka, Elimen i Polmor. O skali ich działalności wiadomo jednak niewiele. Ostatnio najbardziej emocjonuje wszystkich obronność.

Największa polska firma działająca w sektorze zbrojeniowym, Grupa WB, ma w Indiach spółkę WB Electronics India, w której większość należy do partnera indyjskiego. Amunicja krążąca (drony kamikadze) Warmate trafiła do armii indyjskiej w trybie zakupów pilnych, testowano ją na dużych wysokościach w Ladakhu. WB Electronics India przygotowuje linię produkcyjną w specjalnym Korytarzu Przemysłu Obronnego w stanie Uttar Pradesh. Pozwoli to na masową produkcję i serwis dronów na miejscu. WB India podpisała też memorandum z państwową spółką Munitions India w sprawie lokalnej produkcji głowic, a kierownictwo grupy deklaruje gotowość do transferu wiedzy. Indie są jednym z największych importerów uzbrojenia na świecie – modernizują armię, co otwiera drzwi polskim firmom, ale tylko tym, które zgodzą się produkować na miejscu.

Dlaczego naszych firm jest w Indiach tak mało? Bariery są dobrze znane. Indie to państwo federalne, mimo wprowadzenia jednolitego podatku od towarów i usług przepisy, opłaty i licencje wciąż różnią się między stanami. I tak ekspansja w Tamilnadzie nie przygotowuje automatycznie do działania w Karnatace. Indyjski klient jest skrajnie wrażliwy na cenę, a polski eksporter konkuruje nie tylko z lokalnymi markami, lecz także z potężnymi konglomeratami.

Gospodarkę kraju od pokoleń kształtują rodzinne imperia: Tatów, Birlów, Ambanich, Bhartich, Mittalów. Na przykład Dhirubhai Ambani zaczynał w 1958 r. od handlu przędzą i przyprawami, a jego syn Mukesh stoi dziś na czele Reliance Industries, kompleksu petrochemicznego uważanego za największą rafinerię świata.

Z kolei Sunil Bharti Mittal w 1976 r. produkował korby do rowerów, w 1995 r. uruchomił sieć komórkową Airtel, a dziś stoi na czele Bharti Enterprises – konglomeratu biznesowego o globalnym zasięgu.

Dla polskiego eksportera oznacza to, że partnerem lub rywalem w Indiach może być grupa obecna jednocześnie w petrochemii, telekomunikacji, handlu detalicznym i finansach. A co najważniejsze, szansa na sukces rynkowy bez lokalnego partnera i hasła „made in India" jest niewielka.

Co z tego wynika? Polsko-indyjska współpraca gospodarcza jest dziś w ogromnej mierze relacją jednostronną, i to nie z powodu braku sympatii. Indie mają w Polsce centra informatyczne zatrudniające tysiące ludzi, przejęte zakłady, spółki farmaceutyczne z setkami milionów złotych przychodów i… diasporę zakładającą firmy od początku lat 90. Polska ma w Indiach nieliczne przedsiębiorstwa, z których dwa, TZMO i CANPACK, zbudowały coś trwałego, oraz wspomnienie Ursusa sprzed pół wieku.

Dyplomacja dała tym relacjom ramy, jakich dotąd nie mieliśmy: partnerstwo strategiczne, plan działań, a za chwilę umowę o wolnym handlu. Jeśli rząd chce relacji bardziej zrównoważonej, miarą sukcesu powinna być nie suma obrotów, lecz wartość polskiego eksportu i polskich inwestycji. A te mierzy się kontraktami.

Historia piwa Malayali przypomina, że o tych relacjach często decyduje przypadek i odrobina szczęścia. Ale żeby powstała marka, fabryka albo żeby pociągi Pesy pojawiły się na indyjskich torach, potrzebne są decyzja, kapitał i ktoś, kto pojedzie na miejsce. I zostanie tam na lata. Chandramohan Nallur i Sargheve Sukumaran zrobili tak w Polsce. Ilu polskich przedsiębiorców gotowych jest zrobić to samo w Indiach?

Marek Czarkowski

LIST

Przeciw likwidowaniu pomników


Andrzej Romanowski

Tryptyk warmiński. III. Krasnoludki

Trafnie zauważył prof. Andrzej Romanowski, że w Polsce obowiązuje czarno-biały, ipeenowski przekaz o naszej najnowszej historii, stąd brak polskiej reakcji na likwidowane pomniki poświęcone żołnierzom Armii Czerwonej. Tak jak w Pieniężnie na Warmii czy w Cybince na ziemi lubuskiej. Autor pisze, że „w obu tych przypadkach nie podniósł się żaden głos sprzeciwu czy choćby tylko wątpliwości". Co do tego pierwszego przypadku jest jednak w błędzie, na dowód czego przywołam mój wywiad z prof. Tadeuszem Krzymowskim z Olsztyna, opublikowany w „Przeglądzie" („Fałszywe mity z generałem w tle", 37/2015).

Prof. Krzymowski brał udział we wspólnych walkach Armii Krajowej z Armią Czerwoną o wyzwolenie Wilna. I choć potem został internowany, udało mu się wraz z bratem uciec z obozu w Miednikach. We wspomnianym wywiadzie podkreślał, że nikt z dowództwa Wileńskiego Okręgu AK nie został wtedy rozstrzelany, a zdecydowana większość akowców po dwóch latach wróciła do domu. Co prawda gen. Iwan Czerniachowski odpowiadał za to internowanie, lecz decyzja została podjęta na Kremlu. Nie jest to więc powód, by rozwalać pomnik generała, który walczył z nazizmem. Zwłaszcza że właśnie pod Pieniężnem (wtedy Mehlzack) w lutym 1945 r. gen. Czerniachowski stracił życie na linii frontu. Prof. Krzymowski przekonywał, że przynajmniej za to należy się generałowi szacunek. Oczywiście był to głos wołającego na puszczy, bo dosłownie kilka dni później pomnik w Pieniężnie zlikwidowano. Niemniej musimy docenić odwagę Profesora, który jako „jedyny sprawiedliwy" stanął przeciw owemu patriotycznemu wzmożeniu. Warto to przypomnieć zwłaszcza dziś, gdy wielce zasłużony dla olsztyńskiej nauki prof. Tadeusz Krzymowski zbliża się do już setki.

Marek Książek

eprasa.pl 7deee0c938

Jesienny kryzys trumpizmu

Czy demokraci mają powody wierzyć, że idą po zwycięstwo?



Kongresmenka z Minnesoty Ilhan Omar, naturalizowana w USA Somalijka, to jedna z najgłośniejszych krytyczek Trumpa.

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Tegoroczne wybory do Kongresu obfitują we wszystko: kandydatów wybitnych i wyjątkowo słabych, afery i skandale, w które coraz częściej zaangażowana jest sztuczna inteligencja, i oczywiście wielkie pieniądze. Organizacje monitorujące wydatki wyborcze już dziś wskazują, że idziemy po kolejny rekord. Ten ustanowiony w poprzednich wyborach połówkowych, przed czterema laty, wyniósł 16,7 mld dol. Za takie pieniądze 2 mln rodzin mogłoby wykupić roczne ubezpieczenie medyczne, 1 mln – przez rok opłacać czynsz za mieszkanie, a 800 tys. ludzi kupić własny dom z 30-letnim kredytem.

W ostatnim przedwyborczym miesiącu tradycyjnie mieliśmy też wysyp październikowych niespodzianek. Napięcie było tym większe, że wybory połówkowe są zawsze testem popularności urzędującego prezydenta, który ma ogromne przełożenie na stosunek wyborców do jego partii. Na niespodzianki liczyli więc przede wszystkim republikanie, bo notowania Trumpa to już tylko ok. 30% poparcia, co w amerykańskich realiach oznacza szorowanie po dnie – wynik gorszy nawet od notowań Billa Clintona z wyborów w 1994 r. Republikanie odebrali wówczas demokratom władzę nad Kongresem, a ich słynny lider i król wojen kulturowych Newt Gingrich w pełni wykorzystał tę szansę i na trwałe przeobraził kulturę polityczną na Kapitolu, robiąc w niej znacznie więcej miejsca dla prawicowego radykalizmu oraz przymierzy z frakcjami religijnych fundamentalistów.

Październikowe niespodzianki

Czym są w amerykańskiej polityce październikowe niespodzianki? Terminem tym od ponad pół wieku określa się zdarzenia – ujawniony skandal, kompromitujący przeciek, decyzję sądu czy ważną zmianę w kursie polityki – które na ostatniej prostej przed wyborami mogą zmienić, i czasem zmieniają, ich przebieg. Tegoroczne niespodzianki

eprasa.pl 7deee0c938

(stan na dziesięć dni przed wyborami) mieliśmy trzy, za to jakie!

Pierwsza w istocie była niespodzianką dla całego świata – mówimy tu o zawieszeniu przez Trumpa sankcji nałożonych na Rosję i komunikacie, że USA wznawiają z nią relacje handlowe. Trump zainicjował je zakupem 300 tys. ton tańszego rosyjskiego oleju napędowego, co chciał sprzedać Ameryce jako działanie mające przynieść wyborcom ulgę przy dystrybutorach. Wysokie ceny paliwa spowodowane wojną w Iranie to w tym roku, obok kosztów życia, najważniejsza dla Amerykanów kwestia wyborcza.

Notowania Trumpa to już tylko ok. 30% poparcia, co w amerykańskich realiach oznacza szorowanie po dnie.

Niespodzianka okazała się niewypałem. Nie tylko dlatego, że eksperci szybko obliczyli, iż rosyjski diesel, jeśli w ogóle dotrze do kraju przed wyborami, nie pokryje nawet jednodniowego zapotrzebowania. Przede wszystkim, jak często w przypadku polityki Trumpa bywa, ze względu na kulisy jego porozumienia z Putinem.

Mamy tu bowiem i szokujące naciski na Europę, by poszła w ślady USA, i absolutnie kompromitujące administrację Trumpa deale, które w trakcie ostatnich wyjazdów do Moskwy załatwiali na boku jego wysłannicy – tandem Jared Kushner i Steve Witkoff. Panowie jako prywatni przedsiębiorcy dogadali się z Kremlem, że będą pomagać przy sprzedaży części aktywów Łukoilu zainteresowanym inwestorom z Bliskiego Wschodu („U.S.-Russia Talks on Ukraine Now Involve an Oil Deal Tied To Trump Allies, „New York Times", 3 października 2026).

Druga niespodzianka może zapisać się w annałach jako najbardziej osobliwa, bo amerykańskie partie i sztaby wyborcze nie miały z nią nic wspólnego – Ameryka dostała ją od Francji. Mowa o zamieszkach wstrząsających tym krajem. Niespodziankę zawłaszczyli republikanie, dostrzegli w niej bowiem wielką szansę na to, by wygenerować starcie na polu kulturowym, chociaż jak dotąd wojny kulturowe w tych wyborach w ogóle się nie sprawdziły. Zawiodło straszenie komunizmem, wokeizmem i genderyzmem, a wyborcy, i to po obu stronach, chcą mówić wyłącznie o ekonomii i łamaniu przez Trumpa obietnic. Zamieszki we Francji prawica wykorzystała zatem jako straszak, by przekierować uwagę wyborców na swój ulubiony temat, czyli imigrantów.

Amerykanie w większości oprotestowują działania ICE, ale jeśli chodzi o politykę zabezpieczenia granic, to wciąż Trump cieszy się zaufaniem społecznym – popiera ją 51% wyborców (NBC News, marzec 2026). Trwa więc ofensywa: trzeba zatrzymać demokratów, bo ci po przejęciu rządów na powrót wpuszczą do kraju hordy agresywnych „nielegalnych", którzy natychmiast podpalą Amerykę, tak jak właśnie podpalili Francję. Nikt przy tym nie zawraca sobie głowy faktami. Reprymendę Emmanuela Macrona, że Ameryka sieje dezinformację, w protestach nie chodzi przecież o imigrantów, lecz o kryzys ekonomiczny i konflikt klasowy, Trump przyjął wzruszeniem ramion.

Zawiodło straszenie komunizmem, wokeizmem i genderyzmem, a wyborcy chcą mówić wyłącznie o ekonomii i łamaniu przez Trumpa obietnic.

Czy tą niespodzianką republikanie rzeczywiście mogą coś ugrać? W sondażach w górę pną się demokraci. Dziesięć dni przed wyborami eksperci dawali im grubo ponad 80% szansy na przejęcie niższej izby Kongresu i aż 78% szansy na uzyskanie dwuosobowej przewagi w Senacie („Fortune", 24 października 2026). Jednak skupieni na kosztach życia i niechętni rozwadnianiu na ostatniej prostej swojego przekazu temat zamieszek minimalizują, a o imigracji opowiadają niemal wyłącznie przez pryzmat reform w ICE i zamykania centrów detencyjnych.

Bez względu na to, jaki będzie wynik wyborów połówkowych, demokraci raczej nie szykują się na szerszą dyskusję o imigracji. Tymczasem Trump, a raczej otaczające go w Białym Domu środowisko nacjonalistów nie ustaje w próbach udowodnienia Amerykanom, że gościnność wobec imigrantów, także legalnych, a nawet już naturalizowanych, jest skrajną naiwnością.

W ramach pomniejszej niespodzianki październikowej Departament Sprawiedliwości wszczął niedawno kolejne dochodzenie przeciw kongresmence z Minnesoty Ilhan Omar, naturalizowanej w USA Somalijce, jednej z najgłośniejszych krytyczek Trumpa. Oskarża ją o fałszerstwa podczas procesu naturalizacji, małżeństwo z własnym bratem i oszustwa podatkowe. Nieważne, że to dochodzenie już raz się odbyło, w 2019 r., i że nie znaleziono wtedy żadnych dowodów przestępstwa. Tym razem konkluzja śledczych może przecież być inna. Departament Sprawiedliwości jest dzisiaj obsadzony lojalistami i funkcjonuje niczym prywatna kancelaria prawna prezydenta. Postawienie urzędującej polityczki w stan oskarżenia byłoby sytuacją bez precedensu, ale i wstrząsem, a uderzyłoby przede wszystkim w Partię Demokratyczną.

Niespodzianką trzecią była reklama wyborcza, którą puścił w eter republikański kandydat na gubernatora Ohio Vivek Ramaswamy (wcześniej kandydat na prezydenta i wspólnik Muska w prowadzeniu DOGE). Polityk zaatakował swoją demokratyczną rywalkę Amy Acton nagraniem z wypowiedzią jej matki. Donna Arthur nazywa w nim córkę kłamczuchą i osobą zaburzoną. Acton nie kontaktuje się z matką od 1978 r., gdy ta straciła prawa rodzicielskie za zaniedbanie dzieci i znęcanie się nad nimi. Drugi mąż kobiety został oskarżony o gwałt na 12-letniej wówczas Amy.

eprasa.pl 7deee0c938



Demokratkę Amy Acton republikański rywal zaatakował spotem, w którym wykorzystał jej osobistą tragedię.

Ameryka jest kolebką reklamy negatywnej, ale Vivek Ramaswamy złamał niepisane zasady: wykorzystał rodzinną tragedię i uderzył w ofiarę przemocy. Kraj zamarł więc w szoku, ale nie była to tylko reakcja na skandaliczną brawurę polityka z Ohio. Nie mniej zdumiała odpowiedź na nią Białego Domu. Trump bowiem pochwalił się, że osobiście doradził, aby nie wycofywać spotu i „iść z nim na całość", a wiceprezydent J.D. Vance zadeklarował, że liczy się wyłącznie zwycięstwo, i zrugał krytykujących Ramaswamy'ego republikanów za „marudzenie".

Jest i drugie dno tego skandalu. Wiadomo, że Ramaswamy, który wydał na 60-sekundowy spot 4 mln dol., testował wcześniej film na grupach fokusowych, a te wyraźnie pokazały, że reklama mobilizuje wyborców identyfikujących się jako hardline MAGA, najbardziej radykalne skrzydło ruchu, odstręcza jednak wszystkich innych.

W kraju rozgorzała w związku z tym debata, czy to znaczy, że trumpizm traci blask, a republikanie będą musieli wkrótce stanąć przed pytaniami egzystencjalnymi.

Nie brakuje ekspertów traktujących tę reklamę jako szklaną kulę wyraźnie pokazującą odpowiedzi. „Trump jest w amerykańskiej polityce wynaturzeniem. Nawet jeśli to pracowało na jego konto, jego podejście jest pozbawione szerszych ram ideologicznych, które mógłby przekazać innym", skomentował sprawę John Bolton, znany republikański strateg i były ambasador USA przy ONZ („Ramaswamy's Ohio attack ad shows 'owning the libs' may have limits", „Washington Post", 22 października 2026).

Trumpizm na celowniku

Być optymistą w dzisiejszych czasach to rzecz niełatwa. Mamy jednak i inne sygnały świadczące o tym, że światło trumpizmu chyba rzeczywiście nie świeci już w Ameryce tak jasno jak przez ostatnie dziesięciolecie. Nate Silver, analityk znany z trafnych prognoz wyborczych, już w marcu br. odnotowywał w swoim newsletterze, że od listopada 2025 r. „widoczny był spadek poparcia Trumpa o wyraźnie liniowym kształcie (...), a odbudowa po każdym tąpnięciu była niekompletna i zostawiała po sobie trwałe uszkodzenia" („Trump approval just hit the 30s. Can his numbers get any lower?", „Silver Bulletin", 30 marca 2026).

Wyróżnikiem tych wyborów są także kampanie, w których republikańscy kandydaci dystansują się od Trumpa na niespotykaną dotąd skalę. „Gdy wymazują jego imię ze swoich stron internetowych, nie wspominają o nim w reklamach i nagle chcą rozmawiać o wszystkim, tylko nie o prezydencie – to tłumaczy wszystko", mówi George Hornedo, strateg polityczny związany z demokratami i były kandydat do Kongresu („Republicans All But Erase Trump From Campaign Ads as Midterms Near", „Newsweek", 20 października 2026).

Czy to tylko chwilowy trend podbity polityczną kalkulacją i czynnikami ekonomicznymi, czy sygnał, że Amerykanie rzeczywiście są gotowi na nowy rozdział w historii – to dopiero się okaże. Nadzieję, że w nowym rozdaniu pałeczkę przejmą demokraci, studzą przestrogi ekspertów, że po trumpizmie może nadejść coś jeszcze gorszego.

I nie chodzi tylko o to, że kolejnym prezydentem mógłby zostać J.D. Vance, kulturowy i religijny radykał pozostający pod wyraźnym wpływem technoradykałów pokroju Petera Thiela. Trumpizm, wygaszony jako ruch społeczno-polityczny, może jednak się umocnić w systemie władzy, prowadząc do trwałych zmian w zasadach funkcjonowania państwa.

„Silna władza wykonawcza stała się dominującym aspektem naszego życia politycznego. Obawiam się, że możemy teraz mieć ogromne problemy, by to zmienić", alarmował w lipcowym wydaniu magazynu „Foreign Policy" Daniel Schlozman, politolog i historyk z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa. Louis Seidman, prawnik konstytucjonalista z Uniwersytetu Georgetown powiedział w tym samym tekście: „Kwestia przetrwania naszej republiki to dla mnie dzisiaj pytanie otwarte" („The U.S. at 250: Terminally Ill or Just Very Sick?", 2 lipca 2026).

Czy będzie powtórka z 6 stycznia?

Co zaś, oprócz cen paliwa, kosztów życia i reperkusji październikowych niespodzianek, najbardziej zaprzątało głowę Amerykanom

FOT. ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 7deee0c938

w ostatnich dniach przed wyborami? Bez wątpienia była to korupcja w Białym Domu, która oburza już 89% Amerykanów (Instytut Gallupa, wrzesień 2026), i sypiące się na oczach wszystkich zdrowie prezydenta.

To drugie zostało wystawione na widok publiczny zwłaszcza podczas październikowego tournée po kraju, które miało mobilizować wyborców, ale odniosło odwrotny skutek. Trump nie tylko nieoczekiwanie przyznał się do korupcji, wykrzykując radośnie: „Nic mnie nie obchodzą [ceny paliwa], najważniejsze, że zbijamy fortunę!" (wiec w Georgii, 24 października). Zafundował także Amerykanom serię szokujących peanów na cześć różnych części męskiego ciała, co wzbudziło podejrzenia, że może to być spóźniony coming out.

Wyróżnikiem tych wyborów są kampanie, w których kandydaci republikańscy dystansują się od Trumpa na niespotykaną dotąd skalę.

Im bliżej wyborów, tym mocniej zaczęły jednak wybrzmiewać jeszcze dwa tematy. Pierwszy to rosnące obawy, że Trump i republikanie podejmą próby aktywnego ingerowania w wybory – niezadowoleni z ich wyników będą usiłowali je zakwestionować lub anulować. Jak bardzo jest to prawdopodobne, miałam okazję przekonać się podczas lokalnego pikniku przedwyborczego demokratów w moim mieście, Fort Collins w stanie Kolorado.

– Szykujemy się naprawdę na wszystko – powiedział mi Ken Forsythe, kandydat na lokalnego „clerka", który w USA łączy funkcje referenta oraz inspektora odpowiedzialnego za bezpieczeństwo danych wyborczych.

Kolorado jest stanem, gdzie demokraci kontrolują trzy najważniejsze ośrodki władzy ustawodawczej i wykonawczej, do tego jest jednym z ośmiu stanów, które automatycznie rozsyłają karty do głosowania korespondencyjnego do wszystkich wyborców. W związku z tym znalazło się na celowniku Białego Domu, który od miesięcy usiłuje zasiać w kraju niepewność co do uczciwości wyborów. Powtarza, że na listach wyborczych, zwłaszcza w stanach niebieskich, głosujących na demokratów, figurują setki tysięcy osób nieuprawnionych do głosowania. Podejmuje przy tym rozmaite akcje nacisku na lokalne władze.

Jena Griswold, sekretarz stanu Kolorado, już w lipcu otrzymała od Departamentu Sprawiedliwości list z ostrzeżeniem, że czeka ją więzienie, jeśli dopuści do głosowania „nielegalnych". Trump domagał się też wydania mu listy stanowych wyborców i zapowiada, że nie wyklucza wysłania pod komisje wyborcze służb federalnych do kontroli zarówno tożsamości głosujących, jak i maszyn do głosowania. Oba działania są bezprawne.

– Pozycja „clerka" w strukturach lokalnych władz nie kojarzyła się dotąd ludziom z czymś szczególnie interesującym. Trump uczynił z nas jednak forpocztę bojowników walki o demokrację. Na spotkaniach z wyborcami większość pyta mnie dziś, jak zabezpieczone będą wybory i jaki jest plan, jeśli obecny rząd będzie chciał podważyć ich wyniki – przyznał Ken Forsythe.

Czy sondaże znów zwodzą?

Pojawia się również pytanie, jak wiarygodne są sondaże i czy demokraci rzeczywiście mają powody wierzyć, że idą po zwycięstwo. Ameryka, szczególnie demokratyczna, ma na tym polu bolesne doświadczenia. W przededniu wyborów z 2016 r. Hillary Clinton prowadziła we wszystkich badaniach, a wiodące ośrodki sondażowe dawały jej 98% szansy na wygraną. O wyniku przesądzili tymczasem tzw. wyborcy ukryci.

Badania przeprowadzone przez Uniwersytet Kolumbii w 2019 r. ujawniły, że tacy wyborcy celowo ukrywali przed ankieterami prawdziwe poglądy, a potem zagłosowali na Trumpa dwukrotnie częściej niż na Clinton („Motivated Secrecy: Politics, Relationships, and Regrets", Columbia University, grudzień 2018).

Czy sondażownie znów mogą tak spektakularnie się mylić? Nie wiemy. Gdy powstawał ten tekst, tydzień przed wyborami, wyglądało na to, że prognozy znajdują odzwierciedlenie w trendach widocznych we wczesnym głosowaniu, które w wielu stanach rozpoczęło się już na tygodnie przed datą wyborów. Z drugiej strony nie można zapominać, że głosowanie przedterminowe, podobnie jak korespondencyjne, jest popularniejsze wśród wyborców demokratycznych niż republikańskich. A przykładów tego, że wczesne trendy zupełnie nie pokrywały się z ostatecznym wynikiem, wskazać można mnóstwo.

Co przemawia na korzyść demokratów? To, że nawet jeśli istnieje armia wyborców „ukrytych i przyczajonych", może nie odegrać aż tak wielkiej roli, bo ci, którzy przed dwoma laty dali Trumpowi wygraną – wyborcy niezależni, młodzi mężczyźni i Latynosi – w tym roku wyglądają na dezerterów z jego obozu. W pierwszej z wymienionych grup poparcie dla Trumpa spadło z 43% w styczniu 2025 r. do 25% (AP-NORC, lipiec 2026), w drugiej – z 55% do 30% („New York Times"/Sienna, 22 października), a w trzeciej – z 485 do 27% (NBC News/Telemundo, 19 października).

Miejmy nadzieję, że historia nie spłata nam żadnego figla i najpóźniej do końca pierwszego tygodnia listopada poznamy wyniki wyborów.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Przegląd
ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTER na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7deee0c938

Z Galicji



Jan Widacki

Zapomniane groby

1 listopada, we Wszystkich Świętych, dzień często zwany Świętem Zmarłych, odwiedzamy groby bliskich nam osób. Zdobimy je tradycyjnie chryzantemami, ustawiamy na nich coraz bardziej wyszukane, choć nieraz niestety dość koszmarne znicze. Spotykamy się na cmentarzach całymi rodzinami. Bywa, że to jedyna sposobność zobaczenia się przy grobie krewnego z dalszą rodziną. To też ma wymiar symboliczny – tak zmarli i pamięć o nich nas jednoczą. Przy okazji odwiedzamy groby osób zasłużonych. Bohaterów narodowych, znanych pisarzy, artystów i uczonych. Dobrą tradycją jest zapalanie zniczy na opuszczonych grobach, na których nikt z rodziny znicza już nie zapali.

W ostatnich kilkudziesięciu latach zmienił się zasadniczo obraz polskich cmentarzy. Zniknęły ziemne mogiły i drewniane krzyże. Małe, wiejskie cmentarze, w nastroju których było coś metafizycznego, praktycznie zniknęły. Może jeszcze taki się znajdzie gdzieś na Podlasiu. Miejsce ziemnych mogił i przekrzywionych ze starości krzyży zajęły granitowe, a częściej lastrykowe nagrobki, pomniki stawiane nie tyle pamięci zmarłych, ile próżności fundatorów. Licytacja na bogactwo. Może to i dobrze. Świadczy to w końcu o bogaceniu się społeczeństwa. A jednak tych starych, skromnych cmentarzy żal… Ta nierówność bogactwa manifestującego się okazałością nagrobków pozostaje w tym większym kontraście do tego, że po śmierci wszyscy są równi.

Dobra tradycja każe dbać o groby żołnierskie, w tym mogiły poległych wrogów. Chroni je międzynarodowa konwencja, a powinna także zwykła ludzka przyzwoitość. Nawet żołnierz Wehrmachtu czy Armii Czerwonej, który spoczywa w polskiej ziemi, który zginął daleko od domu, od bliskich, godzien jest szacunku. Spełnił żołnierski obowiązek, walcząc w swoim przekonaniu za ojczyznę, za słuszną sprawę. Tak mu mówili dowódcy, przywódcy państw, może w to wierzył, może też w to wierzyli jego najbliżsi i byli z niego dumni. A może nie był przekonany, że walczy o słuszną sprawę, ale nikt go o to nie pytał. Wzięli go do wojska, wysłali na front, a na froncie on strzelał i do niego strzelali. W tym ostatnim przypadku celnie, jak widać. Ktoś nie doczekał jego powrotu z wojny. Opłakał go. Nie żałujmy mu świeczki na jego polskim grobie.

Tysiące Polaków jeździ zimą w Dolomity na narty. To tereny krwawych walk austriacko-włoskich w czasie I wojny światowej. Co krok znaleźć tam można cmentarze wojenne, z grobami żołnierzy wrogich sobie wtedy armii. Wspólne cmentarze. Zdarza się, że powiewają nad nimi równocześnie dwie flagi: włoska i austriacka. Niczego nas te cmentarze nie uczą?

Oburzamy się, gdy widzimy zdewastowane, choć częściej po prostu zaniedbane polskie cmentarze za naszą wschodnią granicą. Nielicznymi dorywczo, no bo jakże inaczej, opiekują się rozmaite organizacje społeczne z Polski. Zupełnie nielicznymi, i to głównie wojskowymi, państwo polskie. Zasługi Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz części polskich placówek dyplomatycznych z lat 90. XX w. są tu nie do przecenienia. Niektórymi mogiłami opiekują się ostatni miejscowi Polacy. A czy mamy w naszej świadomości los cmentarzy poniemieckich na tzw. Ziemiach Odzyskanych? A cmentarze bojkowskie w Bieszczadach? A co z cmentarzami żydowskimi w każdym niemal polskim miasteczku? Przypowieść o źdźble i belce w oku jest tu szczególnie na czasie.

O polskich grobach masowych w Bykowni pod Kijowem wiedzieliśmy od 1990 r. Kiedy sobie o nich przypomniano? Kiedy rozpoczęto starania o budowę pomnika? Czy wszystkich zamordowanych w Bykowni ekshumowano?

Tradycja każe dbać o groby żołnierskie, w tym poległych wrogów.

Teraz tematem, jak się okazuje, bardzo ważnym politycznie są ekshumacje ofiar ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Pogrzebane tam ofiary zasługują na upamiętnienie. Czy na ekshumacje? Tego już nie jestem taki pewien. Nie jestem pewien, czy ponad 100 tys. ekshumacji to w ogóle technicznie możliwe. Mają być tylko wybiórcze? Wedle jakiego kryterium? Tym bardziej nie jestem pewien, czy akurat teraz, gdy Ukraina ponosi ciężkie straty w wojnie z Rosją, jest na nie najlepszy moment. Ponadto trzeba pamiętać, że to nie rodzice szukają teraz w ukraińskiej ziemi szczątków swoich niepogrzebanych dzieci, nie dzieci szukają szczątków niepogrzebanych rodziców. To ludobójstwo miało miejsce ponad 80 lat temu. Jego ofiarami było pokolenie naszych pradziadków. Czy ci, którzy tak bardzo domagają się tych ekshumacji, odwiedzają w Polsce groby swoich pradziadków i prababek, którzy tu, w kraju, zmarli i zostali pochowani? Czy wiedzą, gdzie ci pradziadkowie w ogóle są pochowani, czy byli kiedykolwiek na ich grobach? Czy byli na tych grobach w tym roku na Wszystkich Świętych?

Ot tak kilka refleksji na marginesie Wszystkich Świętych i Dnia Zadusznego. ■

eprasa.pl 7deee0c938

Brazylia: powrót z zaświatów

Lula miał nikłe szanse na zwycięstwo w drugiej turze. Ale czasem tyle wystarczy

Mateusz Mazzini

Wynik tego głosowania wymyka się konwencjonalnej analizie politologicznej. I nie jest to wina samej nauki czy uprawiających ją ekspertów, tylko na tym polega natura polityki. Czasem zdarzają się rzeczy nieprawdopodobne, bo polityka nie funkcjonuje w próżni.

Dlatego kładzenie Luli po pierwszej, przegranej turze do politycznej trumny nie jest specjalnie obciążające dla autorów takich prognoz, w tym niżej podpisanego, jak najbardziej przyznającego się do pomyłki. Po prostu przez ostatnie dwa tygodnie wszystkie dostępne informacje jednoznacznie wskazywały na zdecydowaną, w dodatku strukturalną, przewagę Flávia Bolsonara.

Po raz kolejny więc okazało się, że nawet przy najdokładniejszych metodach pomiaru trzeba zakładać olbrzymi margines błędu. Tak duży, jak wielka jest polityczna chybotliwość danego kraju – a pod tym względem Brazylia plasuje się w ścisłej światowej czołówce.

Trzy kryteria

Lula wygrał swoją czwartą kadencję prezydencką. Zdobył 51,79% głosów w drugiej turze, przy nieco ponad 48% oddanych na Bolsonara. W liczbach bezwzględnych oznacza to, że pokonał prawicowego rywala ponad 4,4 mln głosów. To dwa razy więcej, niż wynosiła różnica między nim a Bolsonarem seniorem cztery lata temu.

Mało tego, głosów nieważnych oddano w całym kraju 4,1 mln, innymi słowy nawet gdyby każdy głos zakwestionowany przez komisję wyborczą dopisać do konta Bolsonara juniora, nie pokonałby rządzącego prezydenta. Tym samym Lula stał się pierwszym kandydatem w historii potransformacyjnej brazylijskiej demokracji, który został głową państwa mimo porażki w pierwszej turze. Naprawdę trudno podważać taką legitymizację do rządzenia.

Dwa tygodnie dzielące oba głosowania były, jak zawsze ma to miejsce w brazylijskiej polityce, dość chaotyczne i pełne wzajemnych oskarżeń. Co ciekawe jednak, ewidentnie odwoływanie się do takich wartości jak przyzwoitość i transparentność ma jeszcze jakąś wartość w polityce, bo ten chaos zadziałał na korzyść Luli. A oskarżenia kierowane pod adresem Bolsonara pociągnęły notowania prawicowego polityka w dół.

Ostatecznie do tego nie doszło i przyczyny zwrotu akcji jeszcze długo będą analizowane. Coś jednak obóz Luli zrobił dobrze, bo matematyka wyborcza była mu wybitnie nieprzychylna. Żeby wygrać, musiał spełnić jednocześnie trzy kryteria.

Po pierwsze, zagospodarować zdecydowaną większość poparcia pozostałych kandydatów, którzy przepadli po pierwszej turze.

Po drugie, zmobilizować tych, którzy na głosowanie za pierwszym razem nie poszli, w myśl tezy o „polaryzującej apatii" w tamtejszej polityce. Autor tego stwierdzenia, redaktor naczelny magazynu „Americas Quarterly" Brian Winter, uważa bowiem, że brazylijską scenę animują głównie wzajemne niechęci, a nie

Lula to pierwszy kandydat w historii brazylijskiej demokracji, który został głową państwa mimo porażki w pierwszej turze.

Na początku dwutygodniowej minikampanii modele statystyczne przygotowane przez Jamesa Boswortha, analityka z firmy doradztwa politycznego Hxagon, dawały kandydatowi prawicowemu 75% szans na zwycięstwo. W wyścigu, w którym możliwe jest tylko jedno z dwóch rozstrzygnięć, to bardzo dużo. Nawet jeśli na finiszu, kilka dni przed drugą turą, ten odsetek spadł do 67%, głównie dzięki udanym występom Luli w dwóch debatach telewizyjnych i mobilizacji związków zawodowych oraz ruchów społecznych, takich danych nie można było ignorować. Zwłaszcza że największe i naprawdę cieszące się sporym szacunkiem pracownie sondażowe – Datafolha i AtlasIntel – przewidywały zwycięstwo Bolsonara w drugiej turze nawet bez triumfu w pierwszej.

ekscytacja własnym kandydatem. Krótko mówiąc, bardziej chodzi o to, kto kogo nie lubi, niż o to, kto kogo popiera. Przy takim układzie sił, kiedy elektorat negatywny ma decydujące znaczenie, sporo wyborców po prostu wyłącza się z debaty.

Po trzecie, Lula musiał ugryźć kawałek tortu, który przypadł jego rywalowi. Bez przejęcia przynajmniej małego odsetka elektoratu prawicy nie dało się wygrać drugiej tury. Brzmi jak zadanie niemożliwe, zwłaszcza przeciw kandydatowi ze znanym nazwiskiem, sporym budżetem i olbrzymim wsparciem spoza kraju, o czym w przemowie podczas wieczoru wyborczego Lula mówił jednoznacznie krytycznie. Jeśli dodać do tego niesprzyjającą lewicy sytuację na arenie międzynarodowej i trendy regionalne, wygrana

eprasa.pl 7deee0c938



Prezydent Luiz Inácio Lula da Silva świętuje wybór na kolejną kadencję 25 października 2026 r.

legendy związków zawodowych i antyimperialistycznej lewicy naprawdę wydawała się niemożliwa.

Lula podbił stawkę

W powyborczym komentarzu Winter twierdzi, że jednym z głównych czynników, które dały Luli ostateczny triumf, było wrzucenie szóstego biegu w kampanii internetowej. Choć trudno w to uwierzyć w dobie polityki przeniesionej do rzeczywistości algorytmicznej, Lula dopiero kilka dni przed wyborami zaczął nosić smartfon i publicznie się z nim pokazywać. Wymienił także niektórych doradców na młodszych, znacznie przyśpieszając działania w sieci.

Nie ma też co ukrywać faktu, że pomogło mu bycie u władzy. W trakcie kampanii mógł aktywnie wpływać na sytuację w kraju, zwłaszcza gospodarczą. Brazylia funkcjonuje w systemie prezydenckim, to głowa państwa kieruje władzą wykonawczą, więc Lula mógł wykorzystać całą siłę swojego urzędu do walki z Bolsonarem. Co zresztą zrobił bardzo sprawnie i nie ma co go za to karać, każdy na jego miejscu postąpiłby (i postępował w przeszłości) tak samo. Z kronikarskiego obowiązku trzeba jednak odnotować, że już w trakcie kampanii Lula ogłosił aż 15-procentową indeksację wypłat w ramach Bolsa Família, sztandarowego bezpośredniego transferu socjalnego w Brazylii, wprowadzonego za czasów jego poprzedniej podwójnej prezydentury.

Akurat Brazylia jest jednym z niewielu przykładów skuteczności transferów bezpośrednich, dlatego że – w przeciwieństwie np. do Polski czy innych krajów europejskich – są one tam w większości warunkowane konkretnymi czynnikami społecznymi oraz celowe. Bolsa Família jest najszerszym ze wszystkich programów, wspierającym brazylijskie rodziny, ale wydatnie pomogła, razem ze słynnym projektem wspierania edukacji dzieci Fome Zero, wydźwignąć z biedy dziesiątki milionów obywateli w poprzednich dekadach.

Teraz Lula nie tylko podbił stawkę, ale jeszcze tak wyreżyserował podniesienie wypłat, że nowe, wyższe przelewy trafiły na konto wyborców już w październiku, miesiąc wcześniej, niż wynikałoby z kalendarza fiskalnego. Gdy doda się do tego olbrzymie subsydia państwowe dla handlu detalicznego w sektorze paliw oraz amnestię dla wielu małych i średnich przedsiębiorstw mających nieopłacone podatki i świadczenia, wyłania się obraz polityka żyjącego i działającego w myśl zasad klasycznego populizmu. Jak wyliczył Council of the Americas, niezależny think tank z siedzibą w Waszyngtonie, koszty ulg, dotacji i programów socjalnych uruchomionych w roku wyborczym wyniosły równowartość 59 mld dol.

Opłaciło się, przynajmniej w krótkiej perspektywie czasowej. Zwycięstwa Luli nic już raczej nie podważy, nawet jeśli w chwili oddawania tego tekstu do druku Bolsonaro nadal nie uznał porażki. I to mimo że lewicowemu kandydatowi triumfu

FOT. REUTERS/ FORUM

eprasa.pl 7deee0c938

pogratulowali inni prawicowi liderzy z regionu, w tym ultrakonserwatywny prezydent Chile José Antonio Kast i prezydentka Peru Keiko Fujimori.

Oczywiście syn byłego prezydenta będzie szukał pomocy w Białym Domu i wciąż nie wiadomo, jak amerykańska administracja zachowa się wobec Luli, ale to naprawdę osobny temat. Problemu rzecz jasna bagatelizować nie należy.

Kongresmeni z obu partii wystosowali już do sekretarza stanu Marca Rubia list wzywający, by Waszyngton uznał wyniki brazylijskiego głosowania bez względu na to, kto je wygra, trudno też wyobrazić sobie sytuację, w której to jednak Bolsonaro junior zostaje prezydentem, dlatego że tak chce Donald Trump. Z perspektywy amerykańskich mediów wygląda to inaczej. W poniedziałkowy wieczór 26 października „New York Times" opublikował tekst pod szumnym tytułem „Brazylijskie wybory okażą się testem dla zdolności wskazywania nowych liderów przez Trumpa". Ale bliżej prawdy jest holenderski politolog Cas Mudde, wykładający na University of Georgia, który przypomniał, że mimo globalizacji trendów politycznych wybory pozostają lokalne, a nie międzynarodowe.

Ekonomia emocji

To wszystko nie znaczy, że przed Brazylią spokojny czas. Trwa festiwal obrzucania się błotem i podważania legitymizacji instytucji wyborczych, w czym zresztą klan Bolsonaro specjalizuje się od lat. Dokładnie to samo robił senior rodu jeszcze przed głosowaniem z 2022 r., które pozbawiło go władzy. W bezpośredniej komunikacji z wyborcami, głównie za pomocą grup na komunikatorze WhatsApp, kilka miesięcy przed wyborami zapewniał, że komisje już zostały skorumpowane, a maszyny do głosowania są wadliwe. Teraz jego syn chce podważenia wyników, głównie z powodu decyzji jednego z sędziów Sądu Najwyższego o przedłużeniu działania niektórych komisji o dodatkowe dwie godziny. Problem w tym, że w dniu wyborów domagali się tego zarówno Flávio, jak i Lula.

Kampania tego pierwszego była zresztą pełna dezinformacji, m.in. wytworzonych przez sztuczną inteligencję nieistniejących fanów opowiadających na platformach internetowych o sukcesach prawicy. Nie zabrakło również skandali. Afera wybuchła na finiszu kampanii, kiedy magazyn „Piauí", jedna z najbardziej szanowanych redakcji w Ameryce Łacińskiej, opublikował artykuł będący wynikiem wielomiesięcznego śledztwa dziennikarskiego. Opisano w nim, jak w szczycie pandemii koronawirusa w 2020 r. Flávio uczestniczył w kontrowersyjnej imprezie z udziałem prostytutek, lobbystów oraz przedstawicieli koncernów farmaceutycznych próbujących wpłynąć na decyzje jego ojca w sprawie zakupu leków przez brazylijski rząd.

Nie da się zmierzyć wpływu tej publikacji na ostateczny wynik wyborów, ale Lula skrzętnie wykorzystał skandal, przyszpilając Flávia w czasie finalnej debaty telewizyjnej pytaniami o uczestnictwo w imprezie. Biorąc pod uwagę fakt, że dwa dni przed głosowaniem na ulice Rio de Janeiro w akcie poparcia dla Luli wyszło ponad milion osób, można założyć, że „Piauí" coś dla brazylijskiej demokracji zrobiło.

Prawdziwe problemy dopiero się zaczynają. W przeciwieństwie do poprzedniej kadencji Lula tym razem będzie miał przeciw sobie zdominowany przez prawicę i centroprawicę Kongres, domagający się znacznie większej dyscypliny w wydatkach publicznych. Na to lewica nie może sobie pozwolić, dlatego Lula będzie robił wszystko, żeby wykorzystać hossę na światowych rynkach surowców i prawdopodobnie jeszcze zwiększy wydobycie ropy, co będzie oczywiście katastrofalne w skutkach dla środowiska naturalnego.

Przeciwko sobie będzie miał też to, co Annie Lowrey z „The Atlantic" nazywa „vibeconomics", ekonomię emocji. Nawet jeśli obiektywnie Brazylijczycy są coraz bogatsi, mają wrażenie, jakby pensje były warte coraz mniej. A przynajmniej tak deklarują w badaniach opinii. Podobnie jest z ich preferencjami co do stylu rządzenia, o czym na łamach magazynu „Foreign Affairs" pisał prof. Matias Spektor z Uniwersytetu w São Paulo. Zauważył, że wprawdzie większość Brazylijczyków ma złe zdanie o Donaldzie Trumpie, ale często chce wybierać na prezydenta kogoś o podobnych cechach.

Do tego dochodzi problem Sądu Najwyższego, coraz częściej zachowującego się jak państwo w państwie. Póki jego sędziowie są przychylni Luli, odbierani są jako obrońcy demokracji. Jeśli prezydent zacznie im przeszkadzać, konflikt na poziomie ustrojowym stanie się nieunikniony.

Jednak najważniejszy wniosek płynący z Brazylii dotyczy nowej natury demokracji. W trakcie wieczoru wyborczego Lula powiedział wprost, że aby wygrać, musiał pokonać „oczywiste obce zaangażowanie w wybory za pomocą platform internetowych". Krótko mówiąc, on wie, że przychylni Trumpowi technooligarchowie, z Elonem Muskiem i Markiem Zuckerbergiem na czele, manipulowali algorytmami, żeby promować Bolsonara i usuwać niekorzystne dla niego treści.

A to dopiero początek takich działań. Wraz z rozwojem sztucznej inteligencji manipulowanie rzeczywistością będzie coraz intensywniejsze. Nie mówiąc o tym, że Dolina Krzemowa nie jest już specjalnie przywiązana do wartości demokratycznych i tego nie ukrywa. Warto, żeby przed rokiem 2027, naznaczonym wyborami na szczeblu krajowym w aż 10 państwach kontynentu, właśnie tę lekcję odrobiła Europa – bo przecież MAGA i Trump na Brazylii się nie zatrzymają.

Mateusz Mazzini

Lula powiedział wprost, że aby wygrać, musiał pokonać „oczywiste obce zaangażowanie w wybory za pomocą platform internetowych".

eprasa.pl 7deee0c938



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Serbia, Lula – hurra?

Tak, tak, oczywiście, że hurra, choć jeszcze dzień przed wyborami obydwa zwycięstwa nie były oczywiste. Po wygranej lewicowego prezydenta Brazylii, Luli da Silvy, 80-latka, wiemy mniej więcej, czego się spodziewać – wszak to jego czwarta kadencja.

Wbrew stereotypom Lula nie jest jakimś komunistycznym demonem – wątpliwości „prawdziwi" lewicowcy mają sporo. Przywołam komentarz Jacka Drozdy: „Nie trzeba kochać zbyt wiele razy kłaniającego się biznesowym elitom i rosyjskim imperialistom Luli, żeby rozumieć, co jego zwycięstwo nad faszystą Bolsonaro juniorem oznacza nie tylko dla Brazylii, ale dla świata". I dalej: „Dlaczego jest to ważne? Ponieważ czyni Brazylię, największy kraj Ameryki Południowej, ostatnim – nie licząc niewielkiego i ostatnio niestabilnego Urugwaju – krajem rządzonym przez lewicę, a nie sługusów i dłużników Trumpa i Rubio. Oznacza to, że nie będzie powrotu do tempa destrukcji Amazonii znanego z czasu rządów starego Bolsonaro. Brazylię na pewno czekają teraz trudne przeprawy polityczne, jednak wynik Luli jest ważnym promykiem nadziei, że przyszłość nie musi należeć do religijnych i »technologicznych« faszystów, a skutecznej opozycji przeciw nim nie należy szukać pośród ex-lewicy, co w imię osobliwego rozumienia »demokracji« liże podeszwy liberałom".

Inny komentator lewicowy, Kamil Łukaszek, pisze tak: „Wszak nie jest [Lula] wielkim ideologiem, ostrym teoretykiem i krytykiem systemu kapitalistycznego. To nie typ porywającego intelektualisty, którego tyrady kruszą okowy iluzji. Zresztą od tego Lula ma Ladislaua Dowbora, pochodzącego z Polski ekonomistę, którego analizy często są mi bliskie, jednak proponowane działania również idą często, w moim odczuciu, albo w niewłaściwą stronę, albo są zbyt zachowawcze. Lula nie jest komunistą i nie jest boliwariańskim radykałem jak choćby Hugo Chávez. Wielu słusznie wypomina mu jego krytykę Madury i właściwie brak działań w związku z jego porwaniem przez USA. Za Lulą ciągnie się również legenda prezydenta-robotnika, ale umówmy się, że teraz to tani sentymentalizm. Lula został wybrany na czwartą kadencję prezydentury w ponad 200-milionowym kraju. Lewica brazylijska formułuje wobec niego zarzuty o nepotyzm i umówmy się – nie są one bezpodstawne". Dalej idzie niecenzuralnie, więc jeszcze tylko końcówka wywodu: „Lula zrywa ze stosunkiem dominacji i władzy, która łączyła brazylijski kapitał z klasą pracowniczą. Lula nie tylko nakarmił swój lud, o czym pisze Martín Caparrós w swojej monumentalnej pracy, Lula nie tylko zwalczył głód w Brazylii, co na taką skalę udało się tylko Komunistycznej Partii Chin, ale i upodmiotowił ludzi pracy w swoim kraju. I tego globalny kapitał nie jest mu w stanie wybaczyć. I to go czyni wzorem dla polityk reformistycznych na świecie. I to go czyni wielkim".

Z obydwoma głosami bardzo się zgadzam. Przywołany tutaj Ladislau Dowbor, odwiedzający zresztą Polskę systematycznie, kreśli w książkach wizję ekonomii jako nauki społecznej, wydzierając ją z rąk klasy ekonomistów głównego nurtu, którzy skrywają ją za parawanem nauki ścisłej, niedostępnej maluczkim. U Dowbora i Luli ekonomia ma znaleźć narzędzia do stworzenia bardziej sprawiedliwego państwa. I to jest dla oficjalnych (globalnie) ekonomistów nie do przyjęcia, gdyż oni chodzą na pasku najbogatszych i instytucji podtrzymujących ich hegemonię. Tym samym przywódcy imperiów kapitalistycznych, z USA na czele, nienawidzą Luli i wszystkiego, co reprezentuje. Miło dzisiaj sobie wyobrazić ich miny, choć zaraz ich zawód zostanie przekuty w próby podważenia wyników wyborów.

Z Serbią jest inaczej. Z niezwykłej dynamiki trwających od dwóch lat protestów studenckich wyrosła bowiem realna siła polityczna i zmiotła dotychczasowego lidera rządzącej formacji, Aleksandra Vučicia. Już sama nazwa komitetu, który go pokonał, Lista Studencka – Studenci Zwyciężają, jest rzadkim okazem demokratycznej energii wywodzącej się z protestów ulicznych. Kandydatami studentów byli powiązani z tymi środowiskami lekarze, aktorzy, naukowcy i osobistości sportu, którzy dzięki rozpoznawalności przyciągnęli głosy niezdecydowanych. Równocześnie, mimo spektakularnego zwycięstwa, nie wiemy, czego po tak egzotycznym składzie nowych (samodzielnie) rządzących oczekiwać. Chyba że ministrami zostaną jednak głównie studenci – co mogłoby budować znacząco nową jakość polityki. Musimy się uzbroić w cierpliwość i zobaczyć, jak eksperyment przekuwa się w prawdziwe rządy. Mimo takich okoliczności i tak zapowiada się arcyciekawie.

Kiedy piszę te słowa, w przededniu wyborów jest Izrael. Trudno jednak się spodziewać, że porażka Netanjahu odmieni polityczny wymiar funkcjonowania tego państwa, jeśli idzie o kwestię palestyńską w ogóle i ludobójstwo w Gazie konkretnie. Nawet opozycja, przy ewentualnym zwycięstwie, nie jest skłonna wejść w sojusz z przedstawicielami partii palestyńskich. Bibi chwilę przed wyborami usiłował wznowić wojnę z Iranem, czemu mieli się sprzeciwić dowódcy armii. Nie dziwi nic. Demokracja izraelska nie niesie w sobie nadziei na znaczącą zmianę polityczną. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7deee0c938

Neapol na polskich tablicach

Nadużycia z zagranicznymi rejestracjami i fikcyjny wynajem aut



Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

Włoski rząd zapowiada zaostrzenie walki z nieubezpieczonymi pojazdami i nadużyciami związanymi z posługiwaniem się zagranicznymi rejestracjami. Media ogłosiły, że wchodzi w życie „dekret przeciwko polskim tablicom rejestracyjnym". Problem jest szczególnie widoczny w Neapolu i okolicach, gdzie włoscy kierowcy użytkują na co dzień tysiące samochodów zarejestrowanych w Polsce. Nowe przepisy mają ograniczyć opłacalność tego procederu, ale nie wyeliminują go automatycznie.

13 października 2026 r. Rada Ministrów przyjęła projekt nowego kodeksu drogowego, który przewiduje m.in. obowiązek ubezpieczenia na włoskich zasadach pojazdów zagranicznych używanych we Włoszech przez ponad 30 dni oraz mechanizmy skuteczniejszego odzyskiwania niezapłaconych należności od zagranicznych użytkowników dróg. Projekt zakłada też możliwość bezterminowego zakazu poruszania się pojazdem w przypadku braku obowiązkowego ubezpieczenia.

Kombinacja znana jako esterovestizione nie jest nowa. W przeszłości wykorzystywano w niej tablice niemieckie, rumuńskie i bułgarskie, a dziś przede wszystkim polskie. W mediach i w debacie publicznej zjawisko nazywane jest „problemem polskich tablic", choć dotyczy również pojazdów zarejestrowanych w innych krajach.

Osoba mieszkająca we Włoszech formalnie rejestruje swój pojazd na zagraniczną firmę, a następnie użytkuje go na podstawie umowy najmu lub leasingu, unikając w ten sposób włoskiego ubezpieczenia. Taki wybieg pozwala zaoszczędzić na podatkach i składkach ubezpieczeniowych, a także wykorzystać trudności, z jakimi borykają się lokalne służby przy doręczaniu mandatów za granicę. Do tej pory, mimo obowiązku rejestracji w systemie REVE (Registro dei Veicoli Esteri), czyli w rejestrze pojazdów zagranicznych, do bezproblemowego poruszania się po drogach wystarczyła polska polisa, która jest ważna również na terytorium Włoch.

Podobne rozwiązanie może być legalne, jeśli odpowiada rzeczywistym stosunkom prawnym i spełnia wymagania włoskich przepisów. Problem zaczyna się wtedy, gdy umowa służy jedynie stworzeniu pozorów zagranicznego użytkowania.

Oszustwa motoryzacyjne

Liczba samochodów na polskich tablicach rejestracyjnych budzi zdziwienie przede wszystkim w regionie Kampania. Owszem, Polacy kochają Włochy i lubią podróże, ale wystarczy poobserwować, jak jeżdżą te auta, by zorientować się, że to nie nasi rodacy siedzą za kierownicą.

„Neapol: ponad 42 tys. samochodów z polskimi tablicami rejestracyjnymi. Warszawa odkrywa oszustwo i wszczyna śledztwo" – dziennik „La Repubblica" opisał sprawę 30 lipca w wydaniu lokalnym. Zjawisko rzeczywiście coraz bardziej niepokoi instytucje ubezpieczeniowe zarówno w Polsce, jak i we Włoszech.

Popularność zagranicznych tablic w Kampanii ma głównie podłoże ekonomiczne. Włoskie składki obowiązkowego ubezpieczenia komunikacyjnego RC Auto, szczególnie wysokie w rejonie Neapolu, skłaniają część kierowców do poszukiwania tańszych rozwiązań. Dotyczy to również motocykli i skuterów, które są powszechnym środkiem transportu na Południu.

Prawidłowo działająca polska firma może zgodnie z prawem wynajmować pojazdy klientom we

eprasa.pl 7deee0c938

Włoszech. Problemem są pośrednicy, którzy nie dopełniają obowiązków, przedstawiają nieprawdziwe dokumenty albo znikają, gdy dochodzi do wypadku. Dla neapolitańskiego klienta taka „oszczędność" może się okazać kosztowną pułapką. Media piszą o kierowcach, których płacili pośrednikom za pakiet obejmujący rejestrację i ubezpieczenie, nie wiedząc, że ich pojazdy w rzeczywistości nie mają ważnej polisy.

Wypadki, których nigdy nie było

Problem oszustw motoryzacyjnych w rejonie Neapolu nie ogranicza się do pojazdów z zagranicznymi tablicami i ubezpieczeniem. Osobną kategorię stanowią wyłudzenia odszkodowań za fikcyjne lub upozorowane wypadki. W dialekcie neapolitańskim mówi się na to trastulla – drobny przekręt. Wymaga on współpracy wielu osób: rzekomych poszkodowanych, fałszywych świadków, a także pośredników i specjalistów przygotowujących dokumentację.

W zakończonym niedawno śledztwie karabinierzy rozpracowali grupę podejrzaną o wyłudzanie odszkodowań za wypadki drogowe, które nigdy się nie wydarzyły. Według ustaleń śledczych 47 fikcyjnych zdarzeń miało narazić towarzystwa ubezpieczeniowe na straty sięgające ok. 400 tys. euro.

W sprawę zaangażowanych było 59 osób: 53 rzekomych poszkodowanych, trzech adwokatów i trzech konsultantów ubezpieczeniowych. Główną rolę odgrywał lekarz pracujący w neapolitańskich szpitalu, który miał przygotowywać dokumentację potwierdzającą obrażenia, choć do wypadków lub urazów w opisywanych okolicznościach nigdy nie doszło. Lekarz zmarł przed zakończeniem śledztwa.

Grupa posługiwała się fałszywymi zaświadczeniami lekarskimi, nieprawdziwymi informacjami o wizytach na pogotowiu oraz dokumentacją badań przypisaną podstawionym osobom. W niektórych przypadkach wykorzystywano zdjęcia rentgenowskie innych pacjentów, którzy faktycznie doznali obrażeń. Tak przygotowane materiały trafiały do ubezpieczycieli jako podstawa roszczeń odszkodowawczych.

Śledztwo dotyczyło zdarzeń z lat 2010-2011. W jednym z opisanych przypadków adwokat miał przyjąć odpowiedzialność za upozorowaną kolizję, a jako poszkodowanego podano jego brata.

Nowy kodeks drogowy

Włoskie przepisy już teraz nakładają obowiązki na osoby mieszkające we Włoszech i korzystające z pojazdów zarejestrowanych za granicą. Zgodnie z art. 93 bis kodeksu drogowego rezydent, który jest właścicielem takiego samochodu,

POLSKIE TABLICE, WŁOSKI PROBLEM

Kto zapłaci za wypadek bez ważnego OC?

Rozmawia Agnieszka Zakrzewicz

Jaka jest skala zjawiska jazdy na polskich tablicach rejestracyjnych w Kampanii?

– Według danych opublikowanych przez ACI liczba pojazdów wpisanych do REVE, czyli rejestru pojazdów zagranicznych użytkowanych we Włoszech, wynosi 118 588, co oznacza wzrost o 32% w porównaniu z 2025 r. Z tej liczby 63,8% stanowią pojazdy z polskimi tablicami rejestracyjnymi (75 701 na 118 588). Większość pojazdów zagranicznych, zarejestrowanych w różnych krajach, porusza się po Neapolu i prowincji neapolitańskiej – 72 198, czyli 60,88%. Oczywiście nie wszystkie te pojazdy mają związek z oszustwami. W REVE odnotowywane są również sytuacje zgodne z prawem, a same dane nie pozwalają dokładnie określić, jaka część wpisów wiąże się z przedstawionym procederem. Mechanizm stosowany obecnie w przypadku Polski wykorzystywano wcześniej w odniesieniu do Rumunii i Bułgarii. Nowym kierunkiem staje się Republika Czeska – kilka agencji już oferuje usługi rejestracji pojazdów w tym kraju.



NICO FALCO
– dziennikarz i redaktor działu kryminalnego portalu Fanpage.it z siedzibą w Neapolu, zajmujący się problemem „polskich tablic rejestracyjnych".

Dlaczego neapolitańscy kierowcy jeżdżą na polskich tablicach?

– Głównym powodem jest oszczędność na obowiązkowym ubezpieczeniu OC. We Włoszech występują duże różnice cenowe między regionami, a Neapol należy do najdroższych prowincji. W przypadku skutera samo ubezpieczenie OC może kosztować ponad 2 tys. euro, bez dodatkowej ochrony od kradzieży i pożaru. Podobnie jest z samochodami. Średnia cena ubezpieczenia samochodu w Mediolanie wynosi ok. 430 euro, podczas gdy w Neapolu składka w wysokości 500 euro uznawana jest za wyjątkowo korzystną. Taki system pozwala też uniknąć podatku od

FOT. SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 7deee0c938

musi przerejestrować go we Włoszech w ciągu trzech miesięcy od uzyskania rezydencji.

Inne zasady dotyczą samochodów należących do zagranicznych firm, z których korzystają włoscy rezydenci. Kierowca powinien posiadać dokument potwierdzający podstawę i okres użytkowania pojazdu. Jeśli samochód pozostaje do jego dyspozycji przez ponad 30 dni w roku kalendarzowym, również nieciągle, należy wpisać go do REVE, prowadzonego przez Automobile Club d'Italia (ACI). W 2026 r. wprowadzono także obowiązek uiszczania prowincjonalnego podatku od rejestracji pojazdów (IPT) w związku z wpisem do tego rejestru.

Nowy projekt przepisów drogowych przyjęty w październiku br. przewiduje dalsze ograniczenia dotyczące pojazdów zagranicznych użytkowanych we Włoszech. Jednym z zapowiadanych rozwiązań jest obowiązek posiadania włoskiego ubezpieczenia, jeżeli pojazd jest używany na terytorium kraju przez dłuższy czas.

Jeśli nowe regulacje sprawią, że koszt polisy zagranicznej stanie się zbliżony do stawek obowiązujących na włoskim rynku – co jest ich głównym celem – rejestrowanie samochodu na zagraniczną spółkę może przestać się opłacać. Kierowca musiałby bowiem zrezygnować z własności pojazdu, nic na tym nie oszczędzając.

Te właśnie zapisy są nazywane we Włoszech „dekretem przeciwko polskim tablicom rejestracyjnym". Ich skuteczność będzie jednak zależała nie tylko od treści prawa, ale również od możliwości sprawdzania polis, dokumentów rejestracyjnych i rzeczywistego statusu pojazdów. Kluczowe pozostaje pytanie, czy włoskie służby będą mogły szybko ustalić, kto faktycznie korzysta z samochodu i kto ponosi odpowiedzialność, gdy dokumenty lub ubezpieczenie budzą wątpliwości.

Agnieszka Zakrzewicz

W Neapolu i okolicach włoscy kierowcy użytkują na co dzień tysiące samochodów zarejestrowanych w Polsce.

---

posiadania samochodu (bollo auto), którego wysokość zależy od parametrów pojazdu. Na przykład podatek od samochodu z 2006 r. o mocy 63 kW wynosi ok. 200 euro rocznie.

Są jeszcze inne powody?

– Tak, chęć uniknięcia kontroli podatkowej. Ten sposób postępowania może być wykorzystywany również przez osoby, których oficjalnie wykazywane dochody nie odpowiadają wartości posiadanego pojazdu. Jeśli samochód zostaje formalnie zarejestrowany na zagraniczną spółkę, a dana osoba występuje jedynie jako jego użytkownik, ustalenie, kto faktycznie dysponuje pojazdem i jakie ma możliwości finansowe, staje się trudniejsze.

Jak działa mechanizm fikcyjnego wynajmu?

– Ma pewną szczególną cechę: nie polega na wynajęciu samochodu, który już wcześniej należał do zagranicznej spółki. Właściciel przekazuje swój pojazd na własność takiej spółce, a następnie korzysta z niego na podstawie umowy najmu. Firmy pośredniczące oferują tego rodzaju usługę – zagraniczną rejestrację samochodu należącego uprzednio do klienta. Nie zawsze jednak od razu informuje się o najważniejszej konsekwencji takiej operacji: dotychczasowy właściciel traci prawo własności pojazdu. W wielu przypadkach kolejne czynności mają charakter jedynie pozorowany. Samochody i skutery nie są faktycznie przewożone do Polski ani do innych państw, a operacja ogranicza się do zmiany dokumentów i tablic rejestracyjnych.

Kto ponosi koszty tego procederu?

– Pierwsze konsekwencje mają charakter ekonomiczny: włoskie towarzystwa ubezpieczeniowe nie otrzymują składek za pojazdy, które w normalnych warunkach byłyby ubezpieczane na włoskim rynku. Uszczuplone mogą być również wpływy publiczne z podatku od posiadania samochodu. Najpoważniejszy problem dotyczy jednak osób poszkodowanych w wypadkach. Okazuje się, że pojazdy nie mają ważnej ochrony ubezpieczeniowej albo są przypisane do fikcyjnych spółek. Dla osoby, która poniosła szkodę, może to oznaczać poważne trudności z uzyskaniem odszkodowania.

Czy przepisy, które mają zostać wprowadzone, ograniczą zjawisko?

– Wprowadzenie zgodnie z założeniami nowej regulacji obowiązku ubezpieczania pojazdów w towarzystwie włoskim lub w firmie uprawnionej do prowadzenia działalności ubezpieczeniowej we Włoszech rzeczywiście mogłoby bezpośrednio wpłynąć na opłacalność całego systemu.

Gdyby koszt polisy zagranicznej stał się porównywalny z cenami na włoskim rynku, zniknęłaby jedna z głównych motywacji formalnego przekazywania pojazdu zagranicznej spółce, a następnie odzyskiwania możliwości korzystania z niego na podstawie umowy najmu. Kierowca musiałby wówczas zrezygnować z własności samochodu, nie uzyskując w zamian oszczędności na ubezpieczeniu. Ostateczny efekt będzie zależał od sposobu egzekwowania przepisów i od stawek, jakie zaoferują uprawnione towarzystwa ubezpieczeniowe.

W rejestrach IVASS (Istituto per la Vigilanza sulle Assicurazioni, Instytut Nadzoru Ubezpieczeniowego), które sprawdzono, nie znaleziono polskich zakładów ubezpieczeń uprawnionych do prowadzenia we Włoszech obowiązkowej działalności w zakresie ubezpieczeń OC komunikacyjnego. Nie wyklucza to jednak, że takie firmy mogą się pojawić w przyszłości. Kluczowe znaczenie będą miały kontrole oraz współpraca między służbami różnych państw. W przeciwnym razie istnieje ryzyko, że proceder nie zniknie, lecz przeniesie się na inny rynek, np. do Czech.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 7deee0c938



Zwolennicy ruchu Huti. Sana, 7 października 2026 r.

ŚWIT JEMENU CZY ZMIERZCH DLA WSZYSTKICH?

Walki w Jemenie uderzają w światowe dostawy ropy

Jakub Katulski

Jemeńska wojna domowa trwa już ponad 12 lat, a jeśli brać pod uwagę masowe demonstracje, które wybuchły wskutek arabskiej wiosny w 2011 r., kraj nie zaznał spokoju od przeszło 15 lat. Obecna sytuacja wciąż jest trudna. W ostatnich miesiącach sukcesy na polu bitwy, korzystając także z zagranicznego wsparcia, odnosi zarówno Najwyższa Rada Polityczna, ciało ustanowione przez szyicki ruch Huti, jak i Rada Przywództwa Prezydenckiego, reprezentująca uznawany międzynarodowo rząd Raszada al-Alimiego. Być może wojna wchodzi w decydującą fazę.

We wrześniu Huti mogli się poszczycić zdobyczami terytorialnymi u wybrzeży Morza Czerwonego. 10 września bojownicy zajęli port Mokka, niespełna 80 km od cieśniny Bab al-Mandab. Ruch od lat korzysta ze wsparcia Iranu, z którym łączą go wspólni wrogowie – Rijad, Tel Awiw i Waszyngton.

Ma to duże znaczenie, ponieważ rozpoczęta w lutym agresja Izraela i USA na Iran jest dziś dotkliwie odczuwalna przez dużą część świata, w tym przez Polaków, którzy jej skutki widzą na tablicach przed stacjami paliw. Zakłócenie żeglugi przez cieśninę Ormuz z powodu blokad i wymiany ognia między amerykańskimi i irańskimi siłami zbrojnymi ośmieliło ruch Huti do próby przejęcia kontroli nad strategiczną cieśniną Bab al-Mandab strzegącą wejścia na Morze Czerwone. Jak wykazały opublikowane 10 września wyniki śledztwa Agencji Reutera, Huti byli naciskani przez Iran, domagający się zwiększenia presji militarnej na Arabię Saudyjską, kluczowego sojusznika Waszyngtonu na Półwyspie Arabskim. Według jemeńskich źródeł agencji ofensywą na wybrzeżu miał kierować irański Korpus Strażników Rewolucji. Choć jeden z irańskich rozmówców twierdził, że decyzję o zajęciu Mokki podjęli sami Huti.

Zajęcie Mokki i rozdzielającej cieśninę Bab al-Mandab wyspy Mayyun zbliżyło ruch do Rogu Afryki,

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 7deee0c938

przez co konflikty w Iranie i w tej części Afryki mogą zlać się w jeden. Już w październiku 2025 r. raport ONZ wskazywał, że Huti zacieśniają współpracę z somalijską organizacją Asz-Szabab, podporządkowaną od 2012 r. Al-Kaidzie. W ramach relacji dwustronnych przemycana jest broń, a Huti trenują członków Asz-Szabab w wykorzystaniu technologii, przede wszystkim dronowej, i udzielają im wsparcia logistycznego.

Według zeznań zatrzymanego łącznika obu grup, dwóch inżynierów Huti szkoliło bojowników w Somalii w budowie ładunków wybuchowych i przerabianiu dronów, a niemal 400 Somalijczyków wyjechało na szkolenia wojskowe na tereny, które kontrolują Huti. W lutym 2026 r. Saldhig Institute, somalijski think tank z Mogadiszu, wskazywał, że ta współpraca przestaje mieć wyłącznie charakter logistyczny i wywiadowczy, a przeradza się w sojusz polityczny.

Pierwsze tego sygnały są już dostrzegalne na froncie. 7 września Narodowe Siły Oporu gen. Tarika Saleha, lojalne wobec uznawanego międzynarodowo rządu, poinformowały, że pomiędzy zabitymi Huti na zachodnim wybrzeżu Jemenu znaleziono ciała bojowników Asz-Szabab. Ich tożsamość miały potwierdzać znalezione przy nich dokumenty, choć informacji tej nie zweryfikowano niezależnie, a Huti do niej się nie odnieśli. Jeżeli się potwierdzi, stanie się jasne, że przepływ ludzi i broni nie odbywa się już tylko w jedną stronę, a Asz-Szabab nie dość, że korzysta z pomocy ruchu Huti, to jeszcze walczy u jego boku.

Cios w szlaki handlowe

Cieśnina Bab al-Mandab ma kluczowe znaczenie nie tylko dlatego, że przepływa przez nią ok. 12% światowego handlu. Gdy doszło do zakłócenia eksportu ropy przez Ormuz, Arabia Saudyjska większość swoich zdolności eksportu na rynek azjatycki przerzuciła do portów nad Morzem Czerwonym. Według danych firmy analitycznej Kpler w lutym z portu w Janbu wypływało ok. 0,8 mln baryłek ropy dziennie, a w czerwcu już rekordowe 4,3 mln, co stanowiło 93% całego saudyjskiego eksportu.

Pod koniec lipca Huti ogłosili blokadę Arabii Saudyjskiej i w ciągu tygodnia załadunki w Janbu zmalały o co najmniej 30%. Część tankowców zaczęła wyłączać transpondery, by uniknąć namierzenia. W sierpniu eksport z portu wynosił już tylko ok. 1,4-1,5 mln baryłek dziennie. Saudowie postawili więc na alternatywne drogi, m.in. na egipski rurociąg Sumed, prowadzący z Morza Czerwonego nad Morze Śródziemne. W sierpniu ropa z tego kierunku trafiała głównie do Europy i USA, ale we wrześniu, według Kplera, ok. 1 mln baryłek dziennie płynęło stamtąd do Azji.

Celem operacji „Świt Jemenu" jest odbudowa instytucji państwowych, odbicie stolicy i zakończenie zamachu stanu Huti.

Utrata pełni kontroli nad najważniejszymi drogami morskimi jest potężnym ciosem w gospodarkę Arabii Saudyjskiej, dla której najważniejszymi nabywcami są odbiorcy azjatyccy. W 2025 r. trafiało do nich średnio 4,9 mln baryłek ropy dziennie, czyli ponad dwie trzecie saudyjskiego eksportu, a w lipcu br. dostawy te spadły poniżej 3 mln baryłek dziennie.

Sytuacja jest o tyle trudna, że we wrześniu ataki dronów wyłączyły kilka przepompowni rurociągu Wschód-Zachód w prowincjach Rijad i Medyna, którym ropa płynie z pól naftowych na wschodzie kraju do Janbu. Od 11 września przez około dwa tygodnie z portu nie wypłynęła ani jedna baryłka, a według Kplera saudyjskie wydobycie spadło poniżej 6 mln baryłek dziennie i było najniższe od dziesięcioleci. Rijad przypisał atak irackim milicjom, Kpler natomiast Huti. Załadunki w Janbu wznowiono dopiero pod koniec września, a w październiku eksport według analiz miał wrócić do poziomu sprzed wojny. Niewykluczone jednak, że kolejne zawirowania ponownie wpłyną na trasy handlowe.

Kontrofensywa

Rijad nie zdecydował się na ataki odwetowe przeciwko milicjom w Iraku, ale nietrudno się domyślić, że to za sprawą Saudów Raszad al-Alimi 5 października ogłosił rozpoczęcie operacji militarnej „Świt Jemenu". Jej celem według oświadczeń ma być „odbudowa instytucji państwowych, odbicie stolicy i zakończenie zamachu stanu Huti". Kluczowe ma być odebranie zdobyczy terytorialnych Huti z września. Wiele też wskazuje, że działania koalicji wspierającej siły al-Alimiego są lepiej skoordynowane niż w przeszłości, co pozwala przypuszczać, że odniosą bardziej pożądany przez niego skutek.

Międzynarodowa koalicja do walki z bojownikami Huti, której przewodzi Arabia Saudyjska, wystawiła setkę myśliwców, a celność ataków jest dużo większa niż podczas kampanii bombardowań rozpoczętej w 2015 r., gdy według ACLED (niezależnej amerykańskiej organizacji pozarządowej zajmującej się zbieraniem i analizą danych na temat konfliktów zbrojnych, przemocy politycznej oraz protestów na świecie) naloty koalicji saudyjsko-emirackiej odpowiadały w latach 2015-2019 za dwie trzecie cywilnych ofiar ataków w Jemenie.

„Świt Jemenu" zdaniem sił rządowych już przynosi skutki, bo według Ministerstwa Obrony udało się odbić Mokkę, choć sami Huti temu zaprzeczają, a Agencja Reutera nie była w stanie jednoznacznie potwierdzić zdobyczy terytorialnych. Siły Rady Przywództwa Prezydenckiego miały w ciągu niecałych dwóch tygodni od ogłoszenia operacji przeprowadzić 17 tys. ataków na pozycje Huti, którzy jednak nie ustępują pola.

W październiku Huti całkowicie odcięli miasto Taiz, blokując trasę do Adenu. Ludność cywilna odczuwa braki m.in. paliwa. ONZ podaje, że bez dostępu do pomocy zostało ponad 800 tys. osób, 42 placówki medyczne sygnalizują braki paliwa, tlenu, leków czy kroplówek.

W połowie października Huti zajęli też tereny w dystrykcie Sabir. Abubakr al-Shamahi w anglojęzycznej

eprasa.pl 7deee0c938

odsłonie portalu Al-Dżaziry ocenia dotychczasowe zdobycze sił rządowych jako skromne i spodziewa się, że kampania potrwa wiele miesięcy, zwłaszcza że Huti wciąż dysponują groźnym arsenałem rakiet i dronów.

Arsenał ten kierują zresztą często przeciwko celom w Arabii Saudyjskiej. 27 października Huti poinformowali, że ich pocisk balistyczny trafił w największą saudyjską rafinerię w Ras Tanurze, wywołując pożar, choć saudyjska koalicja przekonuje, że ich obrona przeciwlotnicza przechwyciła wszystkie pociski wymierzone w kierunku jej infrastruktury. Najdotkliwsza była jednak seria ataków rakietowych i dronowych na lotniska w miastach Abha, Dammam, Dżizan, Nadżran i w Rijadzie z 6-12 października. Zginęło wówczas 20 osób, ponad 370 zostało rannych.

Na obszarach kontrolowanych przez Huti także giną cywile wskutek ataków sił koalicji rządowej. Ministerstwo Zdrowia w Sanie podaje, że w nalotach od początku września do 18 października rannych i zabitych zostało ponad 500 osób. 12 października saudyjskie bomby miały trafić w szkołę dla dziewcząt i ośrodek zdrowia w prowincji Taiz, zabijając pięć osób. Trudno jednak weryfikować dane udostępniane przez Huti czy Radę Przywództwa Prezydenckiego, a obie strony starają się wykazać odpowiedzialność przeciwników za przemoc.

Według ONZ od sierpnia w całym Jemenie zginęło co najmniej 57 cywilów, a 194 zostało rannych, przy czym organizacja nie przypisała tych ofiar żadnej ze stron. Duża rozbieżność między danymi ONZ a podawanymi przez Ministerstwo Zdrowia w kontrolowanej przez Huti Sanie wynika z tego, że ONZ raportuje jedynie zweryfikowane przypadki. Jak podaje Biuro ONZ ds. Koordynacji Pomocy Humanitarnej, domy musiało opuścić już 260 tys. osób, z czego niemal połowa przebywa w prowincji Taiz, będącej obecnie areną najintensywniejszych walk między stronami wojny domowej. Światowy Program Żywnościowy ostrzega, że w niektórych częściach kraju głoduje trzy czwarte rodzin.

Parasol z Mekki

Wiele decyzji wpływających na los wojny w Jemenie zapada jednak poza jego granicami. Jedną z nich jest ogłoszenie w sierpniu paktu z Mekki, podpisanego między księciem koronnym Arabii Saudyjskiej Muhammadem ibn Salmanem, prezydentem Turcji Recepem Tayyipem Erdoğanem i premierem Pakistanu Szahbazem Szarifem. Nowy pakt obronny zakłada, że atak na któregokolwiek z sygnatariuszy ma być traktowany jak atak na wszystkich, na wzór art. 5 NATO. Zobowiązanie to zostało poddane próbie już 48 godzin od podpisania porozumienia, gdy Huti uderzyli w rafinerię w portowym mieście Dżizan. Rijad wówczas zdecydował się jednak nie wzywać sojuszników do wypełnienia zobowiązań.

Niektórzy analitycy, w tym Adam Michalski i Krzysztof Strachota z Ośrodka Studiów Wschodnich, zauważają, że nie jest to prawdziwy sojusz wojskowy mimo wzorowanej na NATO klauzuli. Zobowiązania sformułowano ogólnikowo, a sygnatariusze nie powołali wspólnych instytucji ani nie uzgodnili zasad rozmieszczenia sił. Steven A. Cook z Council on Foreign Relations przekonuje z kolei, że znaczenie porozumienia nie leży w gwarancjach bezpieczeństwa. Sojusz łączy największą gospodarkę świata arabskiego, drugą co do wielkości armię NATO i jedyne muzułmańskie państwo z bronią jądrową. Jest też sygnałem wysłanym Waszyngtonowi, że partnerzy nie chcą już polegać wyłącznie na USA i nie czują, by Amerykanie zachowywali się przewidywalnie.

Wiele decyzji wpływających na los wojny w Jemenie zapada poza jego granicami.

5 października zdecydowano się aktywować zbiorowe środki odstraszania po nadzwyczajnym spotkaniu ministrów obrony i spraw zagranicznych sygnatariuszy paktu w Rijadzie. To pierwszy raz, gdy postanowiono uruchomić klauzulę i ogłoszono rozmieszczenie sił w Arabii Saudyjskiej, choć wciąż nie podano ich liczebności ani rodzaju.

Na razie ani Ankara, ani Islamabad nie palą się do walki w Jemenie. 8 października szef tureckiej dyplomacji Hakan Fidan zapewnił, że pakt ma charakter obronny, a Turcja nie będzie atakować innego państwa z terytorium Arabii Saudyjskiej. Tureckie systemy obrony powietrznej i walki elektronicznej chronią saudyjską infrastrukturę energetyczną już od ubiegłego roku, ale wysłanie pilotów i samolotów wymaga zgody parlamentu. Komisja spraw zagranicznych parlamentu w Ankarze dopiero 27 października zatwierdziła dokument ratyfikujący porozumienie, który wciąż czeka na głosowanie.

Podobnie ostrożny jest Pakistan. Minister obrony Chawadża Asif przyznał, że oba państwa są „obecne w teatrze działań", ale w walkach biorą udział wyłącznie Saudyjczycy. Islamabad nazwał „sfabrykowanym" raport „New York Timesa" o pakistańskich samolotach bombardujących Huti, a doniesienia Agencji Reutera o 30-40 tys. pakistańskich żołnierzy w królestwie uznał za spekulacje. Turcja i Pakistan widzą się chętniej w roli mediatorów między USA a Iranem, unikając eskalacji, niż w roli uczestników jednej z odnóg konfliktu. Szef tureckiego wywiadu Ibrahim Kalin i dowódca pakistańskiej armii Asim Munir z saudyjskim ministrem obrony Chalidem ibn Salmanem as Saudem udali się do Teheranu, by podjąć starania zapobiegnięcia eskalacji konfliktu USA i Iranu. Ich działania zakończyły się zapowiedziami dalszego dialogu.

Po raz pierwszy od ostatniego zawieszenia broni w 2022 r. obie strony wojny domowej przeszły do ofensywy niemal równocześnie. Arabia Saudyjska wróciła zaś do prowadzenia nalotów, korzystając ze wsparcia politycznego Turcji i Pakistanu. Konflikt w Jemenie przestał być wyłącznie lokalny. I nie widać przełomu ani zakończenia kryzysu humanitarnego, którego ofiarą padają jemeńscy cywile. Na razie Jemen czeka przedłużający się zmierzch zamiast zapowiadanego świtu.

Jakub Katulski

eprasa.pl 7deee0c938

Październik 1956 W DZIENNIKACH MARII DĄBROWSKIEJ

Paweł Siergiejczyk



Wiec na Politechnice Warszawskiej. Wystąpienie Jana Wilkoszewskiego z Wydziału Budownictwa Przemysłowego. 20 października 1956 r.

Polska 70 lat temu przeżyła swoją rewolucję. Antystalinowską, antyradziecką, niepodległościową, demokratyczną, ale też z całą pewnością socjalistyczną, gdyż społeczno-gospodarczych fundamentów PRL nikt wtedy nie podważał. I na szczęście – bezkrwawą, choć wcale taka być nie musiała. Była to zatem rewolucja, która przy ogromnym społecznym entuzjazmie – chyba już nigdy więcej nie powtórzył się on w takiej skali – potrafiła sama się ograniczyć w imię politycznego realizmu, dzięki czemu październikowa Warszawa uniknęła losu Budapesztu.

Głównymi bohaterami tamtych dni byli ludzie lewicy: powracający do władzy jako symbol niezależności Polski Władysław Gomułka, a także torujący mu drogę do tego powrotu „puławianie", czyli jeszcze niedawni stalinowcy, często żydowskiego pochodzenia, którzy po śmierci Bolesława Bieruta w marcu 1956 r. wypowiedzieli posłuszeństwo Moskwie, za co stali się obiektem ataków ze strony konsekwentnie proradzieckich „natolińczyków". Ale był i drugi szereg bohaterów: samorzutnie wyłaniający się przywódcy załóg robotniczych z Lechosławem Goździkiem z FSO na Żeraniu na czele, a także działacze młodzieżowi z najważniejszych ośrodków akademickich, których zapleczem propagandowym stali się młodzi dziennikarze, m.in. z tygodnika „Po Prostu" i „Sztandaru Młodych".

Atmosferę polskiej rewolucji, która dokonała się w październiku 1956 r., najlepiej oddają prywatne zapiski świadków tych wydarzeń. Szczególnie cenne są dzienniki Marii Dąbrowskiej – postaci niezmiernie ważnej i zarazem bardzo charakterystycznej dla środowisk lewicowo-liberalnej inteligencji.

Maksimum niezależności

W dniu rozpoczęcia VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR, 19 października 1956 r., Dąbrowska zanotowała wiadomości „o dziwnych rzeczach zaszłych na uniwersytecie, w politechnice i na Żeraniu. Do fabryki przyjechał Kłosiewicz (prezes Związków Zawodowych, wyjątkowo znienawidzony). Miał czelność przyjechać luksusowym cadillakiem. Robotnicy od razu potłukli mu szyby, wypuścili z opon powietrze, samego wygwizdali, następnie zapakowali do tegoż cadillaka i wypchnęli z wozem za bramę. Natychmiast na murach uniwersytetu ukazała się klepsydra: »Dnia tego a tego zmarł śmiercią polityczną W. Kłosiewicz« etc. Jednocześnie w gablotkach ogłoszeniowych uniwersytetu ukazały się teksty skonfiskowanych albo pocenzurowanych artykułów. Także pełny tekst sprawozdania z jakiegoś Zjazdu ZMP, na którym było podobno ostre starcie z gośćmi radzieckiego Komsomołu, w prasie podano o tym zjeździe tylko ułamkowe relacje".

20 października Dąbrowska zapisała: „Dziś rano przesensacyjna wiadomość. Rząd czy partia nie przyjęły Chruszczowa, Mołotowa i Mikojana, którzy mimo próśb, aby zaniechali tego, przybyli samolotem do Warszawy. Jak niepyszni musieli odlecieć z powrotem. Że też nie zdobyli się w tej sytuacji politycznej na odrobinę elegancji i powściągliwości! Że też nie zrozumieli, że teraz dopiero zarysowują się w Polsce możliwości ustanowienia sojuszu i przyjaźni z Rosją. I że nie powinni w tym przeszkadzać! Jeżeli tego nie zrozumieli, to znaczy, że w swej nieludzkiej

eprasa.pl 7deee0c938

pysze stracili swój przysłowiowy spryt dyplomatyczny. (...) Czy Rosja od razu wprowadzi w akcję wojsko? Czy zdecyduje się na chwilową porażkę, jak było niegdyś z Titem, by zwyciężyć w bardziej przyzwoity sposób?".

Następnego dnia Dąbrowska zanotowała swoje wrażenia z mowy Władysława Gomułki: „Mówił, zwłaszcza na początku, głosem zdławionym od wzruszenia. Mnie ta mowa nie dość się podobała. Moje wymagania z godziny na godzinę rosną i jeśli ma być nowa treść, żądam dla niej całkiem nowego języka. Ale Anna [Kowalska, przyjaciółka Dąbrowskiej – P.S.] mnie zgromiła, że nie zdaję sobie sprawy z grozy sytuacji. Że w tym położeniu było aktem wielkiego męstwa wziąć na siebie odpowiedzialność, wziąć na swoje barki taką katastrofalną puściznę. I że w mowie Gomułki było maksimum niezależności, na jaką pozwala elementarny zmysł polityczny. Pewno ma rację".

Demokratyzacja i suwerenność

Również 21 października Dąbrowska zapisała rewelacje, które usłyszała od młodszego kolegi po piórze, Wojciecha Żukrowskiego: „On powiada o przygotowanym przez »natolińczyków« (klika rosyjsko-antysemicka) zamachu stanu. Była przygotowana lista proskrypcyjna, miano aresztować w samej Warszawie 1500 osobistości. W tym 30 pisarzy. Jak to zostało udaremnione – nie wiem. Podobno generał Komar (niedawny więzień) stanął na czele Korpusu Bezpieczeństwa [Wewnętrznego – P.S.], a cały ów Korpus miał jakoby oznajmić, że w razie interwencji wojskowej Sowietów wyda broń robotnikom. Robotnicy wszystkich wielkich zakładów przemysłowych trzymają w fabrykach permanentnie warty na wypadek zamachu »natolińczyków« czy Rosjan. To nie są już warty stalinowskie, leninowskie etc., to są warty polskie, broniące niezależności kraju. We wszystkich hasłach powtarzają się teraz dwa słowa: demokratyzacja i suwerenność. Wojtek mówi jeszcze, że w owej delegacji moskiewskiej prócz Chruszczowa, Mołotowa i Mikojana byli Żukow i Koniew. Że rozmowy z nimi przeprowadzili Ochab i Gomułka. Chruszczow podobno bił pięścią w stół i wrzeszczał lżąc Polaków i Gomułkę od ostatnich. Gomułka zaprawny w śledztwach, spod których dopiero co wyszedł, zachowywał jakoby wielką godność i spokój. Oficjalnego przyjęcia »Delegacji« sowieckiej odmówiono, cywilni Moskale odlecieli już wczoraj, Koniew i Żukow odlecieli do… Legnicy, gdzie zawsze dotąd stoją trzy rosyjskie dywizje. Z nimi czy do nich pojechał tam również Rokossowski".

Był i drugi szereg bohaterów z Lechosławem Goździkiem z FSO na Żeraniu na czele, a także działacze młodzieżowi z najważniejszych ośrodków akademickich.

Makabi contra Natolin

Dąbrowska zanotowała też wrażenia innego znajomego, który odwiedził ją tego samego dnia, a wcześniej był na wiecu na politechnice. „Normalnie – mówił – w żadnym tak licznym zbiorowisku nie obeszłoby się bez scen co najmniej ordynarnych, jeśli nie chuligańskich. Tym razem wszyscy byli dla siebie uprzejmi, życzliwi, wiec był pełen żaru, ale i powagi".

Pisarka dodała swój komentarz do tych słów: „Tak, tylko beznadzieja produkuje chamów i chuliganów, najmniejszy promyk nadziei stwarza ludzi. Cała ta wiecująca młodzież nie okazała się ani reakcyjna, ani kruchciana. Występowała z życzliwością dla nowego ducha, jakim powiało nawet od ludzi partii, a nade wszystko dla nowej ludzkiej koncepcji socjalizmu. Tak więc pierwsze ujawnienie się opinii publicznej pokazało, że nie jest tak źle, jak myślałam. Naród chronił się w »reakcję« i w kruchtę jako w jedyny azyl przed gwałceniem jego osobowości. Jawność życia przesegreguje wszystko we właściwy sposób. Na czym i katolicyzm zyska, bo co innego jest być schronem dla ogarniętych paniką tłumów, a co innego kościołem rzeczywistym, myślącym i zdolnym pogłębiać koncepcje katolickie".

Opierając się na relacji znajomego, Dąbrowska zauważyła, że na wspomnianym wiecu występowali Stefan Staszewski, I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR, i krytyk literacki



eprasa.pl 7deee0c938

Jan Kott. „Rzecz paradoksalna, Polacy żydowskiego pochodzenia zaczynają prowadzić Polskę przeciw Rosji, jak wprzódy grali pierwsze skrzypce w montowaniu wedle fałszywych recept rzekomej przyjaźni polsko-radzieckiej. Anna [Kowalska – P.S] nazywa obecny etap ich postawy: »Makabi contra Natolin«. Ale żart nie załatwia historii".



Władysław Gomułka podczas wizyty w FSO na Żeraniu. Drugi z lewej Lechosław Goździk, I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR. Warszawa, 1956 r.

Chiny popierają Polskę

22 października w dzienniku kolejna pogłoska z tamtych dni: „Anna poszła do pań Milskiej i Markowskiej. Tam dowiedziała się, skąd partia nabrała takiej śmiałości w stosunku do Rosji. Otóż Ochab wrócił tylko co z Chin i przywiózł wiadomość, że Chiny popierają Polskę. Same wzięły i wyprawiły wszystkich doradców sowieckich do granicy, suto ich obdarowawszy i za wszystkie »usługi« podziękowawszy. Poparcie znajdujemy też oprócz Węgier w Bułgarii, Jugosławii, Rumunii. Natomiast Czechy ani drgną, a nawet wyniośle patrzą na nasze »szaleństwo«. A jakie to by miało znaczenie, żeby teraz za nami stanęły!".

24 października Dąbrowska zapisała, że partyjna pisarka Wanda Markowska, wówczas zastępczyni kierownika Wydziału Kultury KC, „opowiada jednak o rzeczach b. niebezpiecznych dziejących się na prowincji, m.in. w Gdańsku, Wrocławiu, Bydgoszczy. W Gdańsku manifestanci zdemolowali podobno lokal osławionego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i próbowali rozdmuchać rozruchy antysemickie. Ktoś nie bez racji powiedział, że doszło do takich rzeczy wszędzie tam, gdzie partia nie zdołała na czas »włączyć się w ruch ogólnonarodowy«". Od Natalii Modzelewskiej, wdowy po ministrze spraw zagranicznych Zygmuncie Modzelewskim i matki Karola Modzelewskiego, pisarka dowiedziała się dalszych szczegółów wizyty Chruszczowa w Warszawie: „Podobno istotnie było tak, że na telefoniczną zapowiedź wizyty nasi panowie odpowiedzieli kategoryczną »prośbą« o nieprzyjeżdżanie, gdyż ósme Plenum będzie się zajmowało sprawami wyłącznie polskimi i wewnątrzpartyjnymi i żadne zaproszenia, wizyty czy delegacje zagraniczne nie są przewidziane. W odpowiedzi na to »Chruszczow i inni« przylecieli. Na lotnisku czekali w dwu grupach: Politbiuro Partii i osobno – Rokossowski z rosyjskimi generałami. Chruszczow podobno dosłownie wyskoczył z samolotu i przywitawszy się z generałami zwrócił się od razu do Ochaba »z pyskiem«. Tenor »przemówienia« był podobno: »Ty taki i owaki, myśmy krew za was przelewali, a ty chcesz Polskę Amerykanom sprzedać?!« (Jakoby już wracając z Chin Ochab miał w Moskwie powiedzieć: »Węgla nie mamy i nie damy«). Podobno Ochab się stawiał. Chruszczow zwrócił się do Gomułki: »A ty kto taki? Ciebie nie znam«. Na co Gomułka miał odpowiedzieć: »Nie znacie mnie, bo siedziałem w więzieniu« i coś tam jeszcze. Potem pojechali wszyscy do Ambasady Sowieckiej. »I tam – jak opowiada pani Natalia – nastąpiła karczemna scena trwająca 15 godzin«. Nieproszeni radzieccy goście odlecieli nazajutrz o szóstej rano. Jest coś imponującego w wytrzymaniu tej sceny przez steraną ofiarę systemu, jaką jest Gomułka. Jest też coś imponującego w fakcie, że to robotnik polski pierwszy po hrabim Andrzeju Zamoyskim powiedział: »Allez-vous en« [Wynoście się – P.S.]".

Pilnujcie Gomułki w Moskwie!

25 października Dąbrowska zauważyła już jednak inną tendencję: „Wobec rosnącego nasilenia nastrojów antysowieckich wszyscy politycy prześcigają się teraz w podkreślaniu sojuszu ze Związkiem Radzieckim. To jest istotnie konieczność polityczna, ale słuchać tego niemiło, bo Rosja od 1939 robiła wszystko co mogła, żeby ją znielubiano. A mówił o niezłomności tego sojuszu i Gomułka dzisiaj przed Pałacem Kultury, i Cyrankiewicz w swym exposé o sytuacji, i stary

FOT. PAP/MARIUSZ SZYPERKO, PAP/JAN TYMIŃSKI

eprasa.pl 7deee0c938

poseł Drobner w sejmie. Okazało się przy tym – powiedziane expressis verbis przez Gomułkę i Cyrankiewicza – że wojska radzieckie bynajmniej nie wycofują się z Polski, lecz tylko solennie obiecały, że w ciągu dwu dni cofną stacjonujące w Polsce jednostki do ich baz (Legnica i Szczecin), czyli że przestaną po prostu bezpośrednio zagrażać Warszawie".

Kolejne zapiski z 29 października, zawierają opis wizyty u Dąbrowskiej Jana Kotta: „Bardzo podniecony opowiadał mnóstwo nieznanych nam szczegółów z owej nocy z piątku na sobotę i z całego ubiegłego tygodnia, gdy ważył się los Polski. Chruszczow powoływał się na to, że przylatując do Polski działa w porozumieniu z Titem, tymczasem Tito słał owej nocy depeszę za depeszą dementując to kłamstwo i opowiadając się za Polską. W Ambasadzie Jugosłowiańskiej nikt nie spał tamtej nocy. Poszukiwano, gdzie jest Chruszczow, żeby mu zakomunikować dementi Tity, członkowie ambasady podobno płakali. Jednocześnie wojska Korpusu Bezpieczeństwa otoczyły Warszawę, gotowe strzelać na wypadek, gdyby Rosjanie ruszyli ku Warszawie (a doszli podobno już bardzo blisko). Oddziały Rokossowskiego stojące jakoby gdzieś na tych samych miejscach, gdzie Rokos. stał w czasie powstania 1944 roku, i którym powiedziano, że Żydzi chcą opanować rząd i partię, były jakoby gotowe uderzyć. Na wieść o tym oficerowie KB przedarli się do tych oddziałów, aby je poinformować o prawdzie sytuacji. Żołnierze zresztą wszyscy co do jednego byli cały czas z narodem, a tylko oficerowie dali się obałamucić. Tak mówią".

Dalej Dąbrowska zanotowała: „Nowe Politbiuro ma jechać do Moskwy ustanawiać nowe warunki sojuszu. W związku z tym Gomułka dostaje setki listów błagających go, żeby nie jechał. Podobno młodzież zbiera się gromadnie pod gmachem UB skandując: »Pilnujcie Gomułki w Moskwie!«. (…) Co za sytuacja! Świat się kończy, a może… zaczyna".

Jakby antyczna tragedia

Kilka tygodni później, 14 listopada, pisarka dodała kolejne uzupełnienia dotyczące owej dramatycznej nocy z 18 na 19 października, które usłyszała od znajomych literatów: „Rozmowa toczyła się wśród ciągłych telefonów o wyruszeniu wojsk rosyjskich z baz i maszerowaniu ich na Warszawę. Gomułka i Ochab przerwali wtedy jakoby rozmowę, że w tych warunkach nie może ona się toczyć. Kiedy po trzeciej takiej wiadomości doszło do tego, że nasi uznali rozmowy za zerwane, Moskale zaczęli telefonować do swoich generałów i wreszcie oznajmili, że wojska zaczynają się wycofywać. Dopiero wtedy podjęto dalszą rozmowę".

Dalej Dąbrowska zapisała: „Podobno żołnierze KBW, którzy otaczali Belweder (…), poprzysięgli sobie, że w razie jakiejkolwiek prowokacji ze strony wojsk rosyjskich »goście« nie wyjdą żywi z Belwederu, cokolwiek miałoby się potem stać. Według innej wersji, gdy Gomułka i Ochab oznajmili, że nie mogą rozmawiać wobec wiadomości o posuwaniu się wojsk rosyjskich ku Warszawie, Chruszczow czy ktoś inny z owych przyjezdnych miał oświadczyć, że to są z dawna przygotowane manewry, na co Gomułka miał powiedzieć: »Nie mam żadnej podstawy nie wierzyć waszym twierdzeniom, że to są manewry. Ale naród polski twierdzi, że wojska posuwają się ku Warszawie. A dla mnie prawdą jest to, co mówi naród polski«. Rosjanie przybyli z 75 enkawudzistami, którzy otoczyli Belweder, a na to generał Komar otoczył owych enkawudzistów 100 żołnierzami KBW, tymi gotowymi na wszystko. Z tych wszystkich relacji wychodzi coś niby »Noc Listopadowa« Wyspiańskiego. Może i była to trochę jakby antyczna tragedia".

Swoistym podsumowaniem Października była wizyta polskiego kierownictwa z Gomułką na czele w Moskwie w dniach 16-18 listopada 1956 r. Dąbrowska zapisała pod datą 20 listopada: „Rokowania w Moskwie podobno miały pomyślny przebieg.

19 października 1956 r. Dąbrowska zanotowała wiadomości „o dziwnych rzeczach zaszłych na uniwersytecie, w politechnice i na Żeraniu".

W każdym razie wszystkie przemówienia Gomułki cechowały godność i mądrość. (…) Powrót Gomułki, który nastąpił wczoraj, był jednym pasmem tryumfów już od Terespola (obecna granica). Tłumy stały na torach zatrzymując pociąg nawet między stacjami. Tłumy na stacjach i najmniejszych stacyjkach, zatrzymujące pociąg. Gdy dojechali do Warszawy, salonka delegacji była pełna kwiatów, listów, depesz i… zabawek ofiarowanych Gomułce, nawet misie pluszowe i lalki! Wszędzie śpiewano tłumnie: *Sto lat*… Gomułka miał powiedzieć: »Nie wiedziałem, że *Sto lat* to pieśń rewolucyjna«. I tak odtąd istotnie *Sto lat* stało się pieśnią »polskiej rewolucji«".

Paweł Siergiejczyk

ZAPROSZENIE

W imieniu Zarządu Oddziału Warszawskiego i Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy RP zapraszamy na spotkanie z **red. Pawłem Dybiczem**, autorem książek o historii Polski Ludowej i jej ostatnich latach.

Spotkanie odbędzie się 6 listopada (piątek) 2026 r. o godz. 12.00, Dom Dziennikarza, Warszawa, ul. Foksal 3/5, I piętro, sala B.

Hanna Świeszczakowska, zastępczyni sekretarza ZG SDRP
Izabela Witkowska, rzeczniczka prasowa OW SDRP

eprasa.pl 7deee0c938



W KSIĄŻCE RADZĘ SOBIE ZE WSZYSTKIM

LITERATURA JAKO SPOSÓB ODKRYWANIA RODZINNYCH SEKRETÓW

Rozmawia Beata Dżon-Ozimek

MAGDALENA PARYS
– polsko-niemiecka pisarka, felietonistka, komentatorka, publicystka m.in. „Gazety Wyborczej"; publikuje w „Die Welt"; autorka bestsellerowych powieści political fiction, wydawanych po polsku oraz niemiecku i tłumaczonych na inne języki, tak jak „Floren", ostatnia część trylogii berlińskiej. Nagrodzona Literacką Nagrodą Unii Europejskiej.

Jesteś bardzo zapracowana, na nową książkę czeka znane wydawnictwo niemieckie, piszesz książkę dla dzieci, czeka książka o Berlinie. Masz wiele spotkań autorskich wokół najnowszego „Florena", a twój „Der Prinz" znalazł się w finałowej dziesiątce prestiżowej niemieckiej nagrody Hotlist 2026 dla niezależnych wydawnictw. Dużo się dzieje.

– Tak, do tego stopnia, że nakładają mi się spotkania na spotkania i nie mam czasu na pisanie książki. Cały rok promuję „Florena" w Polsce oraz „Księcia" w Niemczech i Austrii. Cieszę się, że Francuzi dali mi na chwilę spokój.

W jakim Berlinie się obudziłaś po wyborach wygranych wysoko przez Die Linke?

– Akurat byłam w Hamburgu, ale i tam panowały niewesołe nastroje. Jednak znacznie bardziej niż sukces Die Linke niepokoi mnie rosnące poparcie dla AfD w Saksonii-Anhalt, Brandenburgii, ale również w zachodnich landach. Chociaż skoro piszę o dawnych i współczesnych nazistach, trudno mi traktować dzisiejsze sukcesy skrajnej prawicy jak niespodziankę. Zajmuję się tą tematyką co najmniej od 2011 r., od momentu ujawnienia zbrodni neonazistowskiej grupy NSU, która w demokratycznym państwie przez lata mordowała ludzi tylko dlatego, że nie byli Niemcami. Śledczy długo szukali winnych

eprasa.pl 7deee0c938

w otoczeniu ofiar, nie dostrzegając rasistowskiego podłoża tych zbrodni. Nienawiść do „obcych" była obecna u części niemieckiego społeczeństwa na długo przed powstaniem AfD.

Co dalej? Realizacje nagłaśnianej remigracji, deportacje?

– Pewne rzeczy już się dzieją. W saksońskim Heidenau rada miasta przyjęła wspólny wniosek AfD, CDU i lokalnego ugrupowania, odmawiając zgody na układanie na ulicach i chodnikach kolejnych kamieni pamięci, które przypominają o ludziach zamordowanych przez nazistów. Dotychczasowe mogą pozostać, ale nowych nie będzie. Saksońska AfD chce ponadto odsunąć od szkół organizacje, które określa jako lewicowe, kwestionuje też ich finansowanie. Według ideologii AfD organizacje zajmujące się przeciwdziałaniem rasizmowi i edukacją demokratyczną stanowią poważne zagrożenie dla uczniów. W sąsiedniej Saksonii-Anhalt mają powstać osobne klasy dla dzieci uchodźców i osób ubiegających się o azyl. Będą je przygotowywać do powrotu do krajów pochodzenia i uświadamiać im, że pobyt w Niemczech jest tymczasowy.

To chyba nowy pomysł?

– Czegoś takiego w Niemczech jeszcze nie było. To zasadnicza różnica wobec klas przygotowujących dzieci do wspólnej nauki z pozostałymi uczniami. Też chodziłam kiedyś do takiej klasy. Dalej: zmiana w nauczaniu historii, z większym naciskiem na sukcesy państwa Bismarcka z 1871 r., czyli jednolite podręczniki wybierane przez ministerstwo. Zakończenie finansowania szkolnego programu przeciw rasizmowi, bo według AfD „prawdziwy rasizm" niemal już nie istnieje. Jest jeszcze zapowiedź odebrania dotacji landowej centrum w Magdeburgu zajmującemu się badaniem sztuki i innych dóbr zrabowanych przez nazistów. Zastanawiam się, ilu wyborców AfD zna te zapisy. Ciekawa jestem też, co pocznie wyborca, któremu urodzi się dziecko z zespołem Downa. Mówiąc krótko, polityka AfD bardzo szybko zacznie dotykać wszystkich, którzy dzisiaj jeszcze się tego nie spodziewają.

Myślisz, że AfD rozleje się po całym kraju?

– Tak, jeśli nie stanie się coś niespodziewanego. Jakiś cud.

W książkach trochę wieszczysz i wyprzedzasz politykę.

– Nie lubię roli Kasandry. Jest w niej coś dosłownie beznadziejnego, bo jakie ma znaczenie, że widzi ona nadchodzącą katastrofę, skoro nikt nie chce jej słuchać? Przychodzą mi wtedy na myśl Kurt Tucholsky i Stefan Zweig. Ich ostrzeżenia, ich poczucie bezsilności wobec tego, co się działo z Europą. Niedawno z przyjaciółką Niemką, lekarką, stwierdziłyśmy, że gdyby doszło do wojny, będziemy walczyć. Tyle że możemy walczyć z najeźdźcą, ale jak walczyć wewnątrz z sąsiadem, który wybrał AfD?

Z tematyką dronów radzisz sobie świetnie, myślę o książce „Książę" z 2020 r.

– W książce radzę sobie ze wszystkim, ponieważ jestem autorką światów, które tworzę. Od lat siedzę w militariach: czołgach, dronach i technologiach wojskowych. Interesuje mnie też perspektywa humanoidalnych żołnierzy. Pisałam o tym w „Księciu", a we „Florenie" także o tym, jak prowadzić wojnę za pomocą takiej armii. Kiedy „Floren" trafił do księgarń, zobaczyłam w telewizji materiał o wielotysięcznej armii humanoidalnych żołnierzy w Chinach. Miałam wrażenie, że ktoś zekranizował fragment mojej książki.

Co sądzisz o przyznaniu prawa do głosowania w wyborach do lokalnych parlamentów 16-latkom? W Berlinie to ponad 55 tys. głosów.

– Pamiętam, jak poszłam z córką na jej pierwsze głosowanie w wyborach do europarlamentu. Widziałam, jak ważny był to dla niej dzień. Mimo to mam poważne zastrzeżenia do obniżania wieku wyborczego do 16 lat. Chodziłam do szkoły w Berlinie Zachodnim, maturę zdawałam niedługo po upadku muru. W naszej szkole politykę traktowano równie poważnie jak niemiecki i matematykę. Musieliśmy zdawać z niej maturę, choć nie wszędzie w Niemczech Zachodnich tak było. Uczyli nas nauczyciele z pokolenia '68, dla których świadomość polityczna była istotną częścią wychowania. Co tydzień mieliśmy prasówki, baliśmy się ich i przygotowywaliśmy skrupulatniej niż do klasówek. Kiedy odbywały się wybory w Szlezwiku-Holsztynie, umawiałyśmy się z koleżankami na nocowanie i z popcornem oglądałyśmy wyniki w telewizji. Polityka nas obchodziła. Myślę, że jako 16- czy 17-latka byłam przygotowana do głosowania.

Co w takim razie z dzisiejszymi nastolatkami?

– Mam troje dzieci i z moich obserwacji wynika, że teraz takiego przygotowania nie ma. Szkoły mierzą się z innymi zadaniami, kiedy do klasy trafiają dzieci uciekające przed wojną, które dopiero uczą się niemieckiego. Trzeba zapewnić im pomoc językową, poczucie bezpieczeństwa i możliwość odnalezienia się w nowym otoczeniu. A równocześnie prowadzić rzetelną edukację polityczną całej klasy. To wymaga czasu, ludzi i wsparcia. W tych warunkach są to wyzwania nie do pogodzenia. Dlatego samo przesunięcie granicy wieku nie ma sensu. Za decyzją o przyznaniu młodym prawa głosu powinna stać równie poważna decyzja o przygotowaniu ich do korzystania z niego. O tym nie ma dziś mowy. Dlatego tę rolę przejęły media społecznościowe. Młodzi ludzie dowiadują się z TikToka, co i kogo wybierać.

Z kont AfD...

– Tak, tyle że Niemcy to duży i bardzo zróżnicowany kraj. Są jeszcze inne partie, jest silne społeczeństwo obywatelskie, wielu społeczników i aktywistów, jest klasa średnia ze swoimi wartościami i oczekiwaniami, ich głosy również docierają do młodych. Żeby jednak zrozumieć współczesne Niemcy, trzeba spojrzeć na nie od środka i cofnąć się o kilka dekad. Zrozumieć choćby, skąd się wzięli Zieloni i dlaczego zyskali tak duże znaczenie. Wydaje mi się, że w wyobrażeniu Niemców o sobie wciąż żyje kraj Dichter und Denker – poetów i myślicieli. A wraz z nim przekonanie o szczególnej roli do odegrania: intelektualnej, gospodarczej i cywilizacyjnej. O potrzebie wyznaczania kierunku, proponowania rozwiązań, za którymi pójdą inni. Spójrz na transformację energetyczną i odejście od atomu. Towarzyszyła temu ambicja pokazania światu, że

FOT. WERONIKA KUŹMA

eprasa.pl 7deee0c938

wielki kraj przemysłowy może przebudować swój system energetyczny i stać się przykładem dla innych. Chodzi więc o postęp rozumiany jako zmiana całego sposobu funkcjonowania społeczeństwa.

A jednocześnie istnieje głęboko zakorzeniony konserwatyzm codziennego działania: przywiązanie do procedur, przepisów, przewidywalności. To dziwne połączenie. Można mieć śmiałą wizję przyszłości i zachowawczy sposób jej urzeczywistniania. Przez dziesięciolecia konsekwencja, solidność i stabilne reguły pomagały budować niemiecką siłę. Dziś część tych samych mechanizmów utrudnia dostosowanie się do zmian. Widać to choćby w rozbudowanej biurokracji i trudnościach z cyfryzacją administracji. Świat przyśpieszył, coraz większe znaczenie mają elastyczność, eksperymentowanie, gotowość do korekty własnych decyzji. A to nie są najsilniejsze cechy niemieckich elit.

opowieściach babci, której połowa rodziny została wymordowana przez Gestapo. Babcia przekazała mi autentyczną energię tych doświadczeń. Mogę opowiedzieć coś córce, mogę być głosem poprzednich pokoleń, ale będę mówić o tym inaczej. Jakim głosem może być moja córka? Może już tylko skopiować kopię kopii. Co wiedzą o wojnie ludzie, którzy wyrośli w byłej NRD czy młodzi w Niemczech Zachodnich, co im opowiadali babcia i dziadek? Moja opowiadała o krzywdzie. Ich babcia i dziadek milczeli, nie opowiadali, że wymachiwali chorągiewką Hitlerowi. Mają tylko i aż doświadczenie agresora, za które musieli zapłacić i w pewnym sensie spłacają to do dziś.

Ale wybierają drogę w prawo, prawicowy populizm i ekstremizm.

– Bo przestrogi już zwietrzały. My dostawaliśmy je od rodziców i dziadków niemal w prezencie, razem z ich pamięcią. Od końca wojny minęło ponad 80 lat. Dla młodego człowieka to tyle co tysiąc lat. W tym czasie AfD znalazła odpowiedni język, żeby wytłumaczyć młodym i starym nowy świat. Przygotowuje się do przejęcia władzy. Buduje kadry, rozwija własne akademie, szkoli ludzi do kierowania ministerstwami. Wspiera ją w tym bliska jej fundacja Desiderius-Erasmus-Stiftung. Już myślą, kto obejmie jaki urząd, kto pokieruje danym resortem, kto będzie dobrze wyglądał przed kamerą. To jest konkretne przygotowanie do rządzenia. Odrabiają lekcję zdobywania władzy, podczas gdy stare partie uczą się, jak używać TikToka, i wystawiają plakaty wyborcze „Przecież zawsze tu byliśmy". Jakby sama obecność przez tyle lat dawała im prawo do następnych. I wystawiają kolejny plakat w stylu: „A na kogo innego miałbyś zagłosować?".

Polityka AfD bardzo szybko zacznie dotykać wszystkich, którzy dzisiaj jeszcze się tego nie spodziewają.

Zauważalna jest ewolucja języka, miękkie wpuszczanie sformułowań uważanych przez badaczy, np. Davida Begricha z Magdeburga, za nazistowskie. Za sprawą AfD np. na sesjach w parlamencie słychać: „remigracja", „deportacja bez litości i wbrew każdemu oporowi", „inwazorzy" zamiast imigranci.

– Tu wraca „Cassandra", projekt prof. Jürgena Wertheimera z Tybingi, który szuka w języku i literaturze sygnałów nadchodzących kryzysów. W Republice Weimarskiej bojówkarz wykrzykiwał hasła, podsycając strach i nienawiść, dziś podobny język rozchodzi się poprzez media społecznościowe. Po co wymyślać nowe hasła, skoro można sięgnąć po te sprawdzone?

Twój „Książę" trafił do zasobów tego projektu. Ale wiemy, Niemcy wiedzą, do czego te słowa doprowadziły.

– My wiemy, ale młodzi ludzie, którzy mają dziś 20 czy 30 lat, już nie. Jako trzecie pokolenie od czasów wojny wyrosłam jeszcze na

Jesteś jurorką w konkursie o Polsko-Niemiecką Nagrodę Medialną im. Tadeusza Mazowieckiego.

– Jestem pod ogromnym wrażeniem poziomu prac polskich oraz niemieckich dziennikarzy i reporterów. Wiele z nich głęboko mnie poruszyło. Myślałam, że wiem prawie wszystko o stosunkach polsko-niemieckich, ale myliłam się. A laureata poznamy 27 listopada.

Mówisz rzeczy niepopularne albo takie, w które nie chcemy wierzyć. Także z praktyki życia w wieloetnicznym społeczeństwie.

– Po prostu mówię, co myślę, i mam szczęście, że nie jestem niewolnicą żadnej ideologii. I nigdy nie będę, założyłam na użytek osobisty własną partię o nazwie Prawda i tylko jej służę. Powiem tak: jeśli w domu mieszka pięć osób i zapraszam trzy kolejne, muszę przygotować dla nich miejsce. Jeśli zapraszam osiem, tym bardziej nie mogę zakładać, że wszystko ułoży się samo. Jako gospodyni mam obowiązki, ale mam też prawo oczekiwać przestrzegania wspólnych zasad.

Niedawno taksówkarz, nie zdradzę narodowości, powiedział mi, że jego żona nie wsiadłaby do taksówki ubrana tak jak ja. W jego dzielnicy kobieta nie odezwałaby się do niego takim tonem. On to toleruje, bo z tego żyje, ale niedługo nadejdzie czas w tym mieście, że będzie mógł powiedzieć kobietom, „jak jest". Odparłam, że przyjechał zrobić tu to, przed czym uciekł z własnego kraju. I ja mam o tym nie mówić? Nie chcę, żeby moja swoboda jako kobiety zależała od tego, ile ktoś zechce tolerować. Dodam tylko, że mieszkam na osiedlu, gdzie jest wielu obcokrajowców, żyjemy w zgodzie, ponieważ się szanujemy i dostosowujemy do zasad ogólnie panujących w tym kraju. Tylko tyle i aż tyle.

W tramwaju w Katowicach słyszałam, jak Polak obrażał Ukrainkę i jej dzieci. Niemiec się powstrzymuje?

– W Niemczech nie słyszałam o napaściach na Ukraińców. Warto dodać, że według najnowszych danych do Niemiec napłynęło więcej uchodźców z Ukrainy niż do Polski.

Literatura dla dzieci także kształtuje przyszłego dorosłego, obywatela i jego wybory.

– Europejskie Centrum Solidarności wspólnie z Wydawnictwem Agora stworzyły mądry projekt trylogii dla dzieci. Michał Rusinek

eprasa.pl 7deee0c938

napisał książkę o solidarności, Sylwia Chutnik o równości, ja piszę książkę o wolności.

Jesteś z Gdańska, mieszkałaś w Szczecinie, pamiętasz coś z czasów braku wolności?

– Byłam dzieckiem w latach 80., a połowa mojej rodziny pracowała w szczecińskim i gdańskim porcie podczas strajków, ale przytoczę inną historię. W 1970 r., w trakcie protestów robotniczych w Gdańsku, mama szła do krawcowej. Kula przeleciała tuż obok niej. Była wtedy ze mną w ciąży. Niedługo potem, już w Szczecinie, stała z moim tatą na balkonie. Gdyby w porę się nie uchylili, kula trafiłaby mamę. Brzmi to tak nieprawdopodobnie, że trudno byłoby to wymyślić. Kiedyś syn zapytał mnie: „Mamo, co jest dla ciebie najważniejsze w życiu?". Mieliśmy odpowiedzieć jednocześnie. On powiedział: „Miłość", a ja: „Wolność". Tak było zawsze, dla mnie wolność jest najważniejsza.

Śledziłaś „debatę narodową" o filmowych wizjach „Lalki" Prusa?

– Nie muszę śledzić, żeby się domyślić, że chodzi o to, o co zawsze, jedna jest progresywna, a druga zachowawcza. Zgadłam? No widzisz! Gdzieś złapałam, że pojawia się tam „Bluszcz", w którym debiutowała moja babcia.

Babcia publikowała w „Bluszczu"?

– Tak, babcia Józefa pisała pod pseudonimem. Niestety, zmarła młodo, mój tata miał wtedy sześć lat. Nie mogłam jej o nic zapytać. Zachowało się wspomnienie, że w „Bluszczu" ukazały się jej wiersze i tym żyła. Ustaliłam to wszystko po przeczytaniu książki Jacka Dehnela „Łabędzie", gdzie opisał historię wujka (brata mojej babci), który po jej śmierci wychował mojego tatę. Wujek był jednym z tych wielkich aferzystów PRL-owskich, prywaciarzy i bogaczy. W czasach PRL zakopywał worki srebra i złota w swoim ogrodzie, a tata mu w tym pomagał. Mówiłam: „Tato, nie wymyślaj", a po książce Jacka zadzwoniłam i tata mówi: „No, wreszcie chcesz posłuchać".

Kolejne dobrodziejstwo czytania książek.

– Dzięki książce Jacka odkryłam, że dwóch braci mojej babci zamordowano w Katyniu, a prababcia całe życie czekała na ich powrót. Mój wujek Wiktor – ten sam, który wychowywał tatę – został podczas wojny postrzelony przez gestapowców, bo brał udział w zasadzkach na Niemców w Warszawie. Rodzina taty w Białymstoku dokarmiała pół partyzantki, a babcia Józefa i jej rodzeństwo działali w ruchu oporu. Puszczali głośno płyty na gramofonie, żeby odwrócić uwagę od piwnicy, w której drukowali bibułę. Nie wiedziałam, że miałam taką rodzinę. Ludzi odważnych, gotowych na wszystko.

Odzyskałaś rodzinę, nieznaną ci tożsamość?

– Tak i zawsze będę za to wdzięczna Jackowi. Nie widząc, o czym on pisze, cały czas jakoś mu w tym bezwiednie towarzyszyłam. Czekałam na tę książkę, nie mając pojęcia, o czym będzie. Jacek pisał „Łabędzie", gdy mieszkał w Berlinie. I wreszcie zaczęłam słuchać taty. Od dawna opowiadał, że pochodzi z rodziny szlacheckiej. Przewracałam oczami i myślałam: akurat… Pokazywał jakieś ruiny i powtarzał: „Ten zamek należał do naszej rodziny, a ten kościół wybudowali nasi krewni". A ja wtedy: „Tato, proszę cię, zejdź na ziemię, co ty opowiadasz, nie da się tego słuchać". Ale raz mnie tknęło. Wchodzę ci ja do Sukiennic (pojechaliśmy na wycieczkę z Niemiec) i koleżanki mówią: „Magda, tam jest jakaś Lasocka!" (z domu jestem Lasocka). Rzeczywiście, w Muzeum Narodowym w Sukiennicach wisi portret Izabeli Lasockiej. Pomyślałam, że tata nie kłamał. Nie wychowałam się z moim tatą, tylko z mamą i ojczymem, i zawsze podchodziłam do rodzinnych historii taty z dystansem. Powtarzam Jackowi, że dzięki niemu zyskałam coś bardzo ważnego, drugą nogę, bo całe życie skakałam na jednej, tej od strony mamy. Czytając tę książkę, poczułam, że odzyskałam swoją drugą połowę. Siebie całą.

Nie chcę, żeby moja swoboda jako kobiety zależała od tego, ile ktoś zechce tolerować.

Czego ci życzyć w tym gorącym dla ciebie czasie, a szerzej: dla wszystkich niespokojnym?

– Pokoju!

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl 7deee0c938

NA EKRANACH



Przemytnicy,
reż. Padraic McKinley, prod. Kanada/Niemcy/USA, w kinach od 20 listopada

Ethan Hawke i Russell Crowe wracają na duży ekran w filmie, który jest połączeniem dramatu z nieco uwspółcześnioną wersją westernu. Mamy rok 1933, Samuel Murphy (Hawke), samotny, kochający swoją córkę ojciec, przebywa w obozie pracy. Znalazł się tam przez nieszczęśliwy zbieg różnych okoliczności – aktualnie jest, jak jest, trzeba sobie jakoś radzić. Ale wiadomo, Samuel wolałby czym prędzej opuścić to miejsce, które Bóg już dawno opuścił, i wreszcie wywalczyć prawo do opieki nad córką. Dlatego kiedy nadzorca Clancy (Crowe) proponuje mu udział w niebezpiecznej operacji przemytu złota w zamian za odzyskanie wolności, Murphy się nie waha. Przed nim przeprawa, która w każdej chwili może się skończyć tragicznie. Historia trzyma w napięciu do ostatka. Niby nic oryginalnego, ale to wciąż porządnie zrealizowane i godne uwagi widza kino.

Jan Tracz

KURTYNA W GÓRĘ

Nic nowego o matce i córce

Matka i córka – temat rzeka, literatura żywi się nim od wieków. Zawsze można znaleźć własny punkt obserwacyjny, dostrzec coś szczególnego. Czy i tutaj tak jest? Nie mam pewności, choć twórczynie nie ustają w zaskakiwaniu pomysłowością. Już samo przytroczenie bohaterek do foteli na kółkach odróżnia ten spektakl od innych, choć to zabieg zewnętrzny i powierzchowny, tak jak kostiumy aktorek i obicia foteli uszyte z tego samego materiału.

To fotelowe spotkanie, pełne pretensji i niezrozumienia, obcości i tęsknoty, świadczące o tym, że bohaterki kochają się i nienawidzą, może jednak zainteresować widzów dość umiarkowanie. Debiut aktorki



„Krótki utwór o matce i córce", tekst i reżyseria Helena Urbańska, Mała Scena Teatru Dramatycznego w Warszawie, premiera 17 września 2026

Heleny Urbańskiej w roli scenarzystki i reżyserki nie przynosi wielkich odkryć, mimo otwartości w poruszaniu spraw intymnych (prowokacyjna scena przymiarek do „teatralnej" masturbacji) budzi znużenie. A jednak można w nim znaleźć chwile satysfakcjonujące, a to za sprawą aktorskiej osobowości Anity Sokołowskiej w roli Matki.

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI



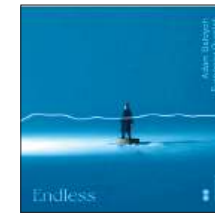
Łukasz Krukowski
Kulturysta
Cyranka, Warszawa 2026

Łukasz Krukowski bierze na warsztat coś, co na pierwszy rzut oka wydaje się niemal banalne – obsesję na punkcie własnego ciała – i doprowadza to do granicy absurdu. Młody zawodnik kulturystyki podporządkowuje wszystko jednemu celowi: ma być większy, bardziej imponujący, bardziej ekstremalny. Ciało przestaje być narzędziem życia, a staje się projektem, który trzeba nieustannie ulepszać. Problem w tym, że w pewnym momencie projekt zaczyna pożerać człowieka. „Kulturysta" to w końcu powieść o bardzo współczesnym lęku: skoro zawsze możemy być więksi, silniejsi, piękniejsi i bardziej widzialni, to kiedy właściwie wolno nam przestać? I co się stanie, jeśli odpowiedź brzmi: „Nigdy"?

Rafał Pikuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Adam Bałdych European Quartet
Endless
Imaginary Music



Pora roku sprzyja refleksyjnemu zasłuchaniu, a doprawdy trudno o lepszą materię. Nowy krążek fenomenalnego skrzypka ukazał się u schyłku lata, gdy w sposób naturalny zaczynamy się wyciszać i może właśnie zwracać ku duchowości, transcendencji. Adam Bałdych zaś, w którego stylu dopełniają się pięknie improwizacja i klasyka, podkreśla, że „nie chciał nagrywać płyty, która imponuje szybkością czy wirtuozerią. Chciał nagrać muzykę, która zatrzymuje czas". Jego kwartet współtworzą Włoch Daniele di Bonaventura, bandoneonista, Francuz Michel Benita, kontrabasista, i pianista Jacob Karlzon ze Szwecji, który z Bałdychem grywa już od 2012 r., od pracy nad „Imaginary Room" dla wytwórni ACT, pojawiając się też na koncertach w duecie. I to dialog skrzypce-fortepian, subtelny, harmonijny, wysuwa się tu na pierwszy plan. Trochę może szkoda, że nie dość często wyraźnie wybrzmiewają pozostałe instrumenty, bo wspólnie tworzą przestrzeń zaiste niezwykłą.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 7deee0c938

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Bunt

Adam Michnik rozmawia z Jarosławem Kurskim, powstała książka „Adam, syn Ozjasza”. Gdy rozmawiali o polskim antysemityzmie i wykluczaniu z polskiej kultury Żydów, Adam mówił: „No ale ja nie mogę usuwać z polskiej kultury Tomasza Jastruna, Aleksandra Smolara, Juliana Tuwima, Aleksandra Wata, Leopolda Ungera, Antoniego Słonimskiego, Jana Kotta, Zuzanny Ginczanki, Adama Ważyka (…)”.

Mam mieszane uczucia. Jestem w znakomitym towarzystwie, problem w tym, że nie czuję się Żydem. Za Żyda uważają mnie jednak nie tylko antysemici. Moja matka była „czysta rasowo”, ojciec miał żydowskie korzenie, ale był polskim pisarzem, polskim do szpiku kości, cały zrobiony z polskiej literatury. Dostawał szału, gdy mu wypominano „złe” pochodzenie. To był dla niego przez całe życie wielki dramat. A ja dostałem katolickie wychowanie, biegałem z babcią do kościoła, chodziłem na religię, byłem nawet bierzmowany. Jaki ja Żyd? Dla rasowych Żydów nim nie jestem, tu konieczna jest żydowska matka. Dla antysemitów i dla Michnika jestem. Nie mogę mieć jednak żalu. Ważne są intencje, a on miał dobre. Przyjął tylko perspektywę antysemitów, bo o antysemityzmie rozmawiali.

Ale nieantysemici, a nawet filosemici, różnicują podobnie, tylko bez nienawiści, a wręcz z sympatią. Jednak uparcie wyszukują, kto Żydem jest, a kto nie, nie pytając zainteresowanego, co on sam czuje. Ojciec mojej mamy, bohater legionów i wojny polsko-rosyjskiej, odznaczony Virtuti Militari, zginął śmiercią bohatera w obronie Warszawy we wrześniu 1939 r. Był Austriakiem. Czy komuś przyjdzie do głowy wypominać mi austriackie korzenie? Czy choćby ich szukać? To żydowskie mają jakąś niezwykłą, magiczną moc, godną tropienia przez wrogów i przyjaciół. A to, że Chrystus i jego matka byli Żydami, że Biblia jest do korzeni żydowska, nie peszy licznych katolików antysemitów. Wypierają problem. Dlatego lud uważa, że Matka Boska była Polką, i nie ma tu wątpliwości. Pisałem już o tym kilkakrotnie i żadnych wyrazów oburzenia, żadnych sprostowań, co mnie nawet trochę niepokoi.

TV Republika już nie publikuje mojego zdjęcia, jak niedawno, z napisem, że nawołuję do mordu ludzi prawicy, teraz mogliby to powtórzyć, tylko proszę o tamto ładne zdjęcie, z paskiem: Jastrun bezczelnie kłamie, że Chrystus i jego matka byli Żydami.

Podobnie prawica mnie kiedyś piętnowała, jak napisałem, że Zbigniew Herbert, przyjaciel moich rodziców, a potem mój bliski znajomy (byliśmy na ty), chorował na chorobę dwubiegunową (podobnie jak moja mama). Tłumaczyłem tym jego czasami dziwne zachowania, choćby paranoiczne ataki na Miłosza. Wkrótce potem Kasia, żona Zbyszka, sama w wywiadzie opowiedziała o chorobie męża. Nie szkodzi, jeśli to prawda, to tym gorzej dla prawdy. Na nią też prawica naskoczyła: jak ona śmie!

Jest właśnie rocznica urodzin Herberta, dobrze pamiętam tę datę, 29 października, w tym samym dniu i miesiącu urodzili się mój ojciec i moja pierwsza żona. Rok 1973 na Iwickiej, z tej okazji małe przyjęcie z udziałem trójki solenizantów. Zbyszek jak zwykle nadużył alkoholu i łapał pod stołem moją narzeczoną za kolano. Żona poety Kasia szeptała do niego: nie rób tego, on (czyli ja) jest przerażony. Byłem raczej rozbawiony.

•

Manifestacje głównie młodych we Francji, na mniejszą skalę w Hiszpanii, we Włoszech. Francja ma ugruntowaną tradycję rewolty, ale też tłumienia zamieszek, dlatego policja tam taka brutalna. Zaczęło się od protestów uczniów,

Chwieje się demokracja i rozpadają dawne reguły społecznej gry.

bo edukacja niedoinwestowana. Można by ich za to nawet pochwalić, ale dołączyli lewacy i awanturnicy. Zaczęło się plądrowanie sklepów, spalono nawet zabytkowy ratusz w Limoges. Dlaczego? Bo stał i był ładny. Jaka idea? Żadna. Żadnego programu, za to rozkosz niszczenia.

Tim Stanley pisze: „To, co łączy białą młodzież i migrantów biorących udział w zamieszkach, to »nic«: nicość jako system wartości. Nauczono ich, że historia Europy to kłamstwa i wyzysk, więc nie ma podstawy dla lojalności poza wspólną radością z popełniania przestępstw”. Dalej pisze: „Parafrazując Édith Piaf, francuska młodzież niczego nie żałuje, ponieważ niczego nie kocha, ale winę za to ponoszą ich rodzice i nauczyciele. Wyobcowanie młodzieży jest werdyktem historii wydanym na starsze pokolenie”.

Pisałem niedawno, że forma współczesnego wychowania dzieci tworzy narcystyczne potwory. Jeśli ich narcyzm napotyka opór ze strony naszej cywilizacji, uważają, że trzeba ją zniszczyć. Ale jest też inny powód, gwałtowna rewolucja technologiczna, więc chwieje się demokracja i rozpadają dawne reguły społecznej gry. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 7deee0c938


Złota Piłka dla Harry'ego Kane'a. London Palladium, 26 października 2026 r.

Obywatel Kane

Złota Piłka wróciła do ojczyzny futbolu

Wojciech Kuczok

Już 60 lat Anglicy czekają na powtórzenie swojego największego sukcesu, czyli zdobycie tytułu mistrzów świata. W tym roku znów było blisko, marzenia o medalu z najcenniejszego kruszcu odebrał im jednak największy geniusz futbolu XX w. ze swoją gromadką – Leo Messi poprowadził Argentynę do triumfu w półfinale, dwakroć asystując przy golach.

Kapitan Anglików Harry Kane znowu musiał obejść się smakiem, chociaż trafił na mundialu sześć razy – przed ośmioma laty tyle wystarczyło mu do zdobycia tytułu króla strzelców, tym razem jednak meczów rozegrano więcej niż zwykle, do tego dwaj panowie M., Messi i Mbappé, odjechali rywalom na kosmiczny poziom strzelecki. Przygnębiony Kane w zabawie o brązowy medal nie wystąpił, choć pewnie w tym festynie bramkowym mógłby wyraźnie poprawić statystyki.

Przyszedł jednak dzień pocieszenia – jubileuszowa gala Złotej Piłki po raz pierwszy odbyła się w Londynie i choć długo wydawało się, że wszystkie nagrody rozdzielą między sobą trenerzy, piłkarki i piłkarze hiszpańscy, najważniejsze trofeum wieczoru wreszcie znowu dostał Anglik – ćwierć wieku po Michaelu Owenie. I nie jest to żadną miarą wybór kontrowersyjny – wygrał bowiem zawodnik kompletny, diablo skuteczny jako napastnik i artysta najwyższej próby w roli asystenta, kapitan reprezentacji narodowej i lider europejskiej potęgi klubowej.

W Bundeslidze od trzech lat nie schodzi z tronu najlepszego snajpera, rokrocznie mierząc w rekord ustanowiony przez Roberta Lewandowskiego, czyli 41 goli w rozgrywkach. Aczkolwiek im bardziej próbuje, tym wyraźniej widać, że to, co wykonał Robert w sezonie 2020/2021, i tak opuszczając kilka spotkań z powodu kontuzji, jest wyczynem nie z tej ziemi i jako rekord wszech czasów pewnie nas wszystkich przeżyje.

Także w Lidze Mistrzów Kane dotarł tylko do półfinału, za to wziął udział w bodaj najlepszym meczu piłkarskim w dziejach, kiedy pod koniec kwietnia Bayern okazał się gorszy od PSG o jedną bramkę, przegrywając w Paryżu 4:5. Tę wiosenną kanonadę Anglik sam zresztą rozpoczął, trafiając z 11 m.

The Hurricane w sezonie, za który zgarnął tytuł najlepszego piłkarza globu, trafiał we wszystkich rozgrywkach 73 razy, co samo w sobie jest wyczynem fenomenalnym, biorąc pod uwagę, że z typowej dziewiątki, na której dorobek pracują koledzy z zespołu, stał się także rozgrywającym, szukającym piłki na całej długości boiska, niestroniącym od wspierania defensywy i imponującym liczbą precyzyjnych, długich podań.

Przegląd pola i instynkt strzelecki, jak również przejmowanie odpowiedzialności za drużynę, podrywanie jej w trudnych chwilach, czynią go najbardziej obecnie pożądanym graczem na świecie – tyle że Kane jest niesprzedawalny, w Bayernie pracuje na swój pomnik i wciąż ma nadzieję choć raz wznieść najcenniejszy klubowy puchar. Na szczęście dla niego odstąpiono w tym roku od niepisanej zasady, że laureat musi mieć na koncie mistrzostwo świata, kontynentu lub wygraną w Champions League. Kane bowiem nigdy nie miał okazji wznosić żadnego z tych trofeów. To nie jest typ wędrowniczka, który chyżo podąża za kasą i splendorami – od kiedy zaczął regularnie grać w seniorskiej piłce, zmienił klub tylko raz, przechodząc z Tottenhamu do Monachium.

W Londynie występował przez dekadę, stając się klubową legendą,

eprasa.pl 7deee0c938

najlepszym strzelcem w historii Spurs (280 goli!) i wiceliderem tabeli snajperów Premier League (tylko Alan Shearer trafiał częściej). Do Bayernu przeszedł dopiero jako 30-latek, aby wypełnić pustkę czy raczej lej po bombie, jakim ział napad Bawarczyków po odejściu Lewego. Pierwszym wyborem był Sadio Mané, ale Senegalczyk nie spełnił pokładanych w nim nadziei i już po roku wyemigrował na Półwysep Arabski. Kane od razu wziął się do roboty i już w debiutanckim sezonie zdobył 36 ligowych trafień.

Tej jesieni nie spuszcza z tonu, trafia zarówno dla klubu, jak i dla kadry, o której piekielnej sile przekonali się niedawno Chorwaci, zaznając najwyższej w dziejach porażki – 0:7 w meczu Ligi Narodów rozegranym w Rijece. W ostatnim przed galą meczu Ligi Mistrzów, który równie dobrze mógł być finałem tych rozgrywek (nic straconego, obie drużyny mogą się w nim spotkać w maju), Bayern zremisował z Arsenalem dzięki Kane'owi, który zaliczył genialną asystę i wytrzymał napięcie, wykorzystując skutecznie rzut karny.

Dojrzałość piłkarską Anglika widać ostatnio właśnie w perfekcyjnych długich podaniach, zagrywanych na duże odległości idealnie w tempo – jeśli obrona myśli, że może sobie odetchnąć, bo Hurricane się cofnął do drugiej linii, jest w błędzie – właśnie mierzone passy są jego zabójczą bronią.

Losy Złotej Piłki ważyły się do ostatniej chwili, niewiele głosów mniej otrzymał bowiem Kylian Mbappé, który w kolejnym sezonie potwierdza swoje walory strzeleckie – w Ameryce wyśrubował rekord wszech mundiali do 22 goli, a i w Realu wciąż gra pierwsze skrzypce, chociaż po powrocie do Madrytu José Mourinha wcale tak być nie musiało – ego obu panów ledwo się mieści w szatni. Języczkiem u wagi mogło się okazać El Clásico, w którym Galácticos niespodziewanie zgasili rozpędzoną Barcelonę i przyczynili się do jej drugiej z rzędu porażki w sezonie (pierwszą Blaugrana poniosła kilka dni wcześniej w starciu z kapitalnym PSG, mierzącym w trzeci kolejny triumf w Europie). Mbappé zaliczył w Gran Derbi dublet, a zwłaszcza drugi gol, wieńczący wspaniałą akcję Bellinghama i Camavingi, był dla Barcy dobijający.

Stolica Katalonii nie mogła jednak się czuć pokrzywdzona podczas londyńskiej gali – Lamine Yamal znalazł się na najniższym stopniu podium w plebiscycie głównym, za to po raz trzeci z rzędu odebrał laur dla największego młodego talentu w światowej piłce. Yamal zmężniał, wysypał mu się muszkieterski wąsik, na uroczystości pojawił się w marynarce z olbrzymią broszką w kształcie różowego kwiatu – brawa dla odważnej stylistki! – i wyglądało na to, że serdecznie ma dość nagród za bycie zdolnym juniorem. Na nagrodę główną niechybnie sobie zapracuje w najbliższej przyszłości.

Walka o Złotą Piłkę dla kobiety rozstrzygnęła się między dwiema fantastycznymi zawodniczkami Barcelony – nagrodzoną po raz trzeci Alexią Putellas i Ewą Pajor. Polka powtórzyła więc wyczyn Roberta Lewandowskiego, który przed pięcioma laty przegrał tylko z Messim. FC Barcelona Femení rozbiła bank nagród, bo została uznana za najlepszą drużynę, Pere Romeu jest najlepszym trenerem w światowym futbolu kobiecym, Cata Coll najlepszą bramkarką, a Vicky López najlepszą młodą piłkarką.

W seniorskiej piłce panów doceniono PSG za obronienie tytułu zwycięzców Ligi Mistrzów, na trenera roku wybrano zaś Luisa de la Fuente, który poprowadził Hiszpanów do triumfu na mundialu.

My z każdą edycją plebiscytu redakcji „France Football" będziemy powracać do nieszczęsnego sezonu covidowego, gdy świat wracał do gry przy pustych stadionach i właśnie wtedy życiową formą błyszczał Robert Lewandowski. Galę jednak odwołano, tłumacząc, że sezon był kaleki, nie wszystkie kraje decydowały o wznowieniu rozgrywek w tym samym czasie, przeto nie było równych szans dla ocenianych zawodników.

Co do tego, że Lewy był w owym sezonie 2019/2020 najlepszym piłkarzem świata, nikt nie ma wątpliwości, pozostanie jednak najbardziej pechowym spośród zawodników, którzy na trofeum bezwzględnie zasłużyli, lecz podnieść go nie mieli okazji. Po raz dziewiąty i ostatni w karierze Polak załapał się do trzydziestki nominowanych przed rokiem. Był w tej dziedzinie naszym rekordzistą, poza nim nominacjami docenieni zostali jeszcze Zbigniew Boniek – siedmiokrotnie, Kazimierz Deyna i Włodzimierz Lubański – czterokrotnie, Grzegorz Lato – trzykrotnie, Jan Tomaszewski dwa razy i po razie Zygfryd Szołtysik, Robert Gadocha, Jerzy Gorgoń, Włodzimierz Smolarek, Józef Młynarczyk oraz Emmanuel Olisadebe. Oprócz Lewego na podium stanęli jednak jeszcze tylko Deyna i Boniek. Strach pomyśleć, ile będziemy musieli poczekać na kolejnego Polaka w tak zacnym gronie. ■

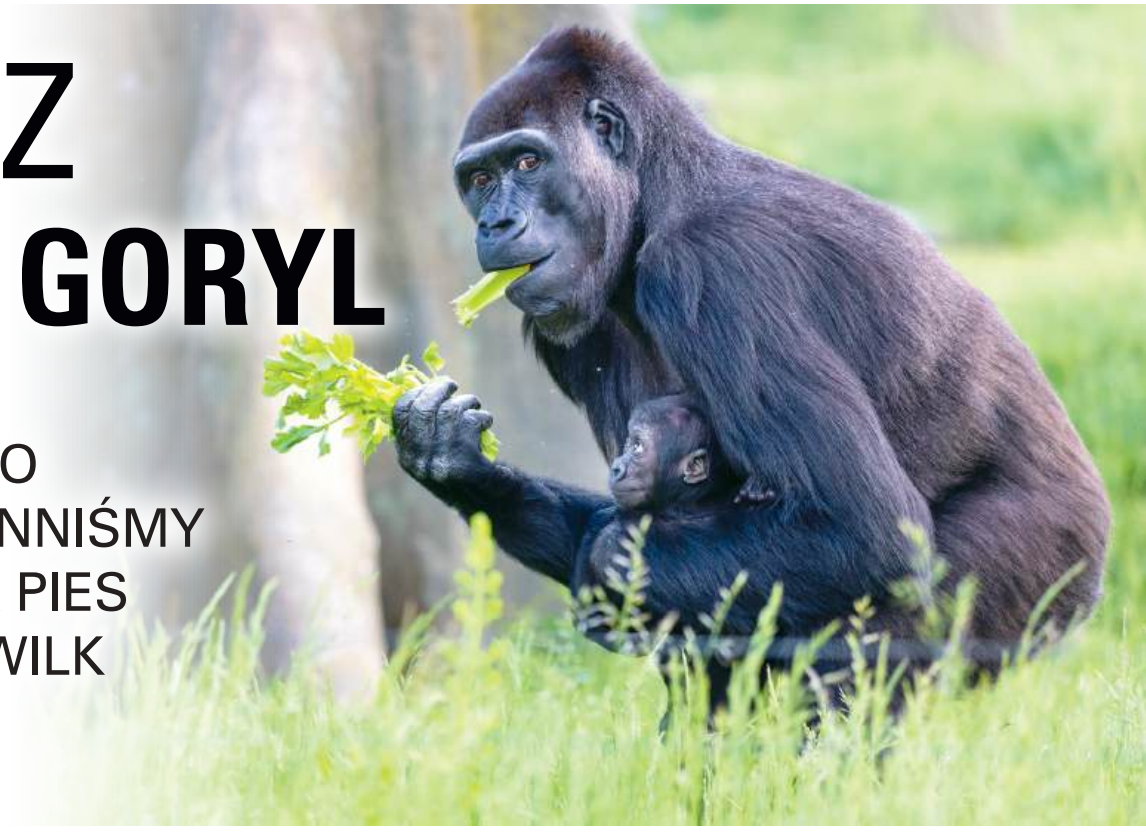
Złotą Piłkę wreszcie znowu dostał Anglik – diablo skuteczny jako napastnik, kapitan reprezentacji narodowej i lider europejskiej potęgi klubowej.

Walka o Złotą Piłkę dla kobiety rozstrzygnęła się między fantastycznymi zawodniczkami Barcelony: nagrodzoną po raz trzeci Alexią Putellas i Ewą Pajor.

FOT. KIN CHEUNG/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl 7deee0c938

JEDZ JAK GORYL



DLACZEGO NIE POWINNIŚMY JEŚĆ JAK PIES ANI JAK WILK

Dorota Sumińska

Jedzenie to bardzo ważny element życia, a śmierć głodowa oznacza wielkie cierpienie. Tylko czy my umiemy jeść? Tak, gryźć umiemy, gdy wyrosną nam zęby, a połykać potrafimy jeszcze przed narodzinami – każdy płód opił się co nieco płynu owodniowego. Mnie chodzi jednak o coś zupełnie innego, ale zanim do tego przejdę, chciałabym zwrócić uwagę na to, co zrobiliśmy zwierzętom, udomawiając je.

•

Najpierw spróbujmy odpowiedzieć na pytanie: dlaczego nie powinniśmy jeść jak pies ani jak wilk? Większość psów ma wręcz nieograniczony apetyt. Nie znają umiaru i bardzo łatwo je utuczyć. Chyba nigdy nie miałam psa niejadka, a psów na pewno przewinęło się przez mój dom kilkadziesiąt. Ktoś może powiedzieć, że wynika to z ich wcześniejszych losów. Prawie wszystkie zostały zabrane z niedoli i można je podejrzewać o jedzenie „na zapas", bo w ich głowach zakodowało się, że może zabraknąć pożywienia. Lecz takie zachowanie psów jest też wynikiem spuścizny po wilczych przodkach.

Wilki to średniej wielkości społeczne drapieżniki. Zdobywanie pokarmu odbywa się u nich zwykle grupowo podczas znakomicie zorganizowanych polowań na „grubego zwierza". Jeśli polowanie się uda, wszyscy najedzą się do syta. A że udaje się raz na kilka prób, sycące posiłki są dostępne od czasu do czasu. Pomiędzy nimi pozostają małe przekąski zdobywane indywidualnie. W zależności od pory roku są to słodkie leśne owoce, korzonki i młode pędy traw, owady, gryzonie i jeśli się danemu osobnikowi poszczęści – „resztki z czyjegoś stołu".

Gdy grupowe polowanie zakończy się sukcesem, wilki zasiadają do uczty i… zjadają wszystko, co jest na stole i co da się zgryźć wilczymi zębami. Dodatkowo robią to w pośpiechu, bo przecież chętnych na ich łup zbiera się wokół cała rzesza. Nie można wykluczyć, że pojawi się niedźwiedź albo nawet dwa. Po takiej uczcie wszystkie wilki wyglądają, jakby były w zaawansowanej ciąży.

Bardzo dużo psów zachowało ten wilczy nawyk, by zjeść wszystko, co mają w misce, na jeden raz, choć w ich obecnej sytuacji nie ma to żadnego sensu. Oczywiście mam na myśli takie jedzenie, które im naprawdę smakuje. Wilki same ustalają swoje menu, psy są skazane na opiekuna.

Dużo psów zachowało wilczy nawyk, by zjeść wszystko, co mają w misce, na jeden raz.

Moje psy jedzą raz dziennie, rano. Przygotowane poprzedniego dnia miski stoją w lodówce, bo poranny rwetes związany z „udanym polowaniem" uniemożliwiłby spokojne napełnianie psiej zastawy. Gdy tylko wstanie świt, psia drużyna robi się czujna. Nie mogę wówczas kręcić się w łóżku, bo najmniejszy sygnał zwiastujący moje przebudzenie kończy się piekielną arią wycia i szczekania.

eprasa.pl 7deee0c938

Nie śpieszmy się jak wilki, tylko smakujmy każdy kęs jak goryl.

„Wstawaj! Daj jeść! Natychmiast!”, słyszę i wstaję. Najgorzej jest w czerwcu, bo słonko świeci już od czwartej rano. Kocham słońce, ale w tej sytuacji preferuję pochmurne poranki.

Wiem, że psy zjadłyby dziesięć razy więcej, niż dostają, a dostają tyle, ile im potrzeba, a nawet ciut więcej. Z powodu tego „ciut” wszystkie mają „cybulicką figurę”, jak nazwała ich krągłości moja przyjaciółka. Gdyby musiały się napracować, zdobywając pokarm, „ciut” nie powodowałoby zaokrąglonej sylwetki. Nie muszą, lecz ich mózgi mówią: „Jedz jak najwięcej, bo nie wiadomo, kiedy następne polowanie się uda”. I nie ma znaczenia, że udaje się codziennie. Wilcza głowa dochodzi do głosu nawet u jamnika, który wilka raczej w niczym nie przypomina.

Miałam kilka takich psów, które mimo codziennej słusznej porcji nie unikały „polowania” i kradły. Mistrzynią była w tym Czikita. Gdy widziała szansę na zdobycie łupu, uciekała się do taktyk zdecydowanie poniżej pasa. Siedzimy przy stole pełnym jadła i nagle Czikita wybiega na taras z jazgotem: „Ojejku! Zabili go! Ratunku!”. Za nią pędzą wszystkie psy, a i ludzie zrywają się z krzeseł, żeby zobaczyć, co się stało – ale Cziki już tam nie ma. Jest na stole i wciąga starannie przygotowany poczęstunek.

•

Ludzie, którzy jedzą jak wilki czy jak moje psy, nie umieją jeść po ludzku. A jak to jest po ludzku? Tylko wtedy, gdy jest się głodnym, raczej częściej niż rzadziej i po trochu. Nasze przewody pokarmowe zasadniczo różnią się od wilczych. Nie jesteśmy drapieżnikami, tylko roślinożercami i główne procesy trawienne odbywają się u nas w jelitach, a nie jak u wilka – w żołądku. Oczywiście jego jelita też odgrywają ważną rolę w trawieniu, a jeszcze bardziej we wchłanianiu. U nas na oba te procesy skazane są przede wszystkim jelita. Nie śpieszmy się jak wilki, tylko smakujmy każdy kęs jak goryl.

Gdy byliśmy zbieraczami i jedynym naszym narzędziem, którego nie miały inne gatunki, był ogień, musieliśmy się nieźle natrudzić, by wrzucić coś na ząb. Zresztą dotyczy to też czasów sprzed ujarzmienia ognia. Bywało, że na obiad musiała wystarczyć garść nasion czy orzechów. Po owoc trzeba się było wspiąć na drzewo lub ścigać z innymi amatorami słodkości. Że nie wspomnę o tym, czym okupiony był jeden plaster miodu. Żyliśmy w rodzinnych grupach liczących do kilkudziesięciu osób. Niejadalne przed obróbką znaleziska należało najpierw uzdatnić do konsumpcji, a potem sprawiedliwie podzielić na porcje dla wszystkich.

Wilki same ustalają swoje menu, psy są skazane na opiekuna.

Dziś idziemy do supermarketu i kupujemy czego dusza zapragnie, potem wsiadamy do samochodu, a w domu albo wrzucamy gotowe produkty do mikrofalówki, albo na patelnię czy do garnka. Czy to można nazwać wysiłkiem, za który należy się nagroda w postaci posiłku? (…)

•

Z jakiego zwierzęcia moglibyśmy wziąć przykład? Myślę, że warto zainspirować się zwyczajami goryla. Zarówno goryl nizinny, jak i górski to weganie. Są naszymi bliskimi kuzynami, lecz nie mają tak wojowniczej i okrutnej natury jak człowiek. Górski żyje w znacznie trudniejszych warunkach niż nizinny, ale jeden i drugi poświęcają posiłkom bardzo dużo uwagi.

W rodzinie podczas jedzenia panuje spokój i wszyscy są zrelaksowani. Kilka lat temu wraz z moim nieżyjącym już mężem Tomkiem odwiedziliśmy Gabon. Obraliśmy taki cel podróży właśnie ze względu na ten dumny, piękny i niestety ginący już gatunek. Nie zawiedliśmy się. Mieliśmy zaszczyt poznać kilkusetosobową rodzinę goryli nizinnych. Do spotkania doszło w czasie, gdy zwierzęta odbywały sjestę po posiłku. Pora dnia wskazywała na poobiednią drzemkę. Nie chcieliśmy jej zakłócać, więc postanowiliśmy cichutko przycupnąć na grubej gałęzi, która niczym ławka wystawała z pnia ogromnego drzewa mangowego.

Dwa metry przed naszymi oczami leżał zwalony gruby pień, na którym kołysała się stopa srebrnogrzbietego.



U wilków zdobywanie pokarmu odbywa się zwykle grupowo.

eprasa.pl 7deee0c938



Posiłek makaka.

To był pan domu i ojciec rodziny, goryl o gabarytach Herkulesa. Leżał na plecach za pniem i opierał jedną nogę o drugą, zgiętą w kolanie. Nasza gałąź musiała być spróchniała, bo po synchronicznym siadzie trzech pup (trzecia należała do przewodnika) pękła ze złowrogim trzaskiem. Srebrnogrzbiety uniósł się niespiesznie i spojrzał ze zdziwieniem w trzy zamaskowane twarze.

Musieliśmy nosić maseczki, by nie sprzedać gorylom cywilizacyjnych zarazków. Naukowcy od lat zajmujący się badaniem tej rodziny również nosili maseczki, więc goryl uznał nas za znajomków i po zlustrowaniu wyrazu naszych oczu wrócił do sjesty. Panie gorylowe przyglądały się tylko odrobinę dłużej. Jedynie dzieci kręcące się na gałęziach mangowca dojadały deserek i patrzyły na nas z ciekawością.

Goryle jedzą wyłącznie pokarm roślinny. Lubią młode pędy i liście wybranych roślin, a szczególnie dojrzałe owoce. W gabońskim lesie jest w bród roślin, ale nie wszystkie okazy są jadalne i nie wszystkie dojrzewają w tym samym czasie. By znaleźć nakryty stół, trzeba się nachodzić i nieźle natrudzić podczas zbierania smakołyków. Śniadanie jest zazwyczaj skromne i składa się z jadalnych roślin, głównie ich liści, rosnących w otoczeniu miejsca noclegowego.

Potem rodzina, opierając się na wspomnieniach starszyzny, rusza zgodnie w kierunku, gdzie powinny dojrzewać owoce, kwitnąć kwiaty ze słodkim nektarem lub gdzie zapewne zielenią się młode listki. Niejednokrotnie trzeba pokonać dużą odległość. Po przybyciu na miejsce nikt nie rzuca się w wir obżarstwa. Spokojnie, z dużą godnością członkowie stada napełniają brzuchy i wcale nie zjadają wszystkiego za jednym razem.

Chciałabym, żeby ludzie brali z nich przykład, zwłaszcza ci, którzy sięgają po fast foody. Ten sposób odżywiania przypomina wilcze napychanie się i jak od dawna wiemy, nie przynosi człowiekowi nic dobrego.

•

Inny pozytywny przykład, który chciałabym przywołać jako obserwację z pierwszej ręki, to makaki rozczochrane, żyjące na granicy tajsko-malezyjskiej. Podczas naszej wyprawy byliśmy jedynymi białymi twarzami w tej okolicy. Było cudownie. Nad rozlewiskiem dość małej delty wspaniałej rzeki Chanthaburi stała niewielka świątynka o zdecydowanie ekumenicznym charakterze. Znaleźli tam schronienie i Budda, i Wisznu oraz Parwati. Każdy z budyneczków był dość niedbale okratowany, bo na tym samym terenie stacjonował szwadron makaków rozczochranych.

Przyjeżdżaliśmy tam codziennie wypożyczonym motorem, by obserwować tę dużą rodzinę. Było bardzo gorąco i makaki spędzały czas na leniuchowaniu. Niespiesznie częstowały się tym, co wierni zostawili w śmietnikach, i drzemały. Postanowiliśmy zrobić im niespodziankę. W pobliskim sklepie kupiliśmy po kilka kilogramów różnych owoców. Banany, mango, pomarańcze i liczi. Wszystko ukryliśmy w dużym plecaku, by nie wzbudzić niepokoju wśród małp.

Gdy towarzystwo przysypiało, ukradkiem rozłożyliśmy owoce w trawie na świątynnym placyku. Było tego naprawdę dużo. Pierwszy ruszył na zwiad lider. Siedzieliśmy tuż obok na murku i pierwszy raz zobaczyliśmy, jak wygląda kompletnie zaskoczony makak. Stanął jak wryty i ze zdziwienia nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą. Inne osobniki, zaniepokojone jego zachowaniem, musiały sprawdzić, co się za tym kryje. Na chwilę wszystkie zamurowało, po czym zaczęły zbierać dary z radością, jakiej życzę każdemu. Tylko dzieciaki wariowały, wyrywając sobie banany.

Goryle jedzą wyłącznie pokarm roślinny. Lubią młode pędy i liście wybranych roślin, a szczególnie dojrzałe owoce.



Fragment książki Doroty Sumińskiej *Bądź jak wilk, a staniesz się człowiekiem. Czego możemy się nauczyć od zwierząt?*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026

FOT. SHUTTERSTOCK (3)

eprasa.pl 7deee0c938



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Czyny haniebne

Wyzywają się od targowiczan, jakby same prymusy historyczne szły w tę politykę, a nawet mnie jakoś dotąd umykało, że Jan Henryk Dąbrowski, co to mu maszerować w refrenie hymnu każą, też podpisał akces do konfederacji targowickiej, skądinąd z pobudek czysto merkantylnych (narobiło mu się bowiem nie tylko czwórki dziatek, ale i długów).

Że się wyzywają od socjalistów, zarazem mając mokre sny o zamachu stanu w stylu ukochanego Ziuka; że się nie sumitują z antysemityzmu, zarazem modląc się do wizerunków Żydówki; że spoglądając na zgniłą Gejropę, z automatu śpiewają „Rotę", której słowa napisała lesbijka – to już wyparcia powszechnie znane. Prawica nasza cierpi na częściową ślepotę – nie widzi sprzeczności. Ale z tym Dąbrowskim to się ubawiłem. Aż dziw bierze, że w celu odparcia napastliwych oskarżeń o podpisanie przez Wałęsę ubeckiej lojalki nie używa się kontrargumentu: „A Dąbrowski do targowicy przystąpił". W jednym i drugim przypadku tzw. życiowy całokształt rozgrzesza błędy młodości, obaj panowie w historii Polski zapisali się bowiem złotemi inicjały i stali symbolem walki o niepodległość i suwerenność.

Kiedy postacie o aparycji intelektualnej i powierzchowności Karola Nawrockiego, Janusza Kowalskiego czy Łukasza Mejzy odwołują się do pamięci narodowej, to żałuję, że historia nie jest traktowana jak nauka ścisła – tromtadracki bełkot jest bowiem dozwolony bez ograniczeń, a przecież powierzchowna, by nie rzec naskórkowa, znajomość historii Polski wśród polityków jest równie szkodliwa, jak mogłaby być niedokładna wiedza o prawach fizyki wśród pracowników Narodowego Centrum Badań Jądrowych.

Mentalność plemienna w wersji kibolskiej, którą reprezentuje lwia część prawej strony naszej sceny politycznej, każe wysługiwać się historią wyłącznie w systemie zero-jedynkowym – po jednej stronie zdrajcy i wrogowie ojczyzny, po drugiej ojczyźniane bohatery i wzorce patriotyczne. Prawica nie bierze pod uwagę niuansów ani tego, że człowiek wskutek rozmaitych czynników zewnętrznych nieustannie się przeobraża. Czytają, a przynajmniej udają, że przeczytali, Trylogię, a nie chcą pamiętać, jak to Sienkiewicz tę tragiczną pochopność wyborów życiowych dokonywanych wskutek „złej orientacji w stosunkach" opisał w losie Kmicica/Babinicza.

Są jednak skale hańby, z których nie sposób się oczyścić. Dlatego Batyr musi iść w zaparte w sprawie swojej przeszłości sutenerskiej – o ile bowiem różnymi „modułami szlachetnej, męskiej walki" można się przechwalać, lud to kupi, bo w czasach niespokojnych chce mieć twardziela na prezydenckim stolcu, o tyle bycie dostawcą pracownic seksualnych nijak chluby nie przynosi. To jednak coś innego niż rozwożenie pizzy, żeby sobie na studiach dorobić.

Może w manosferze taki dorobek zawodowy byłby imponujący, ale, jak się zdaje, pogarda dla kobiet ma swoje granice nawet w prawicowym elektoracie. Nade wszystko zaś sutenerstwem gardzi grypsera – osadzeni alfonsi są w więziennej hierarchii niewiele wyżej od pedofilów, mniej więcej tak jak domowi „ninjowie", czyli damscy bokserzy. Takiego kmicicowania zrehabilitować się nie da, to jest niezmywalna plama na honorze, jakkolwiek bowiem urojone byłyby niepisane prawa półświatka, i w nim przemoc jest ściśle reglamentowana. Prawicowcom takoż zawsze chodzi tylko o to, aby usankcjonować przemoc – aby był wódz, który złapie naród krótko za mordę i wskaże, kogo wolno, a nawet trzeba bić.

Rozmowy, kompromisy, konsensusy to nie dla białych, słowiańskich katolików.

Z kobietami zanadto spoufalać się nie należy, trzeba je „traktować jak dobytek", całować w dłoń i chronić jako rodzicielki i strażniczki domowego ogniska, ale bić nie wolno. Trzeba przyznać, że to zaskakujący radykalizm środowiska zdominowanego przez samców o przywódczych skłonnościach. Można by pomyśleć, że ci twardziele w domowych pieleszach miękną i stają się czułymi negocjatorami, podejmującymi decyzje wypracowane drogą rozmów z partnerkami… Chodzi chyba raczej o to, że nie samo bicie jest frajerstwem, ale to, że się dałeś przyłapać. Jeśli już bijesz, to tak, żeby zabić (mordercy mają w pierdlu lżej od damskich bokserów), albo tak, żeby suka siedziała cicho. Jeśli na ciebie doniosła, znaczy, żeś jej nie umiał wychować.

Rozmowy, negocjacje, rokowania, kompromisy, konsensusy to nie dla nich, białych, słowiańskich katolików. Między sobą się żreć też lubią, mają kłótliwość w DNA, z reguły ich stronnictwa są niekoalicyjne, dlatego największym niebezpieczeństwem jest ich zjednoczenie. Kaczyzm urósł w siłę właśnie na jedności i jedynowładztwie; Kaczyński już szuka gruntu pod utworzenie wspólnej listy przed przyszłorocznymi wyborami – na razie konfiarze i harcerze od maślarzy i zakoniarzy się dystansują, ale im bliżej będzie walki o koryto, tym bardziej podziały na prawicy okażą się, jak mniemam, pozorne. ■

eprasa.pl 7deee0c938

Tomasz Piotr Kozłowski



KASZTANOWY MAJESTAT

W Grecji kasztan to coś więcej niż przekąska



Zimową porą ulice greckich miast pachną pieczonymi kasztanami (*kastana*). Sprzedają je *kastanades* – kasztaniarze. To jeden ze starych, miejskich zawodów i źródło dodatkowego dochodu dla osób, które nie pracują w tym czasie w turystyce czy w innego rodzaju usługach. To nie tylko przekąska smaczna i sycąca, ale i zdrowa. Bogate w skrobię kasztany cenione są w diecie bezglutenowej, zawierają niedużo tłuszczu, za to wiele witamin, mikroelementów i antyoksydantów.

W okresach biedy i niedostatku (np. w czasie II wojny światowej) ratowały przed głodem całe społeczności – nasiona mielono na mączkę, służącą do wypieku słodkawych chlebków (często z dodatkiem innej mąki, jeśli była osiągalna). Na wsiach okres dostępności świeżych kasztanów (październik-listopad) często łączy się z degustacją młodego wina. Potwierdza to jedno ze starych greckich przysłów: „Kasztan potrzebuje wina, a orzech włoski miodu".

Drzewo kasztana jadalnego (*Castanea sativa, gr. kastania*) rośnie w Grecji dziko (na Krecie prawdopodobnie wprowadzone przez człowieka w starożytności), a na obszarach podgórskich i górskich tworzy lasy. Wymaga znacznych sum rocznych opadów, dlatego spotkamy je tylko w tej części kraju, gdzie klimat sprzyja. Grecy nauczyli się też zakładać kasztanowe uprawy. Na ziemiach Hellady tworzono je już ok. 2000 lat p.n.e. Jednak starożytni Grecy nie cenili zanadto tej rośliny, a renesans upraw w Europie nadszedł dopiero w średniowieczu.

Warto dodać, że człowiek polubił *kastanię* nie tylko ze względu na jej kolczaste owoce z pożywnymi nasionami. Ceni się również wysokiej trwałości drewno, które znajduje zastosowanie choćby w bednarstwie, w produkcji mebli i w pracach wykończeniowych, m.in. w klasztorach Świętej Góry Athos, na której zboczach rośnie jeden ze znanych gajów.

W całej Grecji istnieje ok. 100 wiosek kasztanowych (*kastanochoria*), których mieszkańcy trudnią się zbiorem i przetwórstwem kasztanów. Rośnie w nich łącznie 1,5 mln drzew. Nazwy niektórych z miejscowości nawiązują wprost do tej rośliny, tak jak Kastanitsa, malownicza osada skryta pośród gór wschodniej Arkadii (Peloponez), w ciekawej ze swoich tradycji okolicy, zwanej Tsakonią. Główne regiony produkcji kasztanów to m.in. wspomniany Peloponez (w tym także okolica gór Parnon), okolice miasta Kozani w Macedonii Zachodniej, górskie rejony Macedonii Środkowej, półwysep Pelion (Pilio) w centralnej Grecji, środkowa Lesbos czy Kreta (przede wszystkim zachodnia jej część). Ta ostatnia eksportowała w świat swoje wyjątkowo słodkie kasztany już w XIX w. (rocznie ponad 250 ton!), co relacjonowali zachodni podróżnicy. Współcześnie uprawy są tu rozdrobnione.

Przeciętny gaj kasztanowy Krety jest odziedziczony po rodzicach właścicieli i liczy 50-100 drzew. Po założeniu uprawy potrzeba sporo cierpliwości, gdyż drzewa owocują dopiero parę dekad po posadzeniu. Przynoszą jednak cenny dochód, który uzupełnia rodzinny budżet, gdyż na nasiona panuje zwykle duży popyt.

Las kasztanowy (*kastanodasos* lub *kastanionas*) to miejsce pełne piękna i tajemniczości. Wiele tu okazów o grubych pniach i nierzadko fantazyjnie poskręcanych konarach. Drzewa *kastanii* mogą dorównywać swoim majestatem dębom. I – podobnie jak one – są długowieczne. Zdarzają się nawet drzewa 500- lub 600-letnie! Wyjątkowo malownicze lasy tego gatunku odwiedzam w Grecji w wielu okolicach, m.in. koło Kastanitsy, w górach Menikio niedaleko Dramy (Macedonia Wschodnia), na środkowej Lesbos oraz na południowej Eubei: w osnutych legendami górach Ochi, ponad nadmorskim miastem Karistos.

W tym ostatnim miejscu, na wysokości ok. 1000 m n.p.m. i na obszarze Natura 2000, spotkanie z sędziwymi kasztanami jest dla mnie szczególnie wzruszające. Przybywam tu wczesną wiosną, gdy drzewa nie są jeszcze okryte liśćmi i odsłaniają w pełni swoje wielokształtne, niekiedy pochylające się pnie. Już starożytny grecki botanik Teofrast opisywał okoliczne lasy kasztanów (Karistos eksportowało ich owoce), po których dziś pozostał tylko ten jeden kompleks, zwany Kastanolongos, będący jednym z najstarszych tego typu skupisk w Grecji. Jego drzewa liczą po 200-400 lat (być może

eprasa.pl 7deee0c938





wiek niektórych okazów przekracza pół tysiąclecia). To strażnicy historii tych ziem, w liczbie ok. 1,5 tys. sztuk. Prowadzony w okolicy wypas zwierząt sprawił, że nie dostrzegam tu siewek, mimo że – jak słyszę od okolicznych ludzi – drzewa te nadal kwitną i owocują.

Ten *kastanionas* niestety stopniowo odchodzi w przeszłość. Zasięg lasu skurczył się od II wojny światowej o niemal połowę. Obcowanie z majestatem tych drzew, skąpanych w górskiej mgiełce, jest doświadczeniem wyjątkowym. Stoję tu w absolutnej ciszy i zastanawiam się, przez ile lat to piękno jeszcze przetrwa.

Gdy wracam do cywilizacji, moim oczom ukazują się przykre widoki – w wielu miejscach południowej Eubei zbocza i górskie granie rozorano licznymi drogami, które prowadzą do wielkich farm wiatrowych. Góry przecięto też liniami wysokiego napięcia, znacznie zwiększyła się penetracja przez człowieka refugiów przyrody, a dzikość ustąpiła tu miejsca swoistej strefie przemysłowej. Nie mam złudzeń, że w tak trudnym terenie kosztem znacznego śladu węglowego. Wszystko odbyło się mimo wielu protestów miejscowych oraz miłośników gór z całej Grecji, których głos zignorowano.

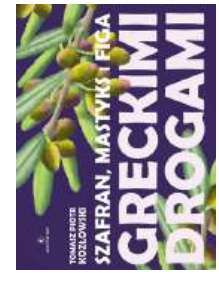
Przeciętny gaj kasztanowy Krety jest odziedziczony po rodzicach właścicieli i liczy 50-100 drzew.

Mój lokalny przewodnik jest załamany tymi zmianami i nie szczędzi gorzkich słów. Nie tak, nie takimi metodami wyobrażałem sobie przełączanie świata na odnawialne źródła energii, pomagające spowolnić katastrofę klimatyczną, która dzieje się na naszych oczach. W tej okolicy ludzie starają się naprawiać własne błędy dalszą destrukcją. Mocno okaleczone przez człowieka góry południowej Eubei wciąż próbują chronić swój wyjątkowy leśny, kasztanowy skarb.

Współcześnie lasom *kastanii* przybyło ważne zagrożenie – rozprzestrzeniający się grzyb z gatunku *Cryphonectria* (*Endothia*) *parasitica*, który powoduje chorobę, zwaną przez Greków wrzodem kasztana. Skutkuje ona zamieraniem części roślin ponad zainfekowanymi miejscami i w konsekwencji usychaniem drzew. Grzyb pojawił się w kraju w końcu lat 80. XX w. i jest zwalczany metodami biologicznymi (wirus RNA podawany na drzewo w specjalnej paście), co jest jednak kosztowne. Uśmiercił już wiele kasztanowców w greckich lasach, których przyszłość staje się coraz bardziej niepewna. Także za sprawą zmian klimatu, *kastania* źle bowiem znosi zbyt długie susze, których w ostatnich dekadach jest więcej.

W drugiej dekadzie XXI w. przybył jeszcze jeden przeciwnik – przywleczony z Chin owad z gatunku *Dryocosmus kuriphilus*. Żeruje na drzewach, znacznie je osłabia i prowadzi do zmniejszenia plonów nawet o przeszło 80%! Trwają starania, aby nie przedostał się do wyspiarskich gajów kasztanowych, lecz w praktyce bardzo trudno to kontrolować.

Kilka okolic do dziś celebruje swoje kasztanowe tradycje. Święta kasztana organizowane są na przełomie października i listopada, m.in. w Kastanitsy, która rocznie produkuje ok. 200 ton tego owocu, a kasztanowe uroczystości organizuje się tutaj od początku lat 80. Podobne święta odbywają się m.in. w miejscowościach Ajasos na Lesbos, Arna na południu Peloponezu oraz Elos na zachodzie Krety. To znakomita okazja do spróbowania dopiero co zebranych pieczonych kasztanów, potraw i wypieków z ich dodatkiem (np. *kastanopita*) oraz przetworów, np. marmolady i konfitury typu *gliko tu kutaliu*. To również możliwość wspólnej zabawy z miejscowymi. Kasztany łączą ludzi.

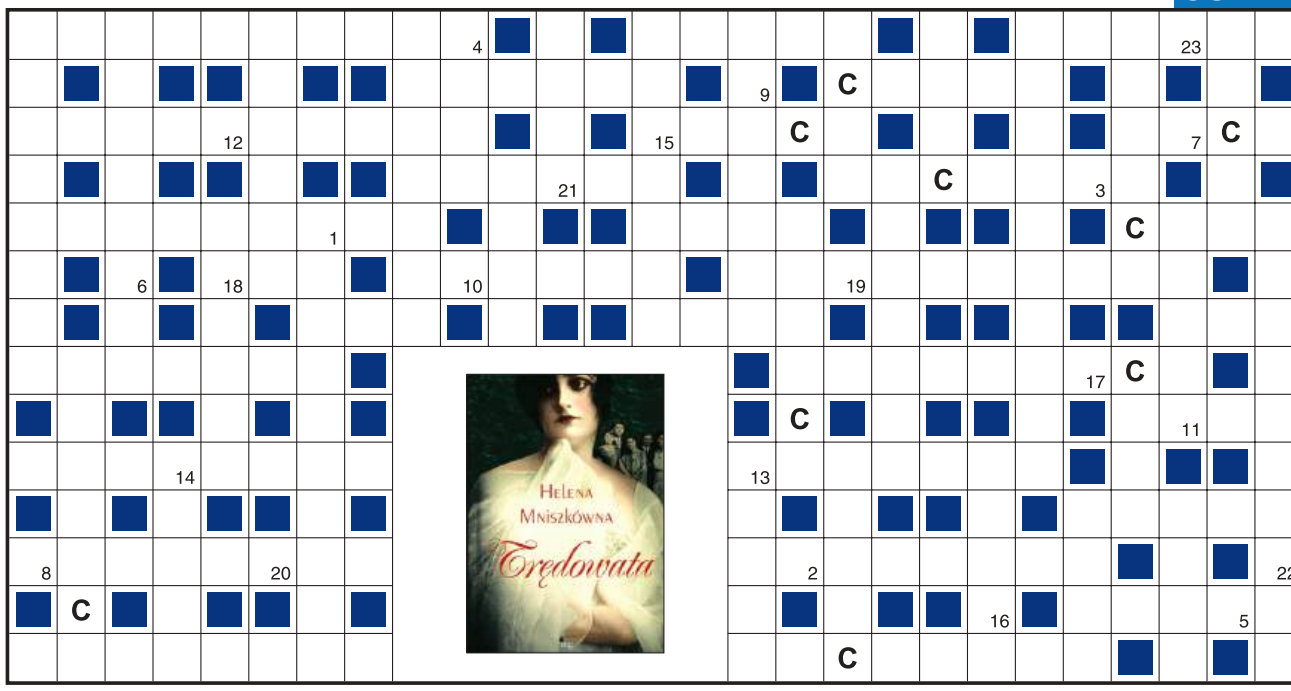


Fragmenty książki Tomasza Piotra Kozłowskiego *Szafran, mastyks i figa. Greckimi drogami*, Powergraph, Warszawa 2026

FOT. SHUTTERSTOCK (2)

eprasa.pl 7deee0c938

JOLKA



1	2	3	4

5	6	7

8	9	10	11	12	13	14	15

16	17	18

19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- ma moc przynoszenia szczęścia posiadaczowi
- kulminacja, największe nasilenie
- ...Gdynia – klub piłki nożnej
- Andrus, Boruc lub Partyka
- droga, most, zapora, lecz nie dom
- z jego drewna ołówki, deski elewacyjne
- organizm ludzki jako całość
- …naturalny – strumień, potok, rzeka
- burzyciel, niszczyciel
- „…kołyski”, wiersz Adama Asnyka
- historyczna, geologiczna lub literacka
- bojowa organizacja Basków
- niewielki, usztywniony pojemnik, futerał
- dać je – ponieść karę śmierci
- wytracać go to zwalniać tempo
- …Górska-Damięcka, aktorka i reżyserka teatralna
- kronikarz Wincenty
- wykres akcji serca
- bogato zdobiony, kryty królewski powóz
- na stadionie dwa i pół okrążenia do przebieżenia
- są jednym z atrybutów bogini Demeter
- stójka, szydełkowy lub dopinany
- więcej niż posterunek, mniej niż komenda
- czteroosobowy zespół kameralny
- wampir grany przez Toma Cruise’a
- należą do niej Czarzasty i Gawkowski
- Dobry… czyli św. Dyzma
- dmuchawa w kuźni
- gra planszowa w handel nieruchomościami
- poemat heroikomiczny z Gryzomirem
- są letnią alternatywą dla narciarstwa
- wpadka towarzyska
- małe narzędzie warsztatowe lub kosmetyczne
- pierwotniaki wysuwające nibynóżki ze skorupki
- węgiel, ropa to …kopalne
- „…głupoty” Erazma z Rotterdamu
- karalne namawianie do przestępstwa
- licytacja lub konkurs ofert
- stalowy – o samolocie
- z konserwą lub napojem
- w księżycowym utrwalony ślad buta Buzza Aldrina
- tekst przysięgi
- narzędzie do żłobienia, grawerowania
- dobierany przez poetę
- Tuska, dusz albo dla konia
- rodzaj rusznicy lub pułapka kłusownika
- latające św. Mikołaja
- dział zakładów odzieżowych
- już na nim jest Inspektor Gadżet!
- w drugiej Lula wygrał z Bolsonarem
- nieregularne zgrubienia i narośle na porożu jeleniowatych
- niejedna zawetowana przez Nawrockiego
- „…Barbary” – motyw muzyczny z „Nocy i dni”
- spleciony z czosnku
- zdolność odczuwania zapachów
- syreny alarmowej, wiatru lub do księżyca
- dokonasz go w sklepie
- pierwszy okres, początek czegoś

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1298”. Do rozlosowania książki „Trędowata” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 8 listopada 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1295” z nr. 42: *Próżna rada po szkodzie.*

Nagrody otrzymują: Lech Krzemiński z Koszalina, Teresa Marciniak z Ełku, Kazimiera Wódz z Sosnowca.

eprasa.pl 7deee0c938

Chapeaux bas!

„Taki tydzień, że czapki z głów!", pisał Donald Tusk, wracając z Indii i Wietnamu. I miał rację, bo ten tour, w który zabrał przedstawicieli prawie 100 polskich firm, był strzałem w dziesiątkę.

Polska podpisała w Indiach 13 umów strategicznych, i to dotyczących ważnych sektorów: kolejowego, kosmicznego, farmaceutycznego, stoczniowego i zbrojeniowego. Oraz IT.

Premier Modi zadeklarował, że będzie popierał obecność Polski w G20 i że nasze wzajemne obroty powinny wzrosnąć nie dwukrotnie, ale trzykrotnie. To są ważne deklaracje, bo w Indiach otwierają drzwi do prawdziwych kontraktów. W Wietnamie otwierają tym bardziej. Z Wietnamem z kolei podpisaliśmy partnerstwo strategiczne. I w ślad za tym idzie m.in. współpraca w sektorze ratowniczym, zbrojeniowym i farmaceutycznym.

Wiadomo, Indie i Wietnam chcą się orientować na Unię Europejską, żeby równoważyć wpływy USA i Chin, więc wola współpracy, a i wspomnienia z czasów Polski Ludowej czynią wiele dobrego.

No i dodajmy jeszcze jeden bardzo ważny element. Nad tym, żeby wizyty się udały, ciężko pracowali nasi dyplomaci. Przygotowanie wizyty, spotkań, odpowiednie nastawienie gospodarzy – to miesiące pracy. A było to o tyle trudniejsze, że prezydent Nawrocki nie podpisał im nominacji ambasadorskich, są zatem w randze chargé d'affaires, kierownikami ambasad. Akurat w Indiach i w Wietnamie te różnice protokolarne są istotne.

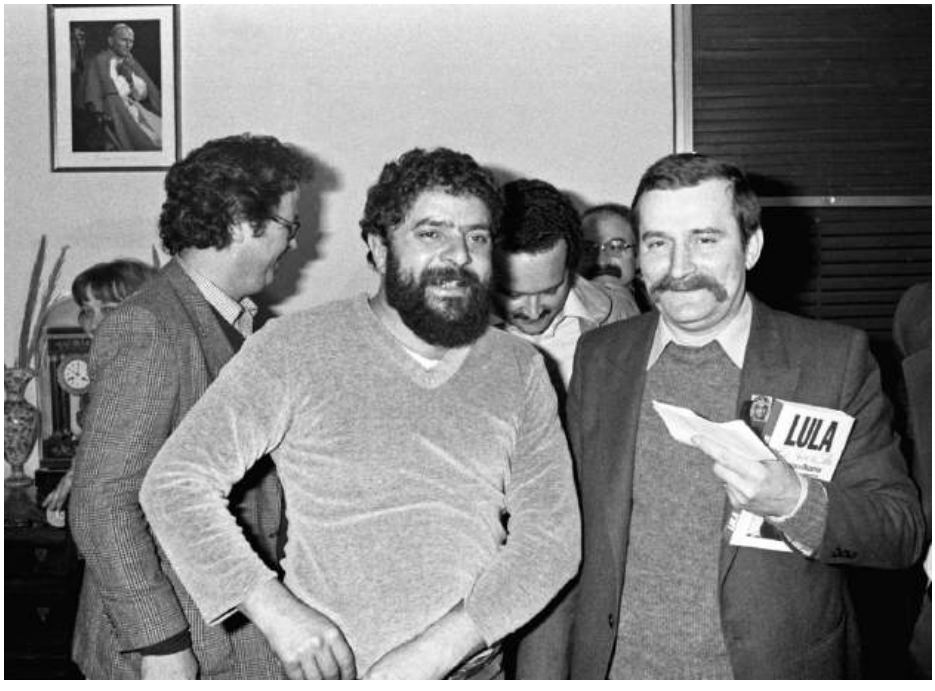
Na szczęście miał tu Radosław Sikorski dobrą rękę. Ambasadą w Nowym Delhi kieruje Piotr Świtalski, jeden z najlepszych polskich dyplomatów. W MSZ pracuje od 1986 r. Przeszedł wszystkie szczeble kariery, kierował kilkoma departamentami, był wiceministrem w czasach Marka Belki. Potem był ambasadorem przy Radzie Europy w Strasburgu i ambasadorem Unii Europejskiej w Armenii.

Gdy wrócił do kraju, nie skorzystano z jego wiedzy i kompetencji, pisowski minister Zbigniew Rau skierował go do archiwum, by porządkował stare depesze. Przydacz, Jabłoński, Mularczyk – takich Rau miał wiceministrów. Absolutni dyletanci trzęśli MSZ i wysyłali pisowskich działaczy na ważne placówki, a tych dyplomatów, których świat szanował, próbowali poniżyć. Dziś Świtalski ma czas satysfakcji, bo wizyta, nad którą tak pracował, zakończyła się sukcesem.

Z kolei w Wietnamie ambasadą kieruje Joanna Skoczek. Do MSZ przyszła przez UKIE, zajmowała się sprawami integracji europejskiej. Potem kierowała Departamentem Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej MSZ. Później przez cztery lata była konsulem w Kantonie, a jeszcze później zastępczynią ambasadora RP przy ONZ w Nowym Jorku. PiS lamentowało straszliwie, gdy w listopadzie 2024 r. Sikorski wysyłał ją do Hanoi. A to dlatego, że wcześniej odwołał Aleksandra Surdeja, profesora nauk ekonomicznych, związanego z krakowskim Ośrodkiem Myśli Politycznej, czyli m.in. z Ryszardem Legutką, Zdzisławem Krasnodębskim i Arkadym Rzegockim… Surdej nadawał się na ambasadora przy OECD w Paryżu (był nim wcześniej), ale do Hanoi zupełnie nie pasował. Do tego te związki polityczne… Sikorski więc słusznie zastąpił go Joanną Skoczek, osobą dynamiczną i pozbawioną ideologicznych kalek.

Wyszło dobrze. Przy pisowskich ambasadorach byłaby klapa. Jeżeli ktoś zastanawia się, czy zmiany na placówkach, które przeprowadza Sikorski, wzmacniają dyplomację, to dowód ma jak na dłoni.

Attaché



Przyszli prezydenci Brazylii i Polski. Współzałożyciel Partii Pracujących Luiz Inácio Lula da Silva i lider Solidarności Lech Wałęsa podczas spotkania z włoskimi związkami zawodowymi. Rzym, 16 stycznia 1981 r.

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS

eprasa.pl 7deee0c938







PENETRACJE

INGA IWASIÓW,
LITERATUROZNAWCZYNI

gazeta DUŻY FORMAT

Mam tego dość – tak jak w 2016 i w 2020 r. Obiecano mi, nam, że wszystko się zmieni, gdy poprzemy KO. Jeśli nie poprzemy, będziemy inkubatorami, podręcznymi z serialu na kanwie powieści Margaret Atwood. Nie zmieniło się, bo opozycja ciągle podstawia nogę, temat jest niewygodny (dla kogo?). Prawo antyaborcyjne definiuje ustrój państwa, kto tego nie rozumie, bo obawia się „awantury" i utraty punktów wyborczych, nie dojrzał do naszych czasów. Prawica wie, że zakaz aborcji definiuje ich państwo, ich wizję, dlatego konsekwentnie forsuje dokręcanie śruby. Mam więc dość: obecnego ustroju, niespełniania obietnic, braku zrozumienia powagi sprawy, asekuranctwa. Czego jeszcze, wyliczymy na ulicach, skoro nie da się w rządzie i parlamencie.

PROF. RADOSŁAW RYBKOWSKI,
ZAKŁAD KULTURY AMERYKAŃSKIEJ UJ

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY KRAKÓW I ŚWIAT

Co w USA może rozczarować? Przykładowo – transport publiczny. Poza nowojorskim metrem, które samo w sobie jest dość specyficzne, komunikacja zbiorowa w Stanach Zjednoczonych często wypada słabiej niż w wielu krajach europejskich. Podobnie jest z koleją, zwłaszcza jeśli mowa o podróżach na średnich dystansach. Europa bardzo rozwinęła kolej dużych prędkości, w Polsce korzystamy dziś przecież z połączeń Pendolino. Tymczasem w USA istnieje właściwie tylko jeden korytarz kolejowy, na którym pociągi osiągają prędkości i tak znacznie niższe od europejskich standardów.

MAGDALENA CIELECKA,
AKTORKA

zwierciadło

Wiem, kim jestem i co sobą reprezentuję. Wydaje mi się, że jasno komunikuję to, jakie mam poglądy, po której stronie się ustawiam, co lubię, czego nie, z czym się zgadzam, a czemu się sprzeciwiam. Nie mam nic do ukrycia, nie robię nikomu krzywdy, a przynajmniej nie w sposób zamierzony i z premedytacją. Można mnie nie lubić, można się ze mną nie zgadzać, ale na pewno nikogo nie udaję. Po co miałabym to robić? Mogę udawać kogoś profesjonalnie w pracy, ale w życiu… Raz się jest na dole, raz się jest na górze, najważniejsze – gdzie się jest w większości. Najlepiej być na tym właściwym poziomie siebie. Balans jest najważniejszy.

MAREK TOMASZEWSKI,
PIANISTA, WSPÓŁTWÓRCA DUETU MAREK&WACEK

TYGODNIK ANGORA PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ

Do Francji przyjechaliśmy z Wackiem po raz pierwszy w 1966 r. na występy w paryskiej Olimpii. Wtedy też trafiliśmy do domu, gdzie mieściła się redakcja paryskiej „Kultury". Od 1968 r. nasze wizyty tam stały się już zwyczajem. Gdy pojawialiśmy się w Paryżu, to zawsze do nich jechaliśmy. Giedroyc pracował przez 12 godzin dziennie siedem dni w tygodniu i do Paryża jeździł bardzo rzadko. Czasami wpadał jedynie do kina na western, bo to była jego ulubiona forma rozrywki. (…) Pewnego razu, kiedy cała ekipa pojechała na wakacje, Redaktor postanowił sam ugotować nam obiad. Kiedy siedliśmy do stołu, Jerzy Giedroyc jak zawsze elegancki, palił papierosa. Na pytania, dlaczego nie je z nami, odpowiedział: „Jestem trochę zdenerwowany, bo nie wiem, czy wam będzie smakowało".

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), POLSKA ORKA POLITYCZNA

eprasa.pl 7deee0c938

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

KSĄŻATBRAMWCASE

WISYTĘKNIIĘMCNIJ

UŚIEHPSJSTWGONE

KSIĄŻKA TO BRAMA W CZASIE, W CISZY TĘSKNI SIĘ MOCNIEJ, UŚMIECH PSA JEST W OGONIE



Aby język giętki...

MAREK KONDRAT O WOKULSKIM
Bliski mi jest model mężczyzny poszukującego absolutu, któremu los lub własna natura nie pozwalają go osiągnąć.

MARIN DOROCIŃSKI O ROLI WOKULSKIEGO
Bardzo go rozumiem. To jego zapatrzenie czy wręcz szaleństwo w sferze uczuciowej.

MAGDALENA SROKA O PEGASUSIE
To system, który pozwalał przejąć całe życie ofiary. W każdej chwili mógł być prowadzony nasłuch.

ESTERA FLIEGER O GRZEGORZU JANKOWSKIM
Od monologu pijanego wujka z wesela cięższy do zniesienia jest już tylko monolog cynicznego wuja z mediów.

AGNIESZKA WIĘDŁOCHA O ANTONIM PAWLICKIM
Potrafimy się przegadywać, droczyć, odbijać sobie piłeczkę. Czasem pokłócić się o coś zupełnie błahego.

ANTONI PAWLICKI O AGNIESZCE WIĘDŁOSZE
Nie obrażam się na krytykę. Przeciwnie. Chłonę ją. Szczególnie od Agnieszki.

ZBIGNIEW BONIEK O RADKU MAJDANIE
Niech robi to, co potrafi najlepiej, czyli być dodatkiem do Małgosi na ściankach.

MARIA PAKULNIS O GORSZYM NASTROJU
Poleżę, popłaczę, poprzytulam mruczącego kota – to jest cudowna mantra.

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 7deee0c938

Aleksandra Drab
Nie patrz



Ogryzek



Prezent

Najnowszy cykl obrazów Aleksandry Drab buduje napięcie między tym, co zakryte, i tym, co odsłonięte, między niewinnością i zmysłowością, konwenansem i niezależnością. Tytuł, choć brzmi jak zakaz, jest zaproszeniem do uważnego spojrzenia na kobiece ciało i związane z nim kulturowe wyobrażenia. Artystka wykorzystuje symbolikę bieli, koronki i tkanin, a inspiracją była tu suknia ślubna jej mamy z lat 90. Rodzinna pamiątka staje się punktem wyjścia do opowieści o tradycji, tożsamości i zmieniających się znaczeniach kobiecości.

Stratos Office Center
Warszawa, ul. ks. Ignacego Skorupki 5
od 6 listopada do 5 grudnia



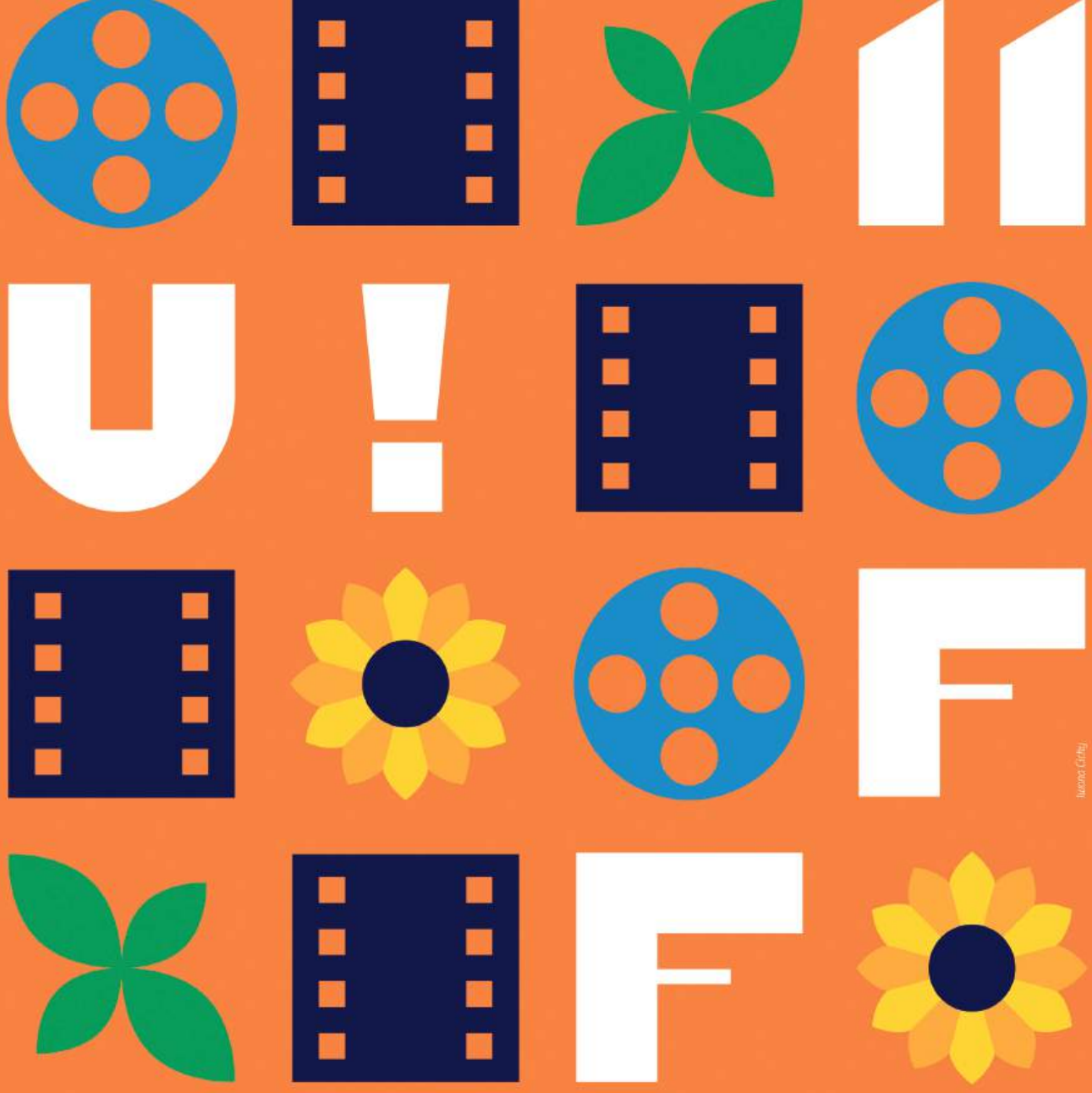
Nie patrz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Granica

eprasa.pl 7deee0c938



UKRAÏNA!
11. FESTIWAL FILMOWY

2–9.11.2026 r. | Warszawa | www.ukrainaff.com

Kino Atlantic | Kino Amondo | Centrum Kultury Filmowej im. Andrzeja Wajdy | Ukraiński Dom

ORGANIZATOR

luna+

U!FF UKRAÏNA! FESTIWAL FILMOWY

WSPÓŁFINANSOWANIE

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

Warszawa

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Filmoteka Narodowa Instytut Audiowizualny

Ambasada Ukrainy w Rzeczypospolitej Polskiej

ukrainian institute

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

eprasa.pl 7deee0c938


HOT WHEELS
STUNT SHOW
LIVE IN ACTION!
SOBOTA, 7 LISTOPADA
NIEDZIELA, 8 LISTOPADA
ATLAS ARENA, ŁÓDŹ
BILETY: TICKETMASTER.PL / LIVENATION.PL
LIVE NATION
©2026 MATTEL.